SUPERNATURAL

Keith R. A. DeCandido

SUPERNATURAL

Nigdy więcej

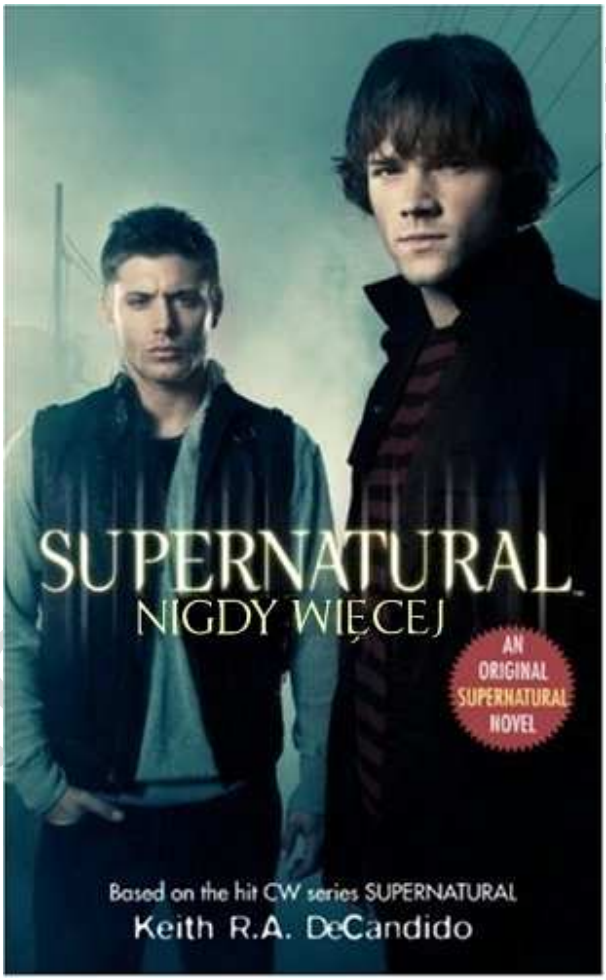

Translate_Team

Tłumaczenie: VampiraBella, rUudzikowa, rossa93, anitka_93
Beta: Czupsik, Bzzzi saphira_m

Translate_Team 2011

Translate_Team

Nota Historyczna

Ta historia ma miejsce pomiędzy odcinkami drugiego sezonu *SUPERNATURAL* „Crossroad Blues”, a „Croatoan”.

Translete_Team

Rozdział 1

Uniwersytet Fordham
Bronx, Nowy York
Niedziela, 12 Października 2006

Chłodna, październikowa bryza zdmuchnęła włosy Johny'ego Soedera na jego twarz, przypomnienie Matki Natury, że należy je ściąć, skoro jego własna matka była nieobecna i nie mogła mu przypomnieć. Wróciła do Ohio, gdzie było bezpieczniej i dziesięć stopni chłodniej. Gdyby Emily Soeder zobaczyła kudłatą masę brązowych włosów, wydałaby ten swój odgłos i zaproponowała, że umówi go na wizytę u fryzjera.

John kochał chodzić na uniwersytet Fordham z co najmniej tysiąca powodów, a duża odległość od matki była wysoko na tej liście.

On i jego współlokator Kevin Bayer wracali do swojego mieszkania poza kampusem po długim dniu w drukarni, która znajdowała się w piwnicy McKinley Center. To oni byli współredaktorami alternatywnej gazety Forham i spędzili większość dnia składając ostatni numer dwutygodnika. Pliki zostały wysłane do drukarki i do wtorkowego ranka będą mieli cały nakład. To było krytyczne, skoro musieli go sprzedać przed wyjściem *Barana*, nudnej oficjalnej gazetki studenckiej, zwłaszcza, że mieli na wyłączność wywiad z dziekanem.

Szli szybko przez kampus, idąc w stronę Belmont Avenue, koło Faculty Memorial Hall. Stamtąd już tylko kilka przecznic dzieliło ich od ich zniszczonego, zagraconego, maleńkiego – ale bosko taniego – mieszkanka na Camberleng Avenue.

Kiedy dotarli do wyjścia John odsunął włosy z twarzy i powiedział:

- Lepiej się pospieszmy. Chcę dojść do domu i przebrać się na imprezę.
- Jaką imprezę?
- Imprezę u *Amy*, pamiętasz? - Kevin się skrzywił
- Mam jutro zajęcia o 8:30 rano. Nie mogę stary.

Wzruszając ramionami, John powiedział.

- Zerwij się.
- Nie ma szans. Dr Mendez mnie zje. Serio, ona sprawdza obecność. Już opuściłem trzy wykłady, przez produkcje w weekendy, nie mogę opuścić kolejnego.

Doszli do rogu Belmont Avenue i Fordham Road i musieli czekać na zmianę światła – korek był wyjątkowo duży nawet tak późno w niedzielę, więc nie mogli przejść jak im się podobało. Przed ostatnim rokiem John mieszkał w akademiku,

który był częścią cieplarni charakteryzującej kampus Fordham, akademicka oaza w środku największego miasta na świecie. No może nie w środku – Bronx był najbardziej wysuniętą na północ częścią miasta Nowy York, tuż nad Manhattanem i Queens, oraz był jedyną częścią miasta doczepioną do stałego lądu. Przed odwiedzeniem Forham podczas ostatniego roku liceum, John zawsze zakładał, że Nowy Yourk to Manhattan. Nie miał pojęcia o wewnętrznym podziale i był przejęty, że znalazł się w sąsiedztwie, które samo w sobie było bardziej ekscytujące niż Cleveland kiedykolwiek mogło być.

Zmiana nadal go jednak trochę przytłaczała. Kampus Fordham był pełen drzew i trawy, starych i nowych budynków – niektóre z nich stały tam aż od założenia kampusu w dziewiętnastym wieku, inne były późnymi dwudziestowiecznymi dodatkami – i nie byłyby niczym dziwnym w spokojnym mieście gdzieś w Nowej Anglii.

A potem przechodziłeś przez kute żelazne bramy i wstępowałeś w kakofonię aut i busów jadących wzdłuż Fordham Road – albo pełznących, w godzinach szczytu – pieszych, stacji benzynowych, barów fast-food, warsztatów samochodowych i *ludzi*. Dzielnica była miksem Włochów, którzy dotarli tutaj we wczesnych latach dwudziestego wieku, Latynosów, którzy przyszli tu w latach '60, i Albanów którzy dołączyli w '80. Idąc w dół ulicy można było dotrzeć do Sears'a, Fordham Plaza i północnego Metra; w drugą stronę The Department of Motor Vehicles, The Bronx Zoo i ogrody botaniczne. Sąsiedztwo „Małe Włochy" nadal żyło wypełnione delikatesami, winiarniami, restauracjami, piekarniami, sklepami z makaronem i okazjonalnymi ulicznymi festynami i John w tym semestrze przytył pięć kilo tylko dlatego, że przeprowadził się bliżej źródła *canolis*.

Oczywiście późną niedzielną nocą na ulicy prawie nie było ludzi, tylko samochody.

Światła się zmieniły i Kevin i John przebiegli przez ulicę, ponieważ już migały czerwoną ręką z napisem NIE IŚĆ, zanim zdążyli dojść do połowy.

- Dlaczego w ogóle wziąłeś poranne zajęcia w poniedziałek? - zapytał John – Wiedziałeś, że będziesz siedział do późna w większość niedziel.

- To były jedyne wykłady z religii średniowiecza, które mogłem wziąć. Jedyne inne to były seminaria przeciwko Szekspirowi, a tego są dwa semestry.

Skręcili, żeby dojść z Forham do Cambreleng.

- I dlaczego nie możesz wziąć religii średniowiecza w następnym semestrze?

- Ponieważ Dr Mendez będzie na sabacie, a to oznacza ojca O'Sullivana.

John, który był na wydziale historii i dlatego nie miał pojęcia o wydziale angielskiego, podrapał się po podbródku – musiał się ogolić, następna rzecz, o której trajkotałby jego mama, gdyby tu była – powiedział:

- Tak, i...?

Kevin spojrzał na niego zaskoczony.

Translate_Team

- Stary, ojciec O'Sullivan nie wykładał od... chyba od wieków ciemnych.
- Wieków średnich.
- Co?
- To nie były wieki ciemne – powiedział John obronnie – Nikt ich już tak nie nazywa, są...
- Stary, Imperium Romanum miało kanalizację, to w Kościelnym Imperium Romanum sikali przez okno. To były wielki ciemne.

John zacisnął zęby i właśnie miał odpowiedzieć, ale Kevin wrócił do oryginalnego tematu.

- Ojciec O'Sullivan dostał stanowisko w... przysięgam na Boga, że w 1946.

Weszli na Camberlang.

- Stary, mój ojciec się urodził w 1946.
- No właśnie. Facet to kompletny zabytek. Nie ma szans, żebym zapisał się na jego wykłady.
- Dobra tam. - Johny'emu wcale tak bardzo nie zależało. - I tak powinieneś iść na imprezę.
- Nie ma szans, potrzebuje odpoczynku dla urody. - John się uśmiechnął.
- Na świecie nie ma wystarczająco snu, żeby to załatwić.
- Ugryź mnie, stary.

Zawiała kolejna bryza i John znów musiał odgarnąć włosy z twarzy. Im dalej od Fordham Road się znaleźli tym ciszej się robiło, ponieważ Cambreleng było dzielnicą mieszkaniową. Większość przecznicy wypełniona była trzypiętrowymi domami z czerwonej cegły, które oddalone były o parę metrów od drogi. Część frontowa była oddzielona od drogi przez wysoki do pasa płot. Reszta ulicy usłana była pięciopiętrowymi blokami. Tylko kilka budynków było wyższych, skoro prawo miejskie wymagało windy dla budynków wyższych niż pięć pięter. W większości domów światła były pogaszone i John z Kevinem byli jedynymi osobami na ulicy.

- Cóż, ja idę, skoro byłem na tyle inteligentny, żeby załatwić sobie odpowiedni rozkład, według którego mój pierwszy wykład w poniedziałek jest o 12:30. Co oznacza impre-e-e-zy. - Kevin się zaśmiał.
- Stary, Brit na pewno nie rzuci dla ciebie Jacka.

John zesztywniał. Po prawdzie podrywanie Brit było w pierwszej piątce rzeczy, które chciał robić na imprezie Amy, ale nie widział powodu, żeby się tym dzielić ze swoim współlokatorem.

- Britt tam będzie?
- Nawet nie próbuj. Kłamiesz, tak samo jak ja jeżdżę na snowdoardzie.
- Nie jeździsz na snowboardzie.
- No właśnie.

John już zaczął mówić „dobra tam”, ale już to powiedział, a nienawidził się powtarzać. Kevin mógł lubić to głupie zdanie „no właśnie”, którego cały czas używał, ale John lubił poszerzać swoje słownictwo. To była rzecz, którą zawsze potrafił wyłapać, kiedy sprawdzał teksty w gazecie – powtórzenia. Utrzymujesz ludzi zainteresowanymi, kiedy mówisz inne rzeczy, a nie kiedy używasz ciągle tych samych zdań. Właśnie dlatego nie lubił większości komików i skeczów. Uda im się jedno zdanie, a potem stanie się ono oczekiwane i pożądane i show przestaje być śmieszne i zaczyna w nim chodzić tylko o puentę. To nie była rozrywka, tylko tresura.

- Co to jest, do cholery?

Kevin wskazywał na coś i John podążył za jego palcem do plastikowych koszy na śmieci przed jednym z domów. Wyglądało jakby ktoś grzebał w śmieciach.

Niestety nie był to niezwykły widok. Wokół było pełno bezdomnych ludzi, którzy często grzebali po koszach, żeby znaleźć butelki, za które mogli w sklepach zebrać kaucję.

Potem figura podniosła głowę i John zauważył, że to nie był bezdomny. Oboje się zatrzymali, kiedy uświadomili sobie, że to jakaś małpa.

- To pawian! - powiedział John.
- Stary, to jest orangutan. - John zmarszczył brwi.
- Jesteś pewien?
- Całkiem pewny.

Pawian, tudzież orangutan czy cokolwiek to było, spojrzał na nich, otworzył usta i syknął.

I John i Kevin odsunęli się o krok, lub dwa. John wyszeptał

- Stary, orangutany syczą?
- Nie i myślę, że pawiany też. I dlaczego szepczemy?

Zanim John mógł na to odpowiedzieć ten – och, do cholery, na razie będzie to nazywał małpą, dopóki nie odkryje co to jest – złapał śmieci i rzucił je na ulicę. Niestety przykrywka była zdjęta, więc z rozdartego worka na śmieci wysypywało się zgniłe jedzenie, puste pudełka i inne rzeczy, zaśmiecając chodnik. John powiedział:

- Masz telefon? - Kevin kiwnął głową.
- Dobrze, bo moja bateria padła.
- Do kogo mam do cholery zadzwonić? Do biura rzeczy znalezionych?

Nie zdejmując oczu z małpy John powiedział:

- Nie, na 112 idioto, a teraz zadzwoń do nich, zanim...

Nagle małpa zaczęła biec w ich stronę, skrzecząc jakby była na dragach, albo czymś takim.

John chciał się odwrócić i uciekać, ale nie mógł się ruszyć.

I nie miało to większego znaczenia, ponieważ ta małpa była szybsza od Jessiego Owensa. W sekundę ich dosięgnęła.

Generalnie John nienawidził krzyczeć. Zawsze brzmiał jak dziewczyna. Udowadniając, że ten świat był niesprawiedliwy, jego krzyki po mutacji stały się jeszcze wyższe. To było naprawdę zawstydzające, więc za każdym razem, kiedy miał ochotę krzyczeć starał się trzymać gębę na kłódkę, żeby wychodziło bardziej jak nucenie. Dla niego to brzmiało bardziej męsko.

Ale teraz z szaloną małpą skrzeczącą, wyjącą i skaczącą po nim i Kevinie i mocno bijącą ich dużymi rękoma krzyczał jak dziewczyna.

Nie czuł się tak od czasów liceum, kiedy to wdał się w tą głupią bitkę z Harrym Markumem o to, kto pójdzie na studniówkę z Jeannie Waite. A żart był taki, że oczywiście poszła z tym idiotą Mortym Johannsenem, więc miał podbite oko i rozwaloną wargę na nic. Pięści małpy biły jednocześnie jego i Kevina i ból był po prostu wszędzie.

Potem jedna pięść uderzyła go w głowę i dosłownie zobaczył gwiazdy, coś o czym myślał, że zdarzało się tylko w bajkach.

Dopiero kiedy poczuł zimne kostki pod policzkiem, John uświadomił sobie, że małpa już go nie biła. Ale nadal słyszał krzyki.

Przewracając się, co sprawiło, że poczuł ogromny ból w boku, zobaczył małpę podnoszącą Kevina i rzucającą go w płot przed jednym z domów.

Potem usłyszał chrupnięcie.

Nie chciał w to uwierzyć. Na początku *nie mógł* w to uwierzyć. To nie był dźwięk łamanej gałązki, albo jak kawałek plastiku, nie jak...

To nie brzmiało jak cokolwiek, co John Soeder kiedykolwiek wcześniej słyszał. I przez to wiedział, że Kevin był martwy.

- Nie. Kevin!!!

Ledwie zauważył orangutana, czy pawiana, czy goryla, czy cokolwiek to było, biegnące w jego kierunku. Zamiast tego po prostu patrzył na Kevina, leżącego na chodniku Cambreleng Avenue, jego głowa wykrzywiona była pod niemożliwym kątem i zastanawiał się jak to się do cholery stało. To nie mogło być prawdziwe, małpy tak po prostu nie pokazują się na ulicach i nie biją ludzi na śmierć. To po prostu nienormalne!

Małpa wskoczyła na niego i zaczęła go bić, a on nawet nie uniósł ręki żeby się bronić, ponieważ po prostu nie mógł w to uwierzyć.

***

Drugi chłopak umierał całą wieczność.

Translate_Team

Przynajmniej pierwszym zajął się szybko. Ale tego drugiego, który cały czas do siebie mruczał po śmierci pierwszego, orangutan musiał bić i bić aż w końcu się poddał.

Kiedy drugi wypuścił już swój ostatni oddech powiedział inkantację po raz ostatni, a potem podszedł do palącego się piołunu i go zgasił. Kilka zwęglonych kawałków liści piołunu leżało na chodniku, ale wiatr szybko się ich pozbędzie. I nawet jeśliby je znaleźli nikt nie połączy ich z orangutanem, który pobił dwoje ludzi na śmierć.

Nie było to miłe, ale było konieczne – i musiało się stać dzisiaj, w ostatniej fazie księżyca, tak samo, jak pierwsze musiało się stać w pełnię piątego dnia miesiąca. Co prawda odkryli ciało dwa dni później, czyli wcześniej niż się spodziewał, ale policja nie przyszła go wypytywać, więc wszystkie jego środki zapobiegawcze zdawały się działać.

Co więcej to musiało się stać w tym miejscu. Drugie miejsce pieczęci zostało odkryte przy pomocy odpowiedniego rytuału.

Kiedy już był pewien, że mały płomień został zgaszony wyszedł z wąskiego przejścia między jednym z domów, a blokiem – i czy nie było to wstrętne, że ludzie rozrzucali śmieci w ciemnych miejscach, mając nadzieję, że nikt nie zauważy? - i wyjął pistolet ze środkiem uspokajającym. Celując ostrożnie trafił orangutana w szyję.

Sekundę później upadł twarzą w chodnik.

Wbiegając na chodnik szybko usunął strzałkę ręką w rękawiczkach. Nie będzie tu śladów po jego obecności.

Odwracając się pobiegł w stronę auta wyciągając z kieszeni telefon, którego mógł się pozbyć, a który kupił wcześniej tego popołudnia w jednym z centrów na Arthur Avenue i wybrał 112.

- Tu jest jakieś dzikie zwierze! Bije dwóch dzieciaków na skrzyżowaniu Cambrelang i sto osiemdziesiątej ósmej. Szybko!

Potem wrzucił telefon do metalowego siarkowego kosza na rogu East 188th Street i wsiadł do samochodu.

Dwa już były, dwa zostały. A potem, w końcu, odpowiedź będzie moja!

Translate_Team

Rozdział 2

Klub i Motel Bowlesa
South Bend, Indiana
Środa, 15 listopada 2006

- To jest właśnie problem z robotą Sammy, czasami po prostu trafiasz na ślepy koniec.

Sam Winchester po cichu zgodził się ze swoim bratem Deanem, kiedy po raz ostatni sprawdzali pokój motelowy przed zabraniem rzeczy do auta. Ich ojciec od najmłodszych lat przypominał im, żeby zawsze sprawdzać pokój przed wymeldowaniem się, ponieważ nie warto zostawiać w nim rzeczy osobistych.

Zwłaszcza, jeżeli te rzeczy zawierały egzotyczną broń i stare księgi.

Generalnie byli dobrzy w czyszczeniu pokoju. Był taki czas, kiedy Dean zostawił sól koło łóżka i zawrócił z Drogi nr 1, żeby ją odzyskać. Sam zapytał dlaczego nie mogli po prostu pojechać do supermarketu i kupić nowej – w końcu był to bardzo powszechny przyrząd użytku domowego – ale Dean nalegał, że chodziło o zasadę.

I było w porządku, aż do momentu, kiedy pracownik zapytał dlaczego dwóch braci trzyma dużą puszkę soli w pokoju hotelowym, a Dean zaczął wyglądać tak samo jak zawsze, kiedy ktoś robił coś, czego nie zaplanował. Sam obserwował i nawet nie próbował ukryć uśmiechu, kiedy Dean przez pół godziny się jąkał zanim wymyślił coś o nietolerancji laktozy. (Stary, - powiedział Sam, kiedy wracali do auta, z odzyskaną solą – zdajesz sobie sprawę, że sól nie ma nic wspólnego z nietolerancją laktozy, prawda? - Dziękuje panie czarodzieju. - odpowiedział Dean przez zaciśnięte zęby.)

Dzisiaj się wymeldowywali i ruszali w drogę, kiedy okazało się, że ich ostatnia fucha wcale nią nie była.

Dean dalej mówił, kiedy wychodzili do auta.

- Ale przynajmniej udało nam się zobaczyć South Bend w centrum.

- Ta, naprawdę gorące. - mruknął Sam, kiedy Dean otwierał bagażnik.

- Hey, jedziemy, gdzie pokieruje nas praca.

- Albo nie. To naprawdę było samobójstwo Dean. Normalne, przeciętne samobójstwo. - Dean wzruszył ramionami.

- Zdarza się.

Wrzucił torbę na tył bagażnika, układając ją na pudełkach broni i zapasów. Sam zrobił to samo używając tylko lewej ręki, ponieważ jego prawa nadal była w gipsie po tym jak zombie w Lawrence ją złamała.

Sam nie miał tego samego sentymentu do czarnego Chevroleta Impali z 1976 roku, rodzinnego samochodu, który ich ojciec przekazał Deanowi. (Ale Samowi

czasami się wydawało, że nie miał tego przywiązania do swojej ostatniej dziewczyny Jessici, co Dean do Impali). Kiedy auto zostało skasowane kilka miesięcy temu, Dean odbudował je praktycznie od podstaw, zadanie, które zajęło wiele tygodni ciężkiej pracy.

Jednak nawet Sam musiał przyznać, że duży bagażnik był dużym plusem, zważywszy na to, że cały ich dobytek był w tym aucie. Tył obszernej przestrzeni zajęty był przez trzy torby: torbę Sama, torbę Deana i torbę z praniem. Z tej ostatniej zaczęło się wysypywać.

- Będziemy musieli za niedługo zrobić pranie. - powiedział Sam.

- Nie tutaj – powiedział Dean szybko – Coś mi mówi, że ten glina nie był pod zbytnim wrażeniem reporterów Andersona i Barrego. Lepiej stąd spadajmy zanim zdecyduje porównać moją twarz z kartoteką.

Sam kiwnął głową, zgadzając się. Dean nadal był poszukiwany za serię morderstw popełnionych przez zmiennokształtnego, który przybrał jego kształt w St. Louis wcześniej tego roku i nie było mowy, żeby „zmutowane dziwadło, które wyglądało tak jak ja, to zrobiło" przeszło w prokuraturze.

Dean zamknął bagażnik i poszli do biura. Jak większość miejsc, w których zostawali Winchesterowie *Klub i Motel Bowlesa* był tanią dziurą z minimalnymi udogodnieniami. Wszystko, czego potrzebowali to dach, łóżko i działający prysznic – mimo, że to ostatnie było w niektórych motelach na chybił-trafił – i nie spali na kasie.

Walka z demonami, potworami i rzeczami, które bawiły się nocą było ważne, ale nie popłacało. Żyli z podrabiania kart kredytowych i wygranych Deana w pokera. A to oznaczało, że Hyatt nie było opcją.

Weszli do brudnego biura, które miało popękane panele, mocno poplamiony beżowy dywan i podziurawione biurko. Za biurkiem siedziała starsza kobieta, paląc papierosa siedząc pod informacją NIE PALIĆ i czytając książkę Dana Browna. Na twarzy miała wystarczająco makijażu, żeby iść na imprezę Halloweenową jako Joker, a jej włosy trzymały się na lakierze w czymś, co usilnie starało się być ulem. Sam był całkiem pewny, że mógł uderzyć tą fryzurę czymkolwiek z bagażnika Impali i nawet jej nie zarysować. Miała plakietkę z imieniem, która mówiła MONICA.

- Hej – powiedział Dean – wymeldowujemy się.

Monica zaciągnęła się po raz ostatni, a potem zadusiła papierosa w popielniczce.

- Nazywacie się Winwood, tak? - zapytała zachrypniętym głosem.

Samowi udało się nie przewrócić oczami. Sam chciał, żeby Dean chociaż raz wybrał jakiś niepozorny alias.

- Tak. - powiedział Dean z uśmiechem – Jesteśmy gotowi się wymeldować.

Translate_Team

- Tak, jest mały problem. Wasza karta kredytowa została odrzucona. Będę potrzebowała innej.

Dean znów wyglądał na spanikowanego, ale tym razem Sam się nie uśmiechnął.

- Odrzucona. Naprawdę. - Dean spojrzał na Sama bezradnie, a potem z powrotem odwrócił się do Moniki. - Mogłabyś spróbować jeszcze raz?

Posłała Deanowi miażdżące spojrzenie.

- Próbowałam trzy razy. Tylko tyle pozwalają.

- Powiedzieli dlaczego?

- Nie, bez powodu. Chcecie zadzwonić do firmy produkującej karty? Możecie użyć tego telefonu. - podniosła z biurka telefon – w którym, jak zauważył Sam z zaskoczeniem wybierało się numer kręcąc kółkiem – i wysunęła go w stronę Deana.

- Um, nie... to, um... - to chyba nie pomoże.

Sam zdał sobie sprawę dlaczego Dean opóźniał. Miał inne karty kredytowe, ale żadna nie była zarejestrowana na Deana Winwooda.

Szybko Sam wystąpił naprzód, sięgając do tylnej kieszeni spodni i powiedział:

- Ja zapłacę.

Wyjął z portfela jedną ze swoich fałszywych kart kredytowych i podał ją Monice.

Wzięła ją i gapiła się na nią. Sam miał nadzieję, że tego nie zrobi, skoro na tej też nie pisało Winwood.

- Myślałam, że jesteście braćmi.

Bez najmniejszej pauzy Sam powiedział:

- Jesteśmy, ale zostałem adoptowany. Zanim odnalazłem moich prawdziwych rodziców zdążyli umrzeć, więc zmieniłem nazwisko na McGillicuddy w hołdzie im.

Twarz Moniki zmieniła wyraz no coś, co Sam podejrzewał było uśmiechem.

- To takie miłe z twojej strony. Jakim ty jesteś miłych chłopcem.

Przesunęła kartę w odpowiednim miejscu i wpisała kwotę trzech nocy.

Czekanie, aż maszyna sprawdzi kartę było nieskończenie długie. Dean, trzeba mu oddać honor, zdążył się otrząsnąć i miał tak pusty wyraz twarzy jak nigdy.

W końcu, po kilku wiecznościach maszyna wydała z siebie dźwięk, a na małym wyświetlaczu pojawiło się słowo: ZAAKCEPTOWANA.

- W porządku – powiedziała Monica nadal się uśmiechając, kiedy pod biurkiem rozległ się dźwięk drukowania. - To pańska karta, panie McGillicuddy.

- Dziękuję. - powiedział Sam, odbierając ją i wkładając do portfela.

Translate_Team

- Takie dobre maniery. Pan i Pani Winwood najwidoczniej dobrze was wychowali.

Dean się uśmiechnął.

- Tak, prze pani, odwalili kawał dobrej roboty.

Monika podała wtedy wydruk z karty kredytowej Samowi.

- Tylko tu podpisz i możecie iść.

Kiedy wszystko już zostało zrobione wyszli na zewnątrz.

- Niezła akcja ratownicza, Samiś – powiedział Dean z szerokim uśmiechem. - Wiesz co, chyba w końcu zaczynam to czaić.

Sam zmarszczył czoło. To brzmiało podejrzanie jak początek jakiejś tyrady, której koniec będzie żartem na temat osoby Sama.

- Czaić co?

- Cóż, Sammy, wyrośliśmy razem i przez ten cały czas nic w tobie nigdy nie krzyczało „prawnik". Więc kiedy powiedziałeś mi, że wysłałeś podanie do szkoły prawniczej to zbiło mnie z tropu. Ale obserwowałem cię przez ostatni rok i chyba w końcu to wykombinowałem.

No i się zaczyna. Sam próbował nie jęknąć.

- Możesz wciskać kit tak samo dobrze, jak każdy, kogo spotkałem. Ten tekst, który wcisnąłeś Monice o adopcji? Piękny. I to bez żadnych oznak.

Po prawdzie, zdolności Sama w kłamaniu – tak samo w udawaniu bycia kimś innym jak i wyprowadzaniu ludzi w pole jeśli chodzi o prawdziwą naturę jego życia i świata – były jedną z rzeczy, które przyciągnęły go do prawa. Jego życie jako syna łowcy paranormalnych kreatur, oraz trening, aby samemu zostać łowcą i tak dał mu te zdolności i wydawało się naturalnym, żeby zrobić z nich użytek.

Ale to nie było tym, co powiedział bratu.

- Ta, mogę zamknąć ludziom oczy. Robię większość badań i mam dużą wiedzę. I jestem dobry z bronią i walką wręcz. - Dotarli do Impali i Sam uśmiechnął się do brata, kiedy podchodził do drzwi od strony pasażera. - Więc do czego cię tak w ogóle potrzebuje.

Zanim Dean mógł jednak odpowiedzieć, jego telefon zaczął wygrywać *Deep Purple – Smoke on the Water*.

- A tak w ogóle – dodał Sam – To ja ci pokazałem jak ściągać dzwonki.

Wyciągając telefon z kieszeni Dean się skrzywił.

- Sam bym to w końcu wykombinował.

Otworzył telefon i spojrzał na numer, co spowodowało, że jego oczy się poszerzyły bardziej niż w biurze. Przykładając go do ucha, powiedział:

- Ellen?

To zaskoczyło Sama. Ellen Harvell prowadziła przydrożny zajazd dla łowców. On i Dean ostatnio dowiedzieli się, że jej mąż umarł, kiedy polował z ich tatą i to trochę nadwyrężyło ich przyjaźń – zwłaszcza, że dowiedzieli się tylko

dlatego, że córka Ellen, Jo wymknęła się i poszła na polowanie z nim i Deanem sprzeciwiając się jej stanowczym rozkazom.

Lata słuchania głośniej muzyki i używania broni palnej zaszkodziły słuchowi Deana, dlatego głośność w jego telefonie była na fulla. To oznaczało, że Sam mógł usłyszeć cichy głos Elleny przez głośnik telefonu.

- Słuchaj – powiedziała – mogę mieć dla was robotę.

- Serio? Bo...

- To dla Asha. Sam by nie poprosił, ale skoro on zrobił wam przysługę, pewnie będziecie chcieli zrobić jedną dla niego. - Ellen zdawała się biec przez rozmowę nie dopuszczając Deana do słowa.

Albo przynajmniej próbując. Utrzymywanie Deana cicho było zwykle straconą bitwą.

- Jasne... Chyba. - uśmiechnął się głupawo – Zawsze miałem słabość do tego muła. Co mu trzeba?

Ellen powiedział Deanowi szczegóły sprawy i zrobiła to ściszonym głosem, więc Sam nie wszystko zrozumiał. Ash był leniwym pijakiem, który mimo wszystko był geniuszem zdolnym wytropić demony przy pomocy komputera, trik, którego Sam nie potrafił się nauczyć mimo wielu prób. Jak Dean kiedyś powiedział, kujon-fu Asha było mocne. Sam nie do końca wierzył w jego historyjkę, że chodził do MIT – po pierwsze, powiedział, że to był collage w Bostonie, a każdy kto tam chodził wiedziałby, że był w Cambridge – ale wierzył, że Ash miał wiedzę, od czasu, kiedy pomógł jemu i jego bratu.

- Okej. Sprawdzimy to. - Z tym Dean zamknął telefon i spojrzał w kierunku drogi. - ta droga wyprowadzi nas na osiemdziesiątkę, tak?

Sam spróbował sobie przypomnieć mapę.

- Tak myślę. A co, gdzie jest ta robota?

Dean pokazał w uśmiechu wszystkie zęby.

- W mieście tak fajnym, że nazwali je dwa razy: Nowy York, Nowy York.

- Serio? - Sam odwrócił się i z powrotem podszedł do bagażnika. - Otwórz, chce ci coś pokazać.

- Coś w Nowym Yorku? - powiedział Dean, dołączając do niego z tyłu, skoro to on miał klucze.

Kiedy Dean otworzył bagażnik, Sam wyjął z torby folder.

- To może być nic, ale zauważyłem kilka morderstw, które miały tam miejsce.

- Sam, to Nowy York. Oni tam mają, jakieś... pięćdziesiąt morderstw dziennie.

- I to jest prawdopodobnie powód, dla którego te dwa zostały niewykryte.

Wyjął fotokopie wycinków z gazet, które oglądał w kilku bibliotekach publicznych, które ostatnio odwiedzili.

- Po pierwsze mamy faceta zamurowanego w piwnicy. - Sam podał Deanowi kartkę A5 z artykułem w sekcji *New York Daily News* poświęconej wiadomościom

Translate_Team

społecznym o mężczyźnie imieniem Marc Reyes, który został znaleziony zamurowany w piwnicy domu na Bronxie.

Kiedy Dean patrzył na fotografię Sam kontynuował:

- I ostatniej niedzieli dwóch chłopaków z college'u zostało pobitych na śmierć przez orangutana. - Dean podniósł na niego wzrok, kiedy to usłyszał.

- Serio? - Sam kiwnął głową.

- To są dwa morderstwa prosto z miniaturek Edgara Allana Poe.

- To jest trochę naciągane. - powiedział Dean, kiedy oddawał mu historię o zamurowanym facecie.

- Może, ale oba miały miejsce w Bronxie. I pierwsze morderstwo miało miejsce piątego – ciało znaleźli dopiero dwa dni później, ale stało się to piątego, co oznacza...

- Ostatnią pełnię - powiedział Dean kiwając głową. - Tak, jasne, może, ale...

Wrzucając folder z powrotem do bagażnika Sam powiedział:

- I orangutan był w ostatniej ćwiartce. - Nie musiał dodawać, że wiele rytuałów było opartych na fazach księżyca. - To nie jest nic wielkiego, ale skoro i tak jedziemy do Nowego Yorku, pomyślałem, że możemy to sprawdzić kiedy... um... zrobimy, cokolwiek to jest, co mamy zrobić.

Dean zamknął bagażnik.

- Nawiedzenie. Jakiś przyjaciel Asha ma problemy z duchami. Więc do kogo ma zadzwonić?

Sam się zaśmiał. Wsiedli do auta, Dean po stronie kierowcy.

- To naprawdę dziwne.

- Co, to, że ktoś jest nawiedzany? Widzimy to cały czas.

- Nie. - powiedział Sam, kręcąc głową. - to, że Ash miałby przyjaciela.

Dean też się zaśmiał, wkładając kluczyk do stacyjki. Szeroki uśmiech pojawił się na jego twarzy, kiedy silnik Impali zapalił.

- Usłysz pomruk silnika.

Krzywiąc się na siedzeniu pasażera Sam pomyślał: *Przysięgam na Boga, że jeżeli zacznie głaskać deskę rozdzielczą to do Nowego Yorku* pójdę pieszo.

Ale zostało mu to oszczędzone. Dean wcisnął kasetę z Metalliką do odtwarzacza, podkręcił głośność i auto zostało wypełnione dźwiękami gitary w piosence *Enter Sandman.*

Dean odwrócił się do niego.

- „Atomowe baterię włączone."

Patrząc wilkiem na starszego brata Sam powiedział

- Powiem „Turbiny w ruch" tylko jeśli nie walniesz komentarza o mnie w krótkich zielonych spodenkach.

Dean pociągnął drążek w dół do R i powiedział:

- Ruszajmy.

Translate_Team

Wycofał z miejsca parkingowego, potem przesunął drążek do D i pojechali.

Translete_Team

Rozdział 3

W drodze
Międzystanowa 80, blisko
Mostu Georga Washingtona
Czwartek, 16 listopad 2006

- Jak może być aż tylu ludzi na drodze?

Sam próbował się nie śmiać na żałosne jęki Deana, który zadał to pytanie już piąty raz w ciągu ostatnich dziesięciu minut – czas w ciągu którego Impala ruszyła się może o jakieś 20 metrów.

Jechali całą noc. Sam zasugerował, żeby zatrzymali się na noc w motelu, ale Dean chciał szybko dotrzeć na miejsce. Zatrzymali się w motelu Clarion w Pennsylvani żeby zmienić się umyć i przebrać, ale nie zostali na noc. Zamiast tego jechali przez Pennsylvanię i New Jersey zmieniając się za kółkiem.

Niestety to oznaczało, że dojechali do mostu Georga Washingtona w ciągu porannego szczytu i korek był długi i ciasny.

Dean był gotów wyjść z siebie.

- Musi być jakiś szybszy sposób, żeby dostać się do miasta.

Sam nie zaprzątał sobie głowy patrzeniem na mapę, ponieważ powtórzyli tą rozmowę już kilka razy.

- Tunel Lincolna i Tunel Hollan są dalej od Bronxu i są tunelami – prawdopodobnie mają jeszcze większy korek ponieważ muszą wcisnąć więcej samochodów do mniejszej...

- W porządku! - Dean uderzył rękoma w kierownicę.

Znajomy Asha mieszkał w sąsiedztwie zwanym Riverdale, które również znajdowało się w Bronxie, co oznaczało, że Samowi będzie łatwiej zbadać morderstwa Poe'a.

- Ta inna rzecz o której mówiłeś – powiedział Dean – Mówiłeś, że wszystkie były z historii Eddiego Alberta Poe?

- Edgara Allana Poe, tak.

- Dobra, nieważne. To jest ten gościu od „Kruka", tak?

Sam popatrzył przez chwilę na Deana po czym powiedział:

- Czytasz poezję?

- Było kiedyś na *Simpsonach*. No dalej, rusz się, cholera! - Dean nagle krzyknął na auto przed nimi. - Jezu nie musisz zostawiać odległości pięćdziesięciu aut między tobą, a gościem z przodu. - Znowu uderzył w kierownicę – Przysięgam, że ci ludzie znajdują prawa jazdy w pieprzonych pudełkach po krakersach.

- W każdym razie – powiedział Sam, bardziej żeby odsunąć myśli Deana od drogi niż cokolwiek innego – gościu w piwnicy jest z „*Beczki Amontillado*", a

Translate_Team

orangutan z „*Zabójstwo przy Rue Morgue*” - która przy okazji była pierwszą historią detektywistyczną.

- Serio?

- Tak, ta historia wpłynęła na Sir Arthura Conan Doyla, kiedy pisał Sherlocka Holmesa.

- Ta... dzięki Marianno Bibliotekarko.

Sam był szczęśliwy, że Dean go podpuszczał, ponieważ to oznaczało, że przestał myśleć o...

- Hej! Użyj tego cholernego kierunkowskazu, co?

… jeździe.

- Wziąłem literaturę jako przedmiot dodatkowy na Stanford – tytuł wykładów to „Nawiedzenia w Ameryce”, było tam wszystko o użyciu paranormalnych wątków w amerykańskiej fikcji, włączając w to Poe'a. - wzruszył ramionami – Byłem ciekawy jakie są interpretacje pop kulturowe tego, co robimy.

- Co, „*Z Archiwum X*” nie wystarczy?

- Serio Dean, powinieneś przeczytać historie Poe'a. „*Zagłada domu Usherów*”, „*Maska Czerwonej Śmierci*” - niektóre z tych rzeczy brzmią jakby były wzięte wprost z naszej roboty. Zaczynasz się zastanawiać co widział, że to napisał. No bo on praktycznie stworzył gatunek horroru.

- Więc, Profesorku, jak myślisz o co chodzi z tymi morderstwami? Fazy księżyca, odtwarzanie starych miniaturek – brzmi jak jakikolwiek znany ci rytuał?

- Nie od razu, ale jest coś jeszcze. Wcześniej, kiedy miałem wyjęte mapy? Sprawdzałem coś i oba morderstwa zostały popełnione dokładnie milę od od Domku Poe'a.

- Po pierwsze, co to jest Domek Poe'a?

- Poe mieszkał w Bronxie przez kilka lat w maleńkim domku.

- Stary widziałem „*Fort Apache*” - Bronx nie ma domków. Hej, idioto, wybierz cholerny pas!

Sam nagle miał ochotę złapać deskę rozdzielczą.

- Miało w XIX w. Bronx nie był nawet częścią miasta Nowy York, aż do 1890 czy coś koło tego. W każdym razie, ponieważ Poe tam mieszkał zachowali domek – i umarła tam jego żona.

Dean kiwną głową.

- Okay, więc miejsce ma jakieś emocjonalne znaczenie. Dalej nie mogę połączyć kropek.

Wzruszając ramionami Sam powiedział.

- Ja też.

- Po drugie, dlaczego nie powiedziałeś mi tego, kiedy bawiłeś się z mapami? Myślałem, że próbowałeś znaleźć alternatywną drogę.

Zdumiony, że Dean musiał nawet pytać, Sam powiedział:

Translate_Team

- Miałeś w odtwarzaczu kasetę *Led Zeppelin II*. Wiem, że lepiej nie próbować prowadzenia z tobą jakiejkolwiek inteligentnej konwersacji, kiedy leci *Whole Lotta Love.*

Dean otworzył usta, potem je zamknął, a potem znów otworzył:

- Dobra, okay, w porządku.

Dalej pełznęli wzdłuż mostu i Sam zauważył, że dojeżdżali do budki opłat. Dean zobaczył, że niektóre korki poruszały się szybciej i wśliznął się w jeden z nich.

- Ech, stary, to jest przejazd z przepustką.
- O kurde!

Zmorą Winchesterów było rozpowszechnienie się tego typu przejazdów, Szybkich Pasów Ruchu i innych usług wymagających wciśnięcia za wycieraczki kawałka plastiku, który zeskanowałaby maszyna odejmując sumę z karty kredytowej, albo z opłat robionych czekiem. Pierwsze wymagało ciągłego połączenia internetowego kartą, na którą nie było stać Deana i Sama, a wszystkie ich karty kredytowe używały połączenia telefonicznego. Sam zastanawiał się nad zrobieniem czegoś takiego z kontem, które posiadał na Stanford i przez które utrzymywał telefon i internet, ale teraz, kiedy byli poszukiwani przez prawo, przymocowywanie do auta czegoś, co mogło ich namierzyć nie było zbyt roztropne.

Jednakże Pasy, na których płaciło się na bieżąco były dużo wolniejsze, co, jak wiedział Sam tylko pogorszy i tak już zły humor Deana.

Wkrótce świadomość, że będzie musiał stać w korku, podczas gdy inne auta przejeżdżały przez pas szybkiego ruchu zniszczyła całą, rozpraszającą pracę Sama i Dean trzymał teraz mocno kierownicę prawą ręką, a lewą uderzał w drzwi kierowcy cały czas mamrocząc przekleństwa.

Rozpoznając daremne wysiłki Sam wyciągnął swojego Treo i użył wyszukiwarki internetowej. Była wolna – tak samo szybka jak połączenie telefoniczne – ale w końcu udało mu się znaleźć i przeglądnąć stronę internetową zespołu przyjaciela Asha – Scottso.

Zanim skończył o nich czytać byli następni w kolejce do opłat.

- Stary – powiedział nagle Dean – masz drobne?

Sam spojrzał na niego.

- Przepraszam? To ty jesteś pan Poker Player.
- Pamiętasz tą dziewczynę w South Bend, studentkę Notre Dame, która...

Pod żadnym pozorem Sam nie chciał słyszeć zakończenia żadnej historii, którą Dean zaczynał słowami *pamiętasz tą dziewczynę*.

- Dobra, nieważne.

Sam próbował się wyprostować najbardziej jak było to możliwe i wcisnął rękę do kieszeni spodni. Wyciągnął trochę piasku, trzy monety 25 centowe, kilka

Translate_Team

wizytówek, z napisem SAM WINCHESTER REPORTER, które zrobił w drukarni w Indianie i zacisk do pieniędzy z monogramem, który miał w sobie cztery papierowe pieniądze, z czego jeden miał na sobie dziesiątkę. Ostrożnie ją wyjął i podał Deanowi.

Dean zapłacił poczekał na resztę, odpowiedział na „miłego dnia" ekspedientki jakimś pomrukiem, a potem wcisnął cztery dolary reszty do kieszeni koszuli.

Sam zastanawiał się, czy się nie sprzeciwić, ale potem zdecydował, że życie było jednak zbyt krótkie, mówiąc zamiast tego:

- Chcemy dojechać do Henry Hudson Parkway, więc zostań na prawym pasie.

Dean kiwnął głową, kiedy zaczęli jechać.

Przez chwilę Sam miał czas żeby obserwować widoki. Most Georga Washingtona był jednym z najsławniejszych w kraju i mimo, że nie wyglądał tak charakterystycznie jak Golden Gate – który odwiedził podczas wycieczki do San Francisco, którą odbył z Jess – albo jak Brooklyn Bridge tu, w Nowym Yorku, to nadal miał pewien majestat, który podziwiał.

Kiedy Impala jechała po moście – nadal jadząc mniej niż 30 na godzinę, co i tak było lepsze od prędkości, przy której wskazówka prędkościomierza nawet się nie ruszała – Sam odwrócił się na prawo. Dzień był czysty, więc widział najsławniejszą panoramę świata: szare, czerwone, srebrne i brązowe drapacze chmur sięgały w górę, każdy innego rozmiaru i kształtu, ze szczytem Empire State Building sięgającym najwyżej. Był to złożony melanż skonstruowanego życia, monument ludzkiej wyższości nad naturą.

Student w nim desperacko pragnął odkryć wewnętrzne działania tego monumentu, nie ważne, czy grając turystę i zwiedzać, tak jak robił to z Jess w San Francicso, czy sprawdzając ciemną stronę tego miejsca, żeby sprawdzić, czy tysiące wyrosłych tu legend były prawdą: Aligator w ściekach, duch konduktora w metrze, silosy rakietowe we wschodnich budynkach mieszkalnych.

Uparł się o siedzenie czując melancholię. Ich życia nie pozwalały na nic takiego. Przychodzili, robili co do nich należało, wychodzili. Nawet Dean był teraz na radarze FBI i mimo, że Sam nie mógł znaleźć nakazu aresztowania z jego nazwiskiem (i Dean lubił mu przez to dokuczać) to był całkiem pewien, że też nie zostałby zignorowany przez policję. Musieli być ostrożni – co oznaczało brak jakiegokolwiek pobłażania sobie. Zwiedzenie Statuy Wolności, wyjście na szczyt Empire State Building, odkrywanie Central Parku, nawet wejście pod ziemię, żeby sprawdzić historię o aligatorach, lub duchu i pociskach jądrowych, nic z tego nie mogło być jego celem. Ich praca ratowała życia, co oznaczało, że czas, który spędzali nie robiąc, co do nich należało mógł pozbawić życia.

Taka jest praca. I musi zostać zrobiona. Jedną z rzeczy na jego pięciokilometrowej liście żalów było to, że zrozumiał to dopiero po śmierci taty.

Translate_Team

SUPERNATURAL

Wyjazd na Henry Hudson był zaraz za mostem i Dean nie omieszkał wyrazić swojej ulgi, że większość korka, która na niego wjeżdżała jechała na południe, co zabrałoby ich na Manhattan. Prawie nikt nie jechał na północ.

Jednakże potrzeba szybkości Deana została ukrócona przez samą drogę, która biegła przez wzgórza, była pełna zakrętów i po krótkiej chwili Sam trzymał się deski rozdzielczej, jakby zależało od niej jego życie.

Czując potrzebę odwrócenia swojej uwagi od tego, że Dean używał pasa bardziej jako przewodnika, niż jako zasady Sam powiedział:

- Więc, sprawdziłem zespół tego gościa w necie. Zaczynam rozumieć dlaczego Elen pomyślała o nas – robią covery... zespołów z lat siedemdziesiątych.

Po raz pierwszy odkąd wjechali na I-80 twarz Deana rozjaśniała.

- Serio?

- Tak, nazwali się po DJ-u który umarł kilka lat temu i nazywał się Scott Muni.

- Stary – powiedział Dean znajomym tonem. Oznaczał on, że Sam nie znał jakiegoś dziwnego i bezużytecznego kawałka muzycznego slangu, który dla Deana wydawał się być niezbędny do życia. Sam przygotował się na tyradę, kiedy Dean zaczął mówić – To się wymawia Mjuni, nie Manej. Nazywali go Profesorem, był jednym z najlepszych DJ-ów rocka lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Znasz „*Caravan*" Van Morrisona? Scottso, o którym mówi to Muni.

Sam kiwnął głową, mimo że nie znał piosenki i DJ-a o którym była mowa, i wcale go to nie obchodziło. Dostał wystarczająco długą pogadankę na temat muzyki Roberta Johnsona podczas tej roboty z Ogarem Piekielnym.

- Cóż, przyjaciel Asha – powiedział Sam, kiedy już był pewien, że Dean skończył go douczać – Manfred Afiri jest głównym piosenkarzem i gitarzystą. Jest czterech innych gości, klawiszowiec Robbie Maldonado, następny gitarzysta Aldo Emmanuelli, basista Eddie Grabowski i perkusista Tom Daley. Grają w weekendy w miejscu w Larchmont zwanym Park In Rear.

Dean spojrzał kątem oka na Sama.

- Serio?

Droga w końcu się wyprostowała, w porę, żeby postawić znak ostrzegający przed kolejną opłatą.

- Och, jaja sobie robisz! Nie dość, że musieliśmy zapłacić sześć dolców, żeby się dostać do tego miasta, to teraz musimy płacić więcej?

Sam uniósł brew, kiedy usłyszał „my" w tym zdaniu, i powiedział znacząco:

- Masz cztery dolce w kieszeni.

- Ta, ta.

Dean zatrzymał się za kilkoma innymi samochodami w jednej jedynej linii zaznaczonej jako TYLKO GOTÓWKA, podczas gdy inne auta przejeżdżały pasem szybkiego ruchu. Sam zaczynał myśleć, że to konspiracja.

Translate_Team

Kiedy już się przedostali i przejechali przez inny mniejszy mostek, który przywitał ich w Bronxie Sam powiedział:

- Zjeżdżamy na 246-tym.

- Okay.

Droga nadal zawijała się przez kilka innych zjazdów, z których większość zaczynała się na 200, zanim znaleźli swój.

W przeciągu sekund całkowicie się zgubili. Przejechali przez kilka wzgórz i kilka dróg, które nie były proste i byli sfrustrowani skokami w numeracji ulic. Okolica wyglądała zaskakująco jak przedmieście, z kilkoma naprawdę dużymi domami, które miały ogródki – żadne nie było obrazem, które Sam kojarzył z Nowym Yorkiem, zwłaszcza po widoku stojących blisko siebie drapaczy chmur, które widział z mostu.

- Myślałem, że ulice w tym mieście krzyżowały się pod kątem prostym. - powiedział Dean przez zaciśnięte zęby.

- Tak jest w Manhattanie, Dean. - powiedział Sam cierpliwie.

- Świetnie.

Droga prowadziła w dół i w prawo do skrzyżowania. Sam zobaczył zielony znak z nazwą ulicy, który identyfikował następną jako East 248th Street.

- Tam! - powiedział, wskazując. - to jest 248-a. Skręć w prawo.

- Przysięgam Sammy, jeśli to nie jest ta przecznica to zawracam do Indiany.

Sam powstrzymał się od przypominania, że nie ważne czy jechali do domu Afiriego, czy z powrotem na most to i tak nie wiedzieli gdzie są. Poza tym, zauważył numer jednego z domów, które mijali.

- Jesteśmy w dobrym miejscu. Tam, to jest jego dom.

Na ulicy nie było żadnych miejsc parkingowych, ale koło domu Afiriego był podjazd, więc Dean tam zaparkował Impalę.

Kiedy auto się zatrzymało, Sam wyskoczył wdzięczny za szansę na rozciągnięcie jego długich nóg po raz pierwszy odkąd tankowali w Scotrun w Pennsylvanii. Kolana mu strzelały, kiedy się prostował.

- Fajny, - powiedział Dean i Sam musiał się zgodzić.

Dom był trzypiętrowym budynkiem kolonialnym, z kamiennym kominem po jednej stronie, drewnianym gankiem z huśtawką i drzwiami frontowymi z ciemnego drewna z małym witrażowym oknem.

Ellen dała Deanowi tylko nazwisko i adres, oraz nazwę zespołu, w którym gościu grał, więc nie mieli pojęcia czy będzie w domu. Za dźwiękiem dzwonka podążyła pełna minuta czekania, wskazując, że go nie było.

- Dobra, włammy się. - powiedział Dean, sięgając do kieszeni po przybory.

Sam położył mu rękę na ramieniu zanim zdążył wyjąć pudełko.

- Lepiej nie. Powinniśmy mu pomagać, pamiętasz?

- Powiemy mu, że Ash nas przysłał.

Translate_Team

- A jeśli nam nie uwierzy i zadzwoni po gliny? Dean, nie możemy sobie pozwolić na popełnianie wykroczeń, chyba, że jest to absolutnie konieczne, a jeszcze nie jest. Dopiero tu przyjechaliśmy. Sprawdźmy Poe'a i wrócimy wieczorem, kiedy będzie bardziej prawdopodobne, że jest w domu.

Dean patrzył się na Sama przez sekundę. Przez sposób w jaki poruszały się oczy Deana Sam wiedział, że jego brat próbował znaleźć powód, który sprawi, że będzie miał rację i nie potrafi tego zrobić.

W końcu Dean odwrócił się i poszedł do auta.

- Dobra, ale nigdzie się nie wybieramy, dopóki nie znajdziesz sposobu na wyjechanie z tego wariatkowa. - otworzył drzwi od strony kierowcy – Które miejsce zbrodni chcesz zobaczyć najpierw, dom z zamurowanym gościem, czy ulicę na której małpka dała klapsa?

Sam się uśmiechnął.

- Żadne. Orangutan, który zabił tych dwóch dzieciaków był z Zoo w Bronxie. Powinniśmy tam zacząć. Powiemy, że jesteśmy... nie wiem, z magazynu *Konserwatorów Dzikiego Życia* albo coś.

- Nie, nie to – *National Geographic.*

- Um, okay. - Sam wzruszył ramionami. - Nie żeby to miało znaczenie, ale dlaczego nie z *Konserwatorów Dzikiego Życia?*

- Ponieważ prowadzi go WCS, tak samo jak Zoo w Bronxie, To byłoby jak badanie czegoś na Ranczu Skywalkera i mówieniu, że jesteśmy ze Star Wars. Od razu wiedzieliby, że jesteśmy fałszywi. - Z tym Dean wsiadł do auta.

Sam otworzył drzwi i wsiadł do samochodu.

- Odkąd wiesz aż tyle o magazynach na temat zwierząt?

- Cassie je prenumerowała.

To sprawiło, że Sam się uśmiechnął. Cassie była jedną z byłych Deana. Patrząc na naturę Cassie, którą Sam osądził na podstawie ich jedynego spotkania w Missouri, wcale nie był zdziwiony, że popierała *Konserwatorów Dzikiego Życia.*

Sam wyciągnął mapy, żeby znaleźć najlepszą możliwą drogę do Zoo. Kiedy to robił Dean zapytał.

- Hej, czy Zoo w Bronxie ma pingwiny? Jak w *Madagaskarze*?

Nie odrywając wzroku od mapy Sam powiedział:

- To było Zoo w Central Parku. Znaczy, Zoo w Bronxie też je prawdopodobnie ma...

- Tak, ale prawdopodobnie nie są aż tak zajebiste, jak te z Madagaskaru. No bo wątpię, czy mogą przejąć frachtowiec albo walczyć wręcz.

- Cóż Dean, jeśli mogą to będziemy mieli trzy roboty...

Translate_Team

Rozdział 4

Zoo w Bronksie
Bronx, Nowy York
Czwartek, 16 listopada 2006

Clare Hemsworth odsunęła kawałki trawy z logo *Konserwatorów Dzikiego Życia* znajdującego się na jej niebieskiej koszulce, kiedy szła w stronę pawilonu Dzikiej Azji. Nie było wielkich tłumów w listopadzie, ale odwiedzający Zoo w Bronxie nadal chcieli Dzikiej Azji.

Clare pamiętała jej matkę mówiącą o tym, jak podniecająca jest Dzika Azja, kiedy została ona otwarta w późnych latach '70. Sama nie potrafiła sobie wyobrazić co w tym takiego było. Jednoszynowa kolejka była tak strasznie retro i nie mogła sobie wyobrazić co było takiego ciekawego w zwierzętach chodzących na wolności. Oczywiście w epoce kamienia łupanego, kiedy jej mama była dzieckiem, możliwe było, że zobaczenie zwierząt poza klatkami było czymś wielkim, ale teraz już nie było tego elementu nowości. Pociąg był kiepskim kawałkiem plastiku, który – czego Clare była pewna – pewnego dnia wypadnie z toru.

Ale cóż, generalnie była w złym nastroju. Odkąd umarli ci dwaj chłopcy rozmawiała już z reporterami, policją i prawnikami reprezentującymi Uniwersytet Fordham i naprawdę miała już tego dość. Prawnicy byli najgorsi – dobra, gliny i reporterzy robili swoją robotę, ale dlaczego musieliśmy wysłuchiwać gówna od legalnych orłów z Fordham tylko dlatego, że dzieciaki, które umarły były ich studentami? Nawet nie zabiło ich na kampusie!

- cPrzepraszam, pani Hemsworth?

Clare zamknęła oczy i wypuściła oddech. W tym tygodniu przeprowadziła około pięćdziesięciu rozmów, które zaczynały się tymi trzema słowami i wszystkie były jak leczenie kanałowe, tylko że bez znieczulenia. Jeśli to nie był ktoś z WCS zamierzała im powiedzieć, żeby się odpieprzyli tak szybko...

Odwróciła się i zobaczyła najprzystojniejszego faceta, jakiego w życiu widziała.

Był z nim jakiś inny koleś, ale nie zwracała na niego zbytniej uwagi, była skupiona na tym jednym. Miał takie niesamowite brązowe oczy i jeśli to on wypowiedział jej imię, to miał najseksowniejszy głos jaki kiedykolwiek słyszała. W tej chwili zdecydowała, że zrobi wszystko o co on poprosi. Był wysoki, ale nie zastraszający jak niektórzy faceci. Jego przydługie, gęste włosy były ładnie uczesane i miał cudowny mały nos.

- Och, tak, to... to ja jestem pani Hemsworth. Um, Clare.

Ten drugi, niższy powiedział:

- Miło cię poznać Clare. Nazywam się John Mayall, a mój kolega to Bernie Watson, jesteśmy z *National Geographic.*

Clare mrugnęła i z trudem odwróciła wzrok od Berniego Watsona – co za wspaniałe nazwisko! - żeby spojrzeć na tego niższego z krótko przyciętymi włosami, niebieskimi oczami i ustami, które wyglądały, jakby na stałe zastygły w wyrazie głupawego uśmiechu. *John, mu było.*

- Um, dobra. - potem przypomniała sobie SMS-a, którego dostała od Friedy, jej szefowej – Tak! Frieda powiedziała, że chcecie ze mną porozmawiać. Czego wam potrzeba?

- Robimy artykuł o tym orangutanie, który zabił dwóch studentów i powiedziano nam, że to ty się nim zajmujesz.

- Jeśli to zbyt wielki kłopot... - zaczął Bernie

- O nie! - powiedziała szybko, nie chcąc żeby Bernie odszedł, ale nie do końca rozumiejąc dlaczego NG pisałoby tego typu historię.

SMS Friedy mówił, że sprawdziła ich w biurze i mogli pytać o co chcieli, byle tylko trzymali się pytań w notce, którą rozesłali w poniedziałek, ale Clare była zdezorientowana dlaczego w ogóle się fatygowali.

- To nie jest... nie wiem, typowe dla waszej gazety, prawda?

John się uśmiechnął.

- Hej, nie możemy robić wszystkich artykułów z nagimi zdjęciami Pigmejów.

Przewracając oczami Clare zignorowała Johna i spojrzała w górę na Berniego i jego szczere oczy.

- Więc co chcecie wiedzieć? Znaczy, opowiadałam już tą historie jakieś tysiąc razy. Możecie się prawdopodobnie dowiedzieć wszystkiego z gazet.

- Są bardzo sensacyjne. - powiedział Bernie. - Próbujemy wydrukować prawdę i wyjaśnić, że to nie była wina orangutana.

- Och, to wcale nie była wina Deana!

Ten niższy nagle zaczął kaszleć, a potem powiedział:

- Dean? Tak miał na imię?

- Cóż, tak go nazwałam. Wypożyczono nam dwa z Philadelphii i nazwałam ich Hank i Dean, wiecie po *Venture Brothers.*

Patrząc na Johna Bernie powiedział:

- Ja uważam, że Dean to świetne imię dla wielkiej małpy, a ty?

- Nie za bardzo – powiedział John niskim głosem i Clare zaczęła się zastanawiać co się działo. Ale później John z powrotem na nią popatrzył – Więc, Clare możesz nam powiedzieć, swoimi słowami, co się stało?

- Tak, w porządku.

Czuła się trochę wystawiona, więc poprowadziła dwóch reporterów do drewnianego stołu blisko stanowiska z jedzeniem. Biorąc głęboki oddech i starając

się nie zgubić w oczach Berniego przeszła przez całą historię: o tym, jak Dean nagle zwariował i zaczął skakać przed schowaniem się pod kamieniem.

- Nikt nie wiedział go przez jakiś czas po tym, nie obserwujemy ich przecież 24/7, a potem kiedy poszłam nakarmić jego i Hanka nie mogłam go znaleźć. Musicie zrozumieć, żaden z nich nigdy nie spóźnił się na karmienie, nigdy. - oczy zaszły jej łzami i wytarła je rękawem jej niebieskiej bluzki.

John powiedział:

- Musi ci naprawdę zależeć na Hanku i Deanie. To naprawdę wspaniałe – zawsze byłem pod wrażeniem pracy, jaką wykonują ludzi tacy, jak ty.

- Dzięki – powiedziała szybko, a potem spojrzała na Berniego – Więc wiedziałam, że coś było nie tak i rozpoczęliśmy poszukiwania. Zwierzęta czasami wędrują, a Dean zachowywał się trochę dziwnie, ale zwykle mamy naprawdę dobrą ochronę. Ale nic nie znaleźliśmy. - Dobra ochrona była niedopowiedzeniem. Allan i Jimmy stracili pracę przez ucieczkę Deana.

Bernie pochylił się do przodu, podczas gdy John nagle wstał.

- Gazety mówią, że Oddział Kontroli Zwierząt NYPD zabrał Deana. - Clare skinęła głową.

- Zadzwonili do nas od razu, skoro jako jedyni w mieście mamy orangutany. Nasze zwierzęta mają transpondery, żebyśmy mogli je zidentyfikować, więc wysłali mnie do Kontroli Zwierząt. - zadrżała na samą myśl. - Boże, co za okropne miejsce. Wszystkie te zwierzęta zamknięte w małych metalowych klatkach i traktowane jak gówno. Wiem, że większość z nich jest jakoś związana ze zbrodniami, ale... Boże!

Serwetka pojawiła się przed jej twarzą. Spojrzała w górę i zobaczyła Johna z czymś, co miało być zaniepokojeniem na twarzy.

- Dzięki. - powiedziała biorąc serwetkę i wycierając łzy. Nawet prawie się uśmiechnęła; John starał się aż *za* bardzo.

Z powrotem usiadł koło Berniego naprzeciwko niej.

- Więc sprawdziłaś transponder.

- No tak, ale w sumie nie musiałam, wiecie? Znam mojego Deana. - wytarła łzy serwetką. - Biedak był na śmierć przestraszony. Zrobili mu testy krwi i ktoś wstrzyknął mu amfetaminę, możecie w to uwierzyć?

- Kto zrobiłby coś takiego? - zapytał John.

- Pff, oczywiście, że ktoś, kto chciałby śmierci tych dwóch dzieciaków. - Boże, jakim idiotą był ten cały John.

- Więc to nie była wina Deana? - powiedział Bernie i brzmiał, jakby mu ulżyło.

Claer pokręciła głową.

- A byliśmy tacy przestraszeni, że go stracimy. Czasami rodziny ofiar nalegają, żeby dokonać na zwierzętach eutanazji i sędziowie zwykle się z nimi zgadzają.

- Naprawdę? - powiedział Bernie – To okropne.

W tej chwili nie mogła już wydusić z siebie gniewu.

- To typowe. Są częścią tego świata, ale spróbuj uświadomić to ludziom. Chodzę na zaoczne studia prawnicze, żeby móc stworzyć prawa, które utrudnią coś takiego.

- Dobrze dla ciebie – powiedział Bernie – Ja też prawie poszedłem do szkoły prawniczej.

- Naprawdę? Dlaczego się poddałeś? - Bernie się zawahał.

- Dziwne rodzinne sprawy. - powiedział cicho. - W każdym razie, bardzo lubię to, co teraz robię. Uwierz mi.

- Cóż, dobrze dla ciebie. Ale naprawdę powinieneś to przemyśleć. Tak wielu prawników jest nimi tylko po to, żeby reprezentować wielkie firmy i zbijać kasę... potrzebujemy więcej ludzi, którym zależy na świecie, wiesz? Gdzie miałeś iść?

- Stanford, tam robiłem licencjat.

Clare gwizdnęła z uznaniem.

- Ja chodzę do NYU. Chciałabym mieć więcej czasu na zajęcia, ale są drogie i dużo tu pracuje.

Wtedy John powiedział.

- Jestem pewien, że ci się uda. Zdajesz się być zdeterminowana.

- Jestem. - Clare powiedziała szybko do Johna, a potem spojrzała z powrotem na Berniego. *Ma wszystko i mózg też, gdyby tylko skończył Stanford.*

Ale potem John powiedział:

- Powiedziałaś, że rodziny ofiar chcą, żeby dokonać na zwierzętach eu... eutanazji. - John powiedział to słowo jakby nigdy wcześniej nie używał go w rozmowie, co wydało jej się dziwne. - Ale nie poprosili o to tym razem?

Miała nadzieję, że wyciągnie z Berniego trochę więcej na temat jego aspiracji prawniczych, ale John zdawał się być zdeterminowany, żeby wykonać swoją pracę, co Clare rozumiała.

- Nie, Dean miał szczęście - czy to była jej wyobraźnia, czy John krzywił się za każdym razem, kiedy odnosiła się do orangutana po imieniu? - Obaj byli członkami WCS i ich rodziny były pełne sympatii. Kiedy testy krwi udowodniły, że Dean został czymś nafaszerowany, nie nalegali i policjanci byli w tym dniu w dobrym nastroju, więc nam go oddali. - pokręciła głową. - pamiętam jeden przypadek – może w Minnesocie – surykatka ugryzła dzieciaka, który był zbyt głupi, żeby przeczytać znak, który mówił, żeby nie wkładać rąk przez płot. Rodzina odmówiła testu na wściekliznę, więc Zoo musiało uśpić całą rodzinę surykatek.

- Dla mnie to brzmi – powiedział John – jakby uśpili nie tą rodzinę, co trzeba.

Translate_Team

Clare kiwnęła głową, przyznając Johnowi punkt, potem odwróciła się, żeby znów zgubić się w oczach Berniego.

- Więc Dean do nas wrócił, ale nie jest jeszcze na wystawie.

- Czemu?

- Żartujesz? Przeżył wielką traumę. Właśnie wróciłam z karmienia go, a on nie dotknął jedzeni dopóki nie wyszłam. Nie zbliży się do Hanka i nie pozwoli mi się przytulić.

Johnowi opadła szczęka.

- *Przytulasz* go?

Clare nie mogła uwierzyć, że w ogóle musiał o to pytać.

- *Oczywiście*. Ale teraz, kiedy próbuje, on... *syczy*.

Bernie przygryzł kawałek dolnej wargi na sekundę, co Clare uważała za *cudowne.*

- Clare, mogę cię poprosić o przysługę?

- Oczywiście – powiedziała bez wahania. Potem dodała z czymś, co miała nadzieje było kokieteryjnym uśmiechem – Możesz poprosić.

- Możemy... możemy zobaczyć Deana?

Nie na to miała nadzieję, zwłaszcza, że to oznaczało, że będzie musiała go rozczarować.

- Przepraszam, ale naprawdę nie mogę. W tej chwili tylko mnie tam wpuszczają.

John pochylił się do przodu.

- Cóż, jeśli *ty* wyrazisz zgodę...

- To nie zależy ode mnie. Wpuszczają mnie tylko dlatego, że się nimi zajmuję. Może się okazać, że będziemy musieli odesłać ich przez to do Philadelphii. Przepraszam, ale dostanę się w duże kłopoty i... i nie pozwolą mi ich już nawet zobaczyć.

Bernie był słodki, ale nie aż tak. Hank i Dean byli jej chłopcami i nie miała zamiaru pozwolić czemukolwiek narazić jej związku z nimi.

Nawet Berniemu.

Zapytali jeszcze kilka przypadkowych pytań, a potem wstali co ją zaskoczyło i rozczarowało.

- Cóż – powiedział Bernie. - dziękuję za pomoc. Jeśli przypomnisz sobie cokolwiek innego, czym chciałabyś się z nami podzielić zadzwoń do mnie, okay? - sięgnął do kieszeni i wyciągnął pomięty skrawek papieru. - przepraszam, ale skończyły nam się wizytówki. Zamówiliśmy je jakieś trzy tygodnie temu i nadal nic.

Nagle dzwony alarmowe zadzwoniły w głowie Clare. Dlaczego nie zadali więcej pytań? I nawet nie zapisywali, albo coś.

Translate_Team

Ale wzięła numer. Nie była kompletną idiotką. Może mogła porozmawiać bez jego śliniącego się partnera.

John ściskał jej rękę trochę za długo i powiedział.

- Mimo było cię poznać Clare. Mam nadzieję, że Deanowi się polepszy.

- Dzięki.

Wyciągnęła rękę z uścisku Johna zanim on mógł to zrobić, a potem obserwowała jak odchodzili w stronę schodów, które zabrałyby ich w inną część Zoo, albo do jednego z dwóch wyjść.

Marszcząc brwi Clare patrzyła na numer, który zaczynał się na 650. Była całkiem pewna, że NG było zlokalizowane w Waszyngtonie, a ich kod był 202. Była również całkiem pewna, że 650 było gdzieś w Californii. Oczywiście, to mógł być kod Stanford, a w tym wypadku Bernie miałby go z czasów, kiedy tam chodził, ale dlaczego nie zmieniłby go na waszyngtoński, kiedy się przeprowadził zostawiając Stanford?

I dlaczego nie zadawał więcej pytań o Deana lub narkotyk, którego użyli, ani żadnego innego pytania z listy Friedy?

Pokręciła głową, wstała i podeszła do małej budki biletowej przy wejściu do Dzikiej Azji.

- Cześć Clare – powiedziała kobieta w budce, a jej głos odbił się echem i wyszedł przez dziurki w szybie. - Co tam? Kim byli ci goście, którzy z tobą rozmawiali? Ten niższy był gorący.

- Gina możesz dla mnie zadzwonić do Billa? Muszę z nim porozmawiać.

Bill był szefem ochrony – i tym, który zwolnił Jimmiego i Allana. Mimo że nienawidziła tego przyznawać, była całkiem pewna, że powinien wiedzieć o Johnie Mayallu i Berniem Watsonie.

Translate_Team

Rozdział 5

W drodze
Bronx, Nowy York
Czwartek, 16 listopada 2006

- Dobra robota z daniem jej twojego numeru.

Siedząc w siedzeniu pasażera, Dean miał nadzieję, że wydobędzie z brata coś więcej niż westchnienie. Ale Sam prowadził, ponieważ Dean zdecydował, że nie chcę znaleźć się za kółkiem dopóki nie znajdą się w jakimś sensownym miejscu.

Sam próbował racjonalizować.

- Chciałem tylko, żeby była w stanie się z nami skontaktować, gdyby...

- Gdyby chciała się na ciebie jeszcze trochę pogapić? Weź stary, totalnie się jej podobałeś. No bo nawet jej przyniosłem chusteczkę, jak zaczęła płakać, a ona prawie nie zauważyła.

Odchylił się, splatając palce za głową.

- Była nastawiona na Sam-TV.

- Cóż – powiedział Sam – może podobał jej się ktoś, kto się tak nie starał.

- To nie było duże staranie się, to było normalne staranie się.

- Może bardziej by ci się poszczęściło, gdybyś podał jej swoje prawdziwe imię. - Sam się uśmiechnął – No bo to jest oczywiste, że lubi przytulać gości imieniem Dean. A może nie jesteś wystarczająco kudłaty.

Dean miał nadzieję, że Sam tego nie powie. Nie żeby był najmniejszy cień szansy, że Sam tego nie zrobi, ale lubił czasami śnić.

- Słuchaj, to tylko... - potem Dean przerwał.

Orangutan miał tak samo na imię jak on. Na to po prostu nie było odpowiedzi, a był wystarczająco dobrym pokerzystą, żeby wiedzieć, kiedy skończyć.

- Więc jaki będzie następny krok?

- Jesteś po prostu zawstydzony, bo nie wiesz co znaczy „kudłaty”

- Nie jestem idiotą Sam. To znaczy owłosiony. A teraz możesz się na chwilę skupić? Jaki jest następny krok?

- Ty cały czas gadasz o tym, jak to się jej podobałem i to *ja* mam się skupić? - Sam kontynuował zanim Dean mógł odpowiedzieć – Jest prawie szósta, myślę, że powinniśmy jechać z powrotem do Afiriego, sprawdzić, czy jest w domu.

- Dla mnie bomba.

Długą część dnia zajęło im znalezienie w Zoo kogoś, kto w ogóle by się do nich odezwał. Musieli użyć całego swojego uroku i szczerego wyrazu twarzy Sama, żeby przekonać szefa Zoo, że chcieli po prostu zadać kilka pytań dla magazynu.

Translate_Team

- Wszystko co wiemy po dniu pracy to to, że ktoś otruł małpę, poszczuł ją na dwóch studentów, a potem zostawił ją dla Kontroli Zwierząt – co i tak już wiedzieliśmy.

- Myślisz, że to ktoś z Zoo? - Zapytał Sam. Dean wzruszył ramionami.

- Może. To by wyjaśniło jak przeszli przez ochronę, ale, weź, przecież widziałeś tych ludzi. Clare, ta cała Frieda, były oszalałe na punkcie kryteriów. Musiałyby być, żeby tam pracować. Nie widzę, żeby któraś z nich potrafiła tak pobić zwierze tylko dla jakiejś literackiej zabawy.

- Jeśli tym właśnie jest.

Sam westchnął, kiedy zjeżdżał z zatłoczonej autostrady i wjeżdżał w korek na zjeździe, co sprawiło, że Dean zaczął się zastanawiać, czy gdzieś w tym głupim mieście jest jakaś pusta droga.

- Chciałbym móc wiedzieć co oni tam kombinują.

- Nigdzie nie dzwoni, co?

Sam pokręcił głową.

- Jeszcze nie. Dzisiaj przeglądnę dziennik taty, zobaczę czy tam czegoś nie ma. Do dwudziestego nadal mamy cztery dni – wtedy będzie nów, więc wtedy pewnie zabije po raz kolejny. Więc mamy trochę czasu, żeby się połapać.

W końcu dotarli do domu Afiriego. Dean, który był dumny ze swojego wspaniałego poczucia kierunku i bycia zdolnym, do znalezienia wszystkiego, tak długo, jak znajdowało się na drodze nie miał pojęcia jak tam dojechali. Cały Bronx składał się z gór i zakrętów, a to powodowało u niego ból głowy. *Ja chce proste, płaskie drogi. San Francisco nie było tak złe jak to tutaj.*

Tym razem, kiedy zaparkowali koło domu kolonialnego Afiriego stała przed nim na podjeździe ubrudzona błotem terenówka z naklejką na zderzaku, na której pisało: NIE LUBISZ MOJEGO STYLU JAZDY? ZADZWOŃ 1-800-UGRYŹ-MNIE. Ale na ulicy koło podjazdu stało auto sportowe, więc Sam zaparkował koło niego. Przód Impali trochę blokował podjazd, ale Dean stwierdził, że będą w domu gościa, którego blokowali, więc nic się nie dzieję, a to było lepsze niż szukanie jakiegoś miejsca.

- Łoo! Ash nie żartował, macie zajebiste auto.

Dean podniósł głowę wysiadając z samochodu i zobaczył faceta na ganku. Miał długie, kręcone włosy, które w większości były brązowe, gęstą brodę, która w większości był siwa i plastikowe przyciemniane okulary. Miał na sobie koszulkę koncertową Greatful Dead i stare jeansy, które były poplamione na brązowo, zielono i żółto. Dean zdecydował, że będzie dużo szczęśliwszy, jeśli się nie dowie, co je spowodowało. Był również boso.

- Ty pewnie jesteś Manfred Afiri – powiedział Dean. - Jestem Dean Winchester, a to mój brat Sam.

- Ta, Ash wspomniał, że wpadniecie. Co u tego starego skurwiela? Na Boga, proszę powiedzcie, że w końcu zrobił coś z fryzurą? - Uśmiechając się Dean powiedział:

- Nie, nadal z przodu ma biznes...

- ...i imprezę z tyłu – Manfred pokręcił głową – Wiem, że nie jestem dobrym przykładem, żeby mówić o fryzach retro, ale przynajmniej moje jest respektowanym retrem, wiesz, o czym mówię facet, nie?

- Absolutnie – powiedział Dean. On i Sam podeszli do ganku. Sam powiedział.

- Słyszeliśmy, że masz problem z duchami.

- Trochę mi psuje nastrój, czaisz? Ale dojdziemy do tego za minutę. Właśnie miałem sobie rypnąć kawkę. Wbijajcie, usiądziemy, popijemy – Uśmiechnął się szeroko – Sorry, retro slang do retro fryza. - Za kumplujemy się. Kumple, nie?

- Może być. - Dean spojrzał na Sama i uśmiechnął się. *Chyba lubię tego gościa.*

To uczucie zostało scementowane, kiedy Dean wszedł do domu i usłyszał piosenkę Jethra Tulla „*For A Thousand Mothers*". Dean zauważył, że wygrywa w powietrzu rytm perkusji Cliva Bunkera.

- Dobra muza.

- Ta, ostatnio cały czas słucham Tulla. Chciałbym zrobić do nich Cover, ale nikt nie gra na flecie, a bez fletu to nie Tull, wiesz.

- I tu masz rację. - powiedział Dean rozglądając się po domu. Drzwi frontowe otwierały się na foyer, które pokryte było oprawionymi plakatami, które były starsze niż on: Beatlesie na Shea Stadium, Rolling Stones ma Fillmore East, Isle Of White Snow w 1970.

Odwrócił się w lewo i zobaczył duży pokój rodzinny, który był umeblowany pokrytymi kurzem, starymi meblami – kanapa, krzesło, i krzesło bujane i wielka szafa i kredens pełen butelek alkoholu – gazety, magazyny z zespołami na okładkach, trzy gitary na podstawkach w jednym rogu, kilka wzmacniaczy, cała ściana wypełniona winylami, następna wypełniona kasetami i płytami CD i centrum rozrywki, które zawierało stary obity telewizor i błyszczące metalowe stereo razem z gramofonem, odtwarzaczem kaset i sześcioma odtwarzaczami CD. Na początku nie widział głośników, a potem uświadomił sobie, że były cztery rozstawione po pokoju dla maksimum zabójczego dźwięku.

Sekundę zajęło Deanowi uświadomienie sobie, że Manfreda i Sama nie było w pokoju. Odwracając zauważył, że szli do kuchni, która znajdowała się po drugiej stronie korytarza, koło klatki schodowej, zaraz koło foyer.

- Musisz wybaczyć mojemu bratu – powiedział Sam – właśnie ma orgazm.

W brodzie Manfreda pojawił się szeroki uśmiech.

- Przepraszam za bałagan, ale sprzątaczka jeszcze w tym roku nie przyszła. Chodźcie.

Weszli do kuchni, w której również panował bałagan, z brudnymi talerzami i kubkami w zlewie. Manfred odsunął trochę z nich, żeby napełnić czajnik wodą.

- Niezłe macie kółka, goście – Manfred znów się uśmiechnął – Sorka, teraz się mówi „bryka"? W każdym razie, to jest rocznik 67, nie?

- Nom – powiedział Dean dumny. - Musiałem go wyremontować od podstaw chwilę temu.

- Łoo – Manfred nalał wody do ekspresu i otworzył zamrażarkę, żeby wyciągnąć słoik wypełniony ziarnami kawy. - Specjalna mieszanka – powiedział, kiedy zobaczył spojrzenia Deana i Sama – Gdzie znalazłeś silnik 427?

- Mam znajomego z kontaktami. Prowadzi złomowisko. Namierzył go dla mnie. - Poza użyczeniem im miejsca do pozostania po śmierci taty Bobby Singer był również niezastąpiony w dostarczaniu Deanowi części do naprawienia Impali po tym, jak skasowała ją ciężarówka.

- W dechę. Czy może cool. Słodzicie?

- Może być. - powiedział Dean z uśmiechem.

- Kiedyś miałem takiego, kiedy było to jeszcze nowe auto. Teraz by mi się nie przydało – bagażnik jest duży, ale sprzęt nie wejdzie, nie? Dlatego mam tego ten ciociaty wóz. W każdym razie, ta stara łajza zdechła w drodze z Florydy siedemdziesiątym ósmym. - Zaśmiał się. - Jechałem tam z Becky, żeby się pobrać i to cholerne auto zdechło. Powinienem był zauważyć ten omen. Rozeszliśmy się w osiemdziesiątym szóstym.

- Więc, Manfred – powiedział Sam – Masz ducha?

- Ta, jest źle.

Po wrzuceniu ziaren do odpowiedniego pojemnika Manfred z powrotem włożył słoik do zamrażarki i wyjął karton mleka z lodówki stawiając go na stole obok ekspresu i poobijanej cukierniczki.

- Nie wiem ile wam nagadał Ash, ale jestem z zespołu zwanego Scottso. Gramy w Larchmont w weekendy – piątek, sobota, niedziela, robimy trzy sety. To nasza robota, wiecie? I każdego razu jak wracam na chatę z tej roboty jakaś pieprznięta decha wydaje z siebie piskliwe dźwięki i ja tego nie chce w tej chacie.

- Tylko w te noce?

- Nom. - Ekspres zaczął wypluwać kawę do czekającego dzbanka. - O czekajcie, nie zawsze. Jednej nocy w piątek jakiś gościu wynajął Park in Rear na prywatną imprę i wtedy nie graliśmy.

- I żadnych duchów? - zapytał Sam. Manfred pokręcił głową. Dean musiał zapytać:

- Czy to się naprawdę nazywa Park in Rear.

Translate_Team

Kolejny pełen zębów uśmiech – cóż prawie pełen, po Manfredowi brakowało jednego czy dwóch.

- Ta, ale nie próbuj znaleźć tego w książce telefonicznej. Się zwie „Nat's Place", ale nikt tego tak nie nazywa. Bo tam jest rypnięty taki znak „Parkuj na zapleczu" jest duży i nie jest legalne parkować tam na ulicy, a parking nie jest łatwy do znalezienia. Więc wszyscy to tak nazywamy.

Wyciągnął trzy kubki z jednego z kredensów i nalał kawy. Na kubku Sama była słownikowa definicja kawy, na kubki Deana pisało MAM ZA DUŻO KRWI W SYSTEMIE KOFEINOWYM, a ten z Metalliką Manfred zachował dla siebie, co trochę rozczarowało Deana.

Dean nic nie dodawał do kawy, ponieważ preferował swoją tak samo czarną jak jego auto. Sam oczywiście wrzucił do swojej pół tony cukru i wypełnił kubek po brzegi mlekiem. Manfred natomiast tylko nalał do swojej trochę mleka.

Sam uniósł swoją kawę, ale jej nie wypił. Dean nie był głupkiem i nie spróbował swojej dopóki jego brat się nie napił, dopiero potem.

- Więc – powiedział Sam – myślisz, że ten duch jest powiązany z zespołem?

- Sam, dlatego zadzwoniłem do Asha. Wiedziałem, że lubi taki straszny jazz. Ja, ja jestem tylko stolarzem dla miasta, w którym grają rock and rolla. Nic nie wiem o tym, co wstaje nocą. - pociągnął jednym łykiem prawie połowę swojej kawy, co sprawiło, że Dean zaczął myśleć że jego gardło jest wyłożone lodem, albo coś, ponieważ kawa nadal była wrząca, nawet z odrobiną mleka. - Muszę wam powiedzieć, to mi seryjnie pieprzy życie. No bo są taki momenty, kiedy chce kogoś przywieść do domu po robocie, wiecie co mam na myśli? Trochę to zawadza, jak coś skrzeczy w twojej chałupie.

- Widziałeś to kiedyś? - Zapytał Sam. Potem napił się kawy i odciął Manfreda zanim ten zdążył nawet coś powiedzieć – Wow. Ta kawa naprawdę jest dobra, panie Afiri.

- Mów mi Manfred. Tylko nauczyciele mówili do mnie panie Afiri, kiedy chodziłem na wywiadówki moich dzieci.

- Masz dzieci? - zapytał Dean, natychmiast żałując, że to zrobił.

- Nie żeby się do tego przyznawały. Z tego co wiedzą wszyscy dookoła ich ojcem jest ten idiota, za którego wyszła Becky w dziewięćdziesiątym drugim. Najmilszą rzeczą, jaką od nich usłyszałem było „nie obciąłeś się jeszcze tato?"

- Przykro to słyszeć. - powiedział Sam cicho. Manfred wzruszył ramionami.

- Nic z tym nie mogę zrobić. Robię dla nich co mogę, ale nie potrzebują wiele. I hej, ja tylko pieprzyłem ich matkę – to nie czyni mnie ojcem, skoro rozeszliśmy się kiedy byli tylko dziećmi.

Dean mógłby coś na to odpowiedzieć, ale właśnie był zbyt zajęty smakowaniem najlepszej kawy jaką w życiu spróbował. Trzeba przyznać, że jego standardy nie były aż tak wysokie. Generalnie on i Sam żyli w zgodzie z

Translate_Team

czymkolwiek co znaleźli w tanich kawiarniach, motelach i stacjach benzynowych, co zwykle było porównywalne do brudnej wody z dodatkiem kofeiny. Ich ojciec zaczął to nazywać „kubkiem kofeiny", ponieważ nie chciał tego urazić nazywając to „kawą".

Ale nie to. Dean napiłby się tej smakowitej wspaniałości nawet gdyby jej nie potrzebował po dniu pieprzenia się z Nowojorskim korkiem, biurokracją Zoo w Bronxie i kobiecie, która podrywała Sama zamiast jego.

- Więc nigdy nie widziałeś ducha? - zapytał Sam. Kręcąc głową Manfred powiedział:

- Nie, ale nie szukałem, wiecie? No bo jak słyszę ten krzyk, to wsiadał do Dodge'a. Nawet nie wracam do wschodu słońca. To jest cholernie zrypane w poniedziałki – muszę iść do roboty.

- Mówisz, że pracujesz jako stolarz? - zapytał Sam. Manfred kiwnął głową.

- Jeśli nie masz nic przeciwko że zapytam, jak możesz sobie w takim układzie pozwolić na takie miejsce?

Dean mrugnął, słysząc pytanie Sama, ale teraz, kiedy o tym pomyślał, nie było ono głupie. Jeśli Manfred był rozwiedziony, musiał płacić alimenty i nie mógł uwierzyć, że stolarz miał wystarczająco wysoką pensję, żeby kupić takie miejsce, zwłaszcza patrząc na ceny w Nowym Yorku. Prawda, miał muzykę, ale gdyby to było coś wielkiego nie potrzebowałby pracy dziennej.

Kolejny uśmiech.

- Pomaga bycie synem dwojga naprawdę bogatych prawników. Cóż, tata był bogaty – mama zawsze robiła coś za darmo, ale nadal. Ja byłem wstydem rodziny – robiąc to całe Lato-Miłości-przeciw-wojnie, jeżdżąc na Woodstock, kiedy tata reprezentował firmy z ropą – ale byłem też jedynakiem, więc dostałem dom, kiedy się przekręcili.

- Przykro mi. - powiedział Sam, znowu cichym głosem.

- Nie, to nic wielkiego. Serio, naprawdę się cieszę, że mi pomagacie.

Dean napił się trochę więcej kawy.

- Jeszcze nic nie zrobiliśmy, Manfred. Ale to sprawdzimy, zobaczymy co wyjdzie.

- Świetnie. I macie gdzie zostać? Bo jak nie to mam kilka wolnych pokoi na piętrze.

To prawię sprawiło, że Dean wypluł kawę. Udało mu się tego nie zrobić, a to dobrze, bo nie chciał marnować takiego dobrego napitku.

- Serio?

- To miło z twojej strony Manfred, ale...

- Z miłą chęcią. - powiedział Dean szybko, zanim grzeczność Sama znów wcisnęła ich do motelu.

Translate_Team

Nie był pewien co bardziej go ekscytowało, perspektywa spania w tym samym domu co ta kolekcja nagrań, możliwość obudzenia się, żeby pić tą kawę, czy to, że nie musiał dzielić pokoju z Samem. Kochał brata bardziej niż cokolwiek na tym świecie – no może poza Impalą – ale spali w tym samym pokoju (lub, też zbyt często, na tym samym przodzie samochodu) ze sobą każdej nocy od ponad roku. Jeśli możliwość posiadania osobnych pokoi – i to jeszcze za darmo – się nadarzyła, nie zamierzał jej odrzucić.

- Świetnie! Słuchajcie, muszę dzisiaj poćwiczyć – zwykle przesłuchujemy w garażu Tommy'ego. Jest perkusistą. Kiedyś robiliśmy to tutaj – ten dom ma kilometry przestrzeni na strychu – ale sąsiedzi zaczęli pieprzyć. Nie chciałem, żeby dzwonili na gliny, przez trawkę itd., więc przenieśliśmy się do Tommy'ego.

Sam spojrzał na Deana niepewnie, na wspomnienie trawki, ale Dean tylko przewrócił oczami. *Jezu, Sammy, myślałeś, że muzyk będzie miał w domu tylko kawę? Zwłaszcza gościu, który był na Woodstock?*

- A jutro możecie przyjść do Park In Rear i nas posłuchać. Wprowadzę was jako moich gości, więc nie będziecie musieli nic płacić. I tak będziecie musieli kupić piwo, ale mają tam trochę dobrych rzeczy. - Manfred wypił resztę swojej kawy jednym długim łykiem, a potem włożył kubek do zlewu. - A wy się rozgośćcie. Pokoje są na górze. Ten na samym końcu jest mój. Pozostałe trzy mają łóżka, więc wybierzcie co chcecie.

- Dzięki. - Dean spojrzał na Sama – Chodź, rozpakujemy się. - Wypił resztę kawy i poszedł przez hol do drzwi.

Sam za nim podążył, czekając aż doszli do frontowych drzwi, żeby coś powiedzieć.

- Dean, jesteś pewien, że to dobry pomysł.

- Jaki masz problem, Sammy?

- Gościu ma ducha. Może to nie jest najlepsze miejsce na nocowanie.

Dean wcisnął kluczyk w bagażnik Impali.

- Stary, to my jesteśmy gośćmi od zabijania duchów. Poza tym jest czwartek. Duch się nie pokaże aż do jutrzejszej nocy, więc to daj nam czas na sprawdzenie wszystkiego skanerem EMF i poszukaniu informacji o domu. Może nawet wykombinujemy o co chodzi z tym Poem.

- Chodzi o to Dean... - Sam się zawahał.

Po wyjęciu plecaka z bagażnika Dean powiedział:

- O co chodzi?

- Trochę się boję.

- Weź, Manfred jest w porzo.

- Nie chodzi o Manfreda, tylko o ciebie Dean. To jest jakbyśmy byli w Dean Disneylandzie z plakatami Fillmore East i wzmacniaczem i kolekcją nagrań. Martwię się, że nigdy cię stamtąd nie wyciągnę.

Translate_Team

Zakładając, że Sam tylko coś pieprzył Dean uśmiechnął się szeroko.

- Stary, potrafię się skupić.

- Mam nadzieję. Bo mamy ducha, o którym wiemy, że pojawi się w piętek wieczorem i siedzimy u gościa, którego dom jest pełen nielegalnych narkotyków, kiedy obaj jesteśmy poszukiwani przez federalnych.

Dean zamknął z trzaskiem bagażnik.

- Czy ktoś ci kiedyś powiedział, że za dużo się martwisz Sam?

Sam nawet się nie zawahał, tylko uśmiechnął się głupkowato i powiedział:

- Ty jakieś dziesięć razy dziennie.

- Więc to był numer pięć. Będzie dobrze. Chodź, rozgośćmy się.

Translete_Team

SUPERNATURAL

Rozdział 6

Dom Afiriego
Bronx, Nowy York
piątek 17, listopad 2006

...Mama przygwożdżona do sufitu, krwawiąca z brzucha, ogień ją pożera...

Są z tatą, wykonując jego każde polecenie.

- Chłopcy, nie zapomnijcie, zasypcie wejście solą, nie dostaną się – nakazuje – Sam, chcę, żebyś zestrzelił każdą z tych butelek ze ściany. - krzyczy – Dean, zostań z bratem. - warczy.

...Jessica przygwożdżona do sufitu, krwawiąca z brzucha, ogień ją pożera...

Uczenie się jak rozłożyć M-16 zanim jeszcze pocałował dziewczynę. Niemożliwość przejścia przez Moby-Dick, *lub* The Scarlet Letter *w szkole, pomimo tego, że przeczytał wszystkie prace Aleistera Crowleya – nie wspominając o Janie Howardzie Brundvandzie. Znajomość egzorcyzmów po łacinie, ale nie mogąc sobie przypomnieć słów Przysięgi, za co w większości szkołach zostaje się w kozie.*

… Cassie przygwożdżona do sufitu, krwawiąca z brzucha, ogień ją pożera...

- Muszę znaleźć tatę. - Chce, żebyśmy kontynuowali jego pracę – ratując ludzi, ścigając potwory. - Możemy nie walczyć? - Ścigasz to, prawda? To coś co zabiło mamę? - Nie rozumiem twojej ślepej wiary w niego.

Sarah przygwożdżona do sufitu, krwawiąca z brzucha, ogień ją pożera...

Strach nigdy nie umiera, nigdy nie odchodzi, nigdy nie wychodzi, nie ważne ile razy nakładasz maskę dzielności, nie ważne ile razy kłamiesz, że wszystko będzie dobrze, nie ważne ile razy mówisz ludziom, że to naprawisz, nie ważne ile razy jesteś blisko śmierci, zostania złapanym, albo zamkniętym, a wtedy nie będziesz zdolny już nikogo obronić.

… Ellen przygwożdżona do sufitu, krwawiąca z brzucha, ogień ją pożera...

- Dobra, coś takiego dzieje się twojemu bratu, podnosisz telefon i do mnie dzwonisz.

- Zadzwonić? Żartujesz sobie? Tato, dzwoniłem do ciebie z Lawrence. Dobra? Sam do ciebie dzwonił, kiedy umierałem. Ale są większe szanse, że wygram na loterii niż, że ty odbierzesz telefon.

… Jo przygwożdżona do sufitu, krwawiąca z brzucha, ogień ją pożera...

- Dał nam rozkaz.

- Wali mnie to! Nie musimy zawsze robić, co nam każe.

… Sam przygwożdżony do sufitu, krwawiący z brzucha...

… ale ogień go nie pożera. Zamiast tego, jego oczy się otwierają i są żółte.

- Musisz mnie zabić Dean. Tata tak powiedział.

- Nie!

Translate_Team

SUPERNATURAL

Dean usiadł w łóżku, spocony, jego spodnie były mokre, tak samo jak rozkopana kołdra.

- Cholera – mruknął.

Wyplątując się z prześcieradła w pokoju gościnnym Manfreda, podszedł do biurka, na którym stało ogromne, okrągłe lustro z symbolem pokoju wymalowanym na nim na czerwono. Patrzyła na niego nieprzytomna, spocona twarz. Nawet jego włosy były zmierzwione, miał ich prawie za mało, żeby było to możliwe, ale temu koszmarowi – *ostatniemu z całej kolekcjonerskiej serii* – się to udało.

Odkąd był małym dzieckiem, Dean widział chyba każdą możliwą złą rzecz. Rzeczy, które sprawiłyby, że H.R. Giger zmieniłby pracę. Rzeczy, które sprawiały, że Stephen King wyglądał jak Jane Austen. Rzeczy, które mogły – i sprawiały – wpędzić ludzi w poważne problemy z alkoholem, albo do samobójstwa, albo nawet obu. I nigdy nie miał koszmarów. Jasne, miewał złe sny, zwłaszcza jako dzieciak, ale nie takie, że czuł zimno aż do kości i się pocił.

I to wszystko było winą Deana.

Lata w drodze. Lata treningu, walki i ścigania. Lata podążania za rozkazami ojca, wykonując je aż do najdrobniejszego szczegółu, nie ważne jak były niedorzeczne.

Lata tkwienia między niezmiennym zdaniem taty, a siłą Sama, której nie dało się oprzeć, starając się desperacko utrzymać harmonię w rodzinie.

Lata spełniania pierwszego rozkazu ojca:

- Weź brata na zewnątrz, najszybciej jak potrafisz – nie oglądaj się. Już! Dean, idź!

Po tym wszystkim jakie były ostatnie słowa, jakie powiedział do niego ojciec, zaraz po tym, jak oddał się demonowi, który zabrał mamę i dziewczynę Sama? *Dobra robota synu*? *Pracuj tak dalej*? *Jestem z ciebie dumny Dean*?

Nie, to był rozkaz, żeby chronić Sama – a jeśli nie mógł, miał go zabić.

Dobry Boże.

Dean gapił się na swoje odbicie, częściowo zabarwione na czerwono przez rysunek symbolu pokoju, sprawiając, że wyglądał jakby krew płynęła po jego twarzy.

Z jednej strony musiał powiedzieć Samowi. Nie wspominając o tym, że to była jedyna rzecz, która byłaby fair wobec Sama, nie chciał tego nosić samemu. Ale tata powiedział jeszcze jedną rzecz:

- Nie mów Samowi.

Skurwiel.

Przez większość czasu umiał się rozproszyć, zatracić w pracy. Robili coś ważnego, on i Sammy. Wszystkie te życia, które uratowali, te dusze, które pomścili – jeśli konieczne. I cholera, byli w tym dobrzy.

Translate_Team

Translate_Team

Przez większość czasu, ale potem coś takiego...

Dean się otrząsnął. Wiedział, że nie może pozwolić sobie na takie uczucia. Mieli robotę. A nawet dwie.

Spojrzał na budzik obok łóżka, który mu powiedział, że była 6:30 rano. Usłyszał dźwięk silnika z wysokiej półki, który potrzebował regulacji i podszedł do okna, odsuwając zasłony w jasnym kolorze. Zobaczył terenówkę Manfreda wyjeżdżającą z podjazdu. Jego serce przestało na chwilę bić, kiedy uświadomił sobie, że wjeżdża ona prosto na Impalę, która nadal zahaczała lekko o podjazd, ale w ostatniej sekundzie Manfred wymanewrował na prawo. Opony po prawej stronie wjechały na chodnik, podczas gdy lewe toczyły się po podjeździe, wyjeżdżając na ciemny asfalt na ulicy.

Zmuszając się, żeby znów zacząć oddychać Dean odwrócił się i znów spojrzał na rozrzucone łóżko. *Nie ma szans, żebym wrócił do spania*. Mimo że nie lubił nie spać o tej porze, to wyglądało na to, że nie miał innego wyjścia. Poza tym czekała na niego najlepsza na świecie kawa.

Jedną gorącą kąpiel w niesamowitej wannie Manfreda na nóżkach później, Dean ubrał się w ostatni czysty zestaw ubrań jaki mu pozostał i przypominając sobie, żeby zapytać Manfreda gdzie była najbliższa pralnia, zszedł na dół w poszukiwaniu kawy i upewnił się, że po drodze złapał dziennik taty.

Oczywiście, kiedy już zrobił kawę, po prostu *musiał* dokładnie przyjrzeć się kolekcję winylów Manfreda. Spojrzał na to wczoraj – okej, *więcej* niż spojrzał. Sam krzyczał na niego za to, że sprawdził EMF tylko w salonie, a resztę domu zaniedbał do tego stopnia, że młodszy brat prawie zabrał mu czytnik fal EMF.

Nie znaleźli żadnych fal EMF, ale to nie było niespodziewane. Duch nie pokazał się od niedzieli. Nie wszystkie duchy zostawiały za sobą tonę fal EMF, a ten nie był obecny przez cały czas, tylko pojawiał się okresowo. Dzisiaj, po koncercie Scottso będą mieli jakieś wstępne wyniki.

Do tego czasu zamierzał słuchać muzyki w taki sposób, w jaki się to *powinno* robić.

Problemem było wybranie tylko jednego kawałka. Ale za każdym razem, kiedy znalazł jedną płytę winylową odkładał ją, ponieważ inna przyciągnęła jego wzrok. Ułożył stos, który zawierał *Dark Side of the Moon, The Most of the Animals, Houses of the Holy, Dressed to Kill, Metallica, The Who By Numbers*, Australijską wersję *Dirty Deeds Done Dirt Cheap, Thick as a Brick* oraz *In-A-Gada-Da-Vida* i to jeszcze zanim doszedł do albumów z bluesem. Przeglądał nagrania nawet po tym, jak puścił *In-A-Gada-Da-Vida*, grając na wyimaginowanej gitarze do wstępu, który otwierał siedemnastominutowy utwór tytułowy.

Dobiegł go głos Sama, który stawał się głośniejszy, razem ze skrzypieniem schodów pod ciężarem jego brata.

Translate_Team

- Tak, jasne. Dziękuje bardzo, naprawdę doceniam, że się spotkasz się ze mną w tak krótkim terminie. Tak. Świetnie. Dziękuje! Do widzenia.

Dean spojrzał w górę na czas, żeby zobaczyć jak Sam wciska do kieszeni swojego Treo i wchodzi do pokoju mówiąc:

- Wcześnie wstałeś. Nie jesteś przyzwyczajony do chodzenia przed dziesiątą.

- Ta, nie śpię już chwilę.

Dean spojrzał na swój zegarek i zobaczył, że była już prawie 9:30. Całkowicie stracił poczucie czasu patrząc na albumy. Intelektualnie rozumiał wartość nagrań cyfrowych, to jednak śmierć winylów spieprzyła możliwość autorów do tworzenia zajebistych okładek. Żadne klejnotowe pudełko na CD nie będzie w stanie dorównać mistrzostwu wycinanej w drewnie okładki Stand Up, albo złożoności *Sgt. Pepper's Lonely Hearts Club Band*. Czy ktokolwiek pamiętałby pryzmat na okładce *Dark Side of the Moon*, gdyby miała ona tylko kilka centymetrów?

Nie zaprzątał sobie głowy dzieleniem tych myśli z Samem, bo to tylko by go wkurzyło. Chłopak naprawdę nie wiedział co to prawdziwa muzyka. Więc zapytał:

- Z kim rozmawiałeś?

- Z facetem, który ma na imię Anthony i pracuje dla Bronx County Historical Society i oprowadza po Domku Poe'go. Rzuciłem na to okiem w necie – Manfred ma bezprzewodowy modem i dał mi hasło – i otwierają tylko na umówione terminy. Więc zadzwoniłem i dzisiaj są wolni. Pójdę tam południa. - Uśmiechnął się – Zapytałbym, czy chcesz iść ze mną, ale widzę, że się przepraszasz ze starą miłością...

Dean ściągnął *Zoso* i powiedział:

- Słuchaj Sammy, możesz mieć te twoje CD, MP3 i avi, ale ja ci mówię...

- AVI to filmy, Dean – powiedział Sam z szerokim uśmiechem., Ignorując go Dean ciągnął

- Ale ja ci mówię, że nie ma nic, co mogłoby zastąpić ten piękny dźwięk igły na winylu.

Właśnie wtedy nagranie się zacięło na Dougu Ingle śpiewającym „always be".

Uśmiech Sama ograniczały tylko uszy. Dean skrzywił się w jego stronę, a potem podszedł do gramofonu i ruszył igłę, co przesunęło piosenkę do solówki gitarowej.

- Niech zgadnę – powiedział Sam – zaraz zaczniesz wygłaszać plusy pijawek w leczeniu chorych? O! Wiem! Dlaczego powozy konne są lepsze od aut!

- Ugryź mnie, Samiś. - Dean podszedł do fotela – przeglądam dziennik taty, żeby zobaczyć, czy znajdę coś na temat tego rytuału. - Sam kiwnął głową.

- Jak skończę z tym domkiem to sprawdzę dom, w którym zamurowali tego gościa i ulicę w których te dzieciaki zostały pobite na śmierć.

Translate_Team

- Ta – powiedział Dean – może znajdziesz coś, co przegapili policjanci.
- Wątpię – powiedział szczerze Sam – Stary, rozmawiamy tutaj o NYPD.
- Więc?

Dean miał dużo więcej doświadczenia z glinami niż Sam i jego opinia na ich temat była taka, że byli w porządku dopóki sprawa szła według szablonu. Ale haczyk był taki, że on i Sam zajmowali się rzeczami, które nie pasowały do żadnego wzoru – albo przynajmniej do żadnego wzoru, na jaki popatrzyłaby policja – więc policja zawsze patrzyła w złych miejscach, nie widziała właściwych rzeczy i wyciągała złe wnioski.

- Sam, gliny szukają znanego. Nie wierz w gówno, które widzisz w TV, przez większość czasu aresztują pierwszego podejrzanego jakiego mają. W czymś takim nie zobaczą ani lasu ani drzew. Uwierz mi, jestem gotów założyć się o dziesięć dolców, że znajdziesz coś, czego oni nie znaleźli.

Sam tylko prychnął i poszedł do kuchni, Dean założył, że po kawę, którą zgwałci zbyt dużą ilością mleka i cukru.

Dean wrócił do kolekcji nagrań *Czy to jest kolekcja „Music from Big Pink”. Zajebiście!*

Najtrudniejsze było znalezienie miejsca parkingowego dla Impali.

Domek Poe'a był położony przy największym skrzyżowaniu dróg w Bronxie, jednej trafnie nazywanej Grand Concourse i innej dużej ulicy Kingsbridge Road. Według tego, co znalazł w Internecie zanim opuścił dom Manfreda, Kingsbridge Road była kiedyś drogą konną, która prowadziła do King's Bridge, który przechodził przez rzekę Harlem do Manhattanu. Znalazł również stronę entuzjastów Poe'a, która wspominała i morderstwa i ich powiązanie z autorem. Zostawił ją na ekranie, żeby Dean sobie na nią spojrzał – zakładając, że jego brat będzie w stanie odkleić się od kolekcji nagrań Manfreda, w co Sam szczerze wątpił.

Park leżał niedaleko skrzyżowania, rozciągając się na kilka przecznic i zawierał w sobie scenę i plac zabaw – oba wyglądały na nowe – i mały biały domek, który wyglądał okropnie nie na miejscu. Rozumiał dlaczego Dean tak bardzo nie mógł uwierzyć, że takie miejsce istniało w Bronxie. Całe miasto – poza sąsiedztwem Manfreda w Riverdale – zdawało się być nastawione na ściśnięcie jak największej ilości budynków tak blisko, jak się dało. Nawet w miejscach z domami, były one wciśnięte jak najbliżej siebie jak się dało.

A jednak tutaj, pośród ulic wyłożonych apartamentowcami, które miały co najmniej pięć pięter, był ten park i ten domek.

Sam przejechał wzdłuż kilku bocznych ulic, większość z nich jednostronnych i przez dwie duże i desperacko próbował znaleźć miejsce, w którym zmieściłaby się Impala. Jeździł dookoła przez dziesięć minut, frustrując się

Translate_Team

kolejką uczuć, które towarzyszyły odkrywaniu pustego miejsca tylko po to, żeby zobaczyć kolejny hydrant. *Ile tak w ogóle cholernych hydrantów potrzebuje to miasto?* A w te rzadkie okazję, kiedy miejsce nie było zajęte przez hydrant było ono za ciasne dla Impali.

Kiedy jeździł Sam zauważył, że ludzie radzili sobie jak mogli z zatłoczeniem. On i Dean dużo się z tatą przeprowadzali, ale raczej po małych miastach, w części ponieważ tata uważał, że w szkołach mieli lepszy system nauczania niż w dużych miastach – mimo, że Sam później odkrył, że to nie dlatego tata nalegał na ciągłe małe miasta. W rezultacie jego doświadczenie z dużymi miastami było małe i rzadkie.

Najbardziej uderzała go różnorodność i harmonia, co było wbrew temu, co widział na Stanford – ale oczekiwałeś tego na kampusie uniwersyteckim, zwłaszcza takim jak Stanford. Tutaj widział ludzi z co najmniej dwunastu innych narodowości idących po ulicy, wchodzących do małych sklepów na parterze apartamentowców, grających na kortach w parku Poe'a, rozmawiających, mówiących sobie cześć i tak dalej. Jego (co prawda małe) doświadczenie z większymi miastami, było takie, że grupy etniczne miały tendencję do zbierania się w konkretnych dzielnicach, ale nie było to tak widoczne tutaj w Bronxie jak się spodziewał.

Jak Deana, jego pierwszym spotkaniem z miastem był niesławny film z 1981 roku *Fort Apache, the Bronx*, więc wyobrażał sobie miejsce wypełnione zniszczonymi budynkami, gangami ulicznymi i podobnymi. To co widział dotychczas, wskazywało na miejsce pełne wielkomiejskich tłumów, ale w dzielnicach znajdowały się społeczności.

A może tylko to wszystko upiększam, pomyślał, kiedy mijał jeszcze jedno miejsce, w które zmieściłby się najwyżej Mini Cooper, ale na pewno nie auto zbudowane w 1967 roku.

W końcu zobaczył jak ktoś wyjeżdża z miejsca przy rogu East 192nd Street i Valentine Avenue tuż przy granicy parku. Było to miejsce z parkometrem, co było denerwujące, ale to przynajmniej oznaczało, że Impala się zmieści. Parkometry zostały zainstalowane dekady temu, co oznaczało, że zostały rozmieszczone według typowego rozmiaru samochodu w tamtych czasach. Impala była całkiem blisko typowego rozmiaru, kiedy została wypuszczona, więc nie miał problemów z tym miejscem.

Wrzucił do parkometru dwie dwudziestopięcio centówki, co zapewni mu miejsce na godzinę. Patrząc na rozmiar miejsca nie uważał, żeby miało mu to zająć dłużej.

Sam zamknął Impalę, a potem przeszedł przez park Poe'go, koło sceny – pustej w ten chłodny listopadowy wieczór – i placu zabaw – gdzie sześcioro dzieci się bawiło i krzyczało i się śmiało, podczas gdy cztery kobiety ich pilnowały.

Translate_Team

Kiedy przechodził słyszał jak kobiety rozmawiały ze sobą w języku, który – jak był pewien – był hiszpańskim.

Domek Poe'go wystawał nawet bardziej z bliska niż z drogi. Z tego, co widział na stronie Bronx County Historical Society został on wybudowany w 1812 i Poe mieszkał tam z żoną i teściową od 1846 do 1849.

Kiedy doszedł do drzwi frontowych sięgnął do kieszeni i włączył czytnik EMF. Nie wyjąłby go przy przewodniku, ale miał nadzieję, że uda mu się na niego spojrzeć, kiedy nie przewodnik będzie patrzył gdzie indziej.

W drzwiach stał przewodnik, o którym mowa: niski afro Amerykanin mający na sobie beżowy płaszcz.

- Ty jesteś Anthony? - Zapytał Sam podchodząc.

- Tak – powiedział przewodnik – Cieszę się, że dojechałeś.

Śmiejąc się Sam powiedział:

- Tak, przepraszam, ale nie mogłem znaleźć miejsca parkingowego. A jeżdżę łódką, więc jest nawet trudniej. - Anthony przekrzywił głowę.

- Czym jeździsz?

- Impalą z sześćdziesiątego siódmego.

Uśmiechając się Anthony odsunął się od drewnianych drzwi i wpuścił Sama do ciemnego pomieszczenia w domku.

- Wiem co czujesz, mój tata miał Buicka z pięćdziesiątego siódmego. Spędził pół życia próbując znaleźć miejsce parkingowe dla tego cholerstwa. W każdym razie witam w Domku Poe'go.

Sam rozejrzał się i zobaczył różne stare urządzenia kuchenne, kominek i tuż przy drzwiach frontowych biurko z pocztówkami i pamiątkami. Za biurkiem znajdowała się szklana szafka w której były książki Poe'go, oraz różne o Nowym Yorku lub o Bronxie szczególnie.

- Zanim zaczniemy – powiedział Anthony – zwykle prosimy o dziesięciodolarową dotację przed indywidualną wycieczką.

Oczywiście że tak, pomyślał Sam, próbując nie westchnąć. Po raz kolejny Sam włożył rękę do kieszeni, mając nadzieję, że dycha, którą dał Deanowi na moście nie była jego ostatnią.

Na szczęście nie była. Znalazł dwudziestkę w spinaczu do pieniędzy i podał ją. Anthony sięgnął pod biurko z pocztówkami i wyciągnął pudełko z pieniędzmi i wydał mu dziesiątkę.

- Co zrobiłeś w rękę – zapytał Anthony, wskazując głową na gips Sama.

Dean prawdopodobnie miałby na to jakąś sarkastyczną odpowiedź, ale Sam nie mógł wymyślić nic, co byłoby śmieszne dla całkowitego obcego. A prawda się nie nadawała. *Cóż, widzisz, złamałem rękę walcząc z zombie na cmentarzu. Bo, widzisz, próbowałem ją zwabić z powrotem do jej grobu, żeby mój brat mógł ją do*

niego przybić, żeby znowu umarła. Nie, nie jestem szalony i czemu się ode mnie tak wolno odsuwasz?

- Długa historia – wymamrotał. To zdawało się satysfakcjonować Anthonego.

- Okay. Cóż, tutaj Edgar Allan Poe spędził ostatnie lata swojego życia. - Dalej powiedział Samowi kilka rzeczy, które już znał ze strony internetowej. - Niestety – dodał Anthony – teraz już nie możesz podziwiać widoków. - przeszedł koło Sama, żeby znów otworzyć drzwi – Ale jeżeli spojrzysz tam – wskazał na lewo – widzisz, że schodzi w dół wzgórza na Valentine Avenue?

Sam kiwnął głową. Zjeżdżał w dół wzgórza w poszukiwaniu miejsca parkingowego.

- Domek stał na szczycie wzgórza i można było zobaczyć z niego wszystko aż do Long Island Sound. Nie tutaj został oryginalnie wybudowany. - Teraz wskazał przez Kingsbridge Road i powiedział – Widzisz ten apartamentowiec z żółtym tynkiem? Stał gdzieś tam. Został tu przeniesiony, kiedy zbudowano park. Cała ta okolica była kiedyś polami, których właścicielami byli Valentinowie, Duńska rodzina. To po nich nazwano tą drogę. Rodzina Poego wypożyczała domek, ale ledwo było ich na to stać.

- Widziałem to na stronie internetowej – powiedział Sam – i myślałem, że to trochę dziwne. No bo Poe jest jednym z najsławniejszych amerykańskich pisarzy. I był spłukany?

- Tak, oczywiście. Znaczy, tak, był popularny i nadal jest. Nie ma zbyt wielu autorów po których nazywane są zespoły footballowe, nawet jeśli zostają cofnięte w lidze.

Sam zmarszczył brwi, a potem przypomniał sobie, że drużyna Baltimore nazywała się the Ravens. Poe zmarł z Baltimore i został tam pochowany, a drużyna została nazwana po jego najsławniejszym wierszu.

- I żadna z tych historii nie przestała być drukowana. Ale większość pieniędzy z jego drukowania poszła na rozpoczynanie nowych gazet, które i tak upadły. W każdym razie – Anthony poprowadził Sama do następnego pokoju – odtworzyliśmy atmosferę domku najlepiej jak mogliśmy. Oczywiście większość z mebli jest niedostępna, ale zrobiliśmy co z naszej mocy, żeby włożyć tu meble, które mogły tu być, biorąc pod uwagę ramy czasowe i ubóstwo Poe'a.

Sam poszedł za Anthonym do pomieszczenia, które musiało być największym w domku, które zawierało kominek – nieczynny, według Anthonego – krzesło, biurko i kilka oprawionych zdjęć. Była tam również wisząca szafka na książki, a na każdej półce znajdowały się stare obite w skórę tomy, które były popularne w połowie XIX wieku.

- Wiszące szafki były najpopularniejsze w tamtych czasach, ponieważ podłogi prawie nigdy nie były równe – jak widzisz. - dodał Anthony z uśmiechem.

Translate_Team

Również się uśmiechając Sam zmienił wagę z jednej nogi na drugą, na skrzypiącej podłodze. Anthony kontynuował.

- Drewno krzywiło się również, kiedy mokło. Szafka stojąca po prostu była niepraktyczna. - Wskazał na ścianę – To ilustracja domku.

Podchodząc, żeby zobaczyć, Sam zobaczył dokładnie ten sam domek, w którym stał na szczycie stromego wzgórza, które pasowało konturom Briggs Avenue i East 194th Street, kiedy jeździł tymi ulicami. Ale otaczająca domek ziemia była pełna trawy i drzew. Wydawało się to idylliczne.

- Żona Poego, Virginia była bardzo chora – tą chorobę nazywano wtedy suchoty, my znamy ją pod nazwą gruźlica. Przyjechał do Nowego Yorku w 1844 roku, żeby zająć się gazetami, które go spłukały i kiedy Virginii się pogorszyło w 1846 przenieśli się tutaj, mając nadzieję, że wiejskie powietrze im pomoże. - Anthony się uśmiechnął – Wiesz, nadal mam problemy z mówieniem tego bez śmiania się. Nie zrozum mnie źle, kocham te okolice, ale wiejskie powietrze? - Śmiejąc się Sam odpowiedział.

- Tak, to trochę dziwne. Ale inne czasy, nie?

- O tak. Bronx był zlepkiem farm w XVIII i XIX w. których właścicielami byli głównie rodziny jak Valentineowie, Johnsonowie i oczywiście, pierwszy osadnik Jonas Bronk – półwysep był kiedyś nazywany „Bronck's Land" i to stąd właśnie wzięła się nazwa. W każdym razie, Poe zbudował pokój tylko dla Virginii, kiedy jeszcze bardziej się jej pogorszyło.

Anthony poprowadził Sama do następnego pokoju, którym był hol, w którym znajdowały się schody na górę, tylne wyjście i inny dużo mniejszy pokój, w którym znajdowało się łóżko, stolik nocny i niewiele więcej. Łóżko nie było specjalnie duże, miało solidną drewnianą oprawę i kiepski materac.

- Jesteśmy całkiem pewni, że to w tym łóżku umarła Virginia. Zmodyfikowaliśmy je trochę – oryginał miał w sobie słomę, ale to dość szybko się niszczy, więc zastąpiliśmy ją tym styropianowym popcornem, który wciskają do materiału.

Sam nie mógł się nie zaśmiać.

- Naprawdę?

- Nie jest najlepsze, ale nie śmierdzi.

Poważniejąc, Anthony zaczął opowiadać o tym, jak teściowa Poe'go, Maria Clemm, zajmowała się domem i Virginią, podczas gdy Poe pracował i chodził na długie spacery, opowiedział też trochę o piętrze i piwnicy, które zostały przerobione dla użytku Historical Society i nie były udostępnione dla publiczności. Sam większości z tego nie słuchał, myśląc bardziej o tym, co to oznaczało, że Virginia Poe umarła w tym łóżku, w dokładnie tym miejscu. *Okay, przeniesionym na drugą stronę ulicy, ale czy duchowa energia z tej nocy mogłaby być nadal obecna, mimo że stało się to sto pięćdziesiąt lat temu?*

Translate_Team

Kiedy skończył mówić o Virginii Poe, Anthony wyszedł z pokoju i wskazał na zdjęcie na ścianie. Sam go zignorował, zamiast tego korzystając z okazji i wyjmując czytnik EMF.

Niestety nic nie pokazał. Cóż, to i tak miało małe szanse.

Anthony powiedział coś jeszcze o domu i otaczającej go okolicy, o życiu Poe'go i o planach odnowy domu, oraz otoczenia, razem z centrum, co zostało wstrzymane przez miejską biurokrację. Sam wydał z siebie kilka współczujących dźwięków, kupił kilka pocztówek – zdjęcie domu i portret Poe'go – i zdecydował walnąć prosto z mostu.

- Hej, a słyszałeś o tych morderstwach?

Do tego momentu Anthony był miły, wesoły i przyjazny. Kiedy tylko Sam zadał to pytanie, to było jakby chmura zakryła jego rysy.

- Okay, koniec. Wynoś się.

Udając niewinność Sam zapytał:

- Przepraszam?

Idąc w stronę drzwi, jakby chciał pod nie cofnąć Sama – bez dotykania go – Anthony powiedział

- Słuchaj, wystarczy, że czytam o tym gównie w Internecie, nie mam zamiaru...

- Hej! - Sam podniósł ręce i odmówił przesunięcia się. Anthony też przestał się ruszać. - Tylko przeczytałem coś w gazecie i mnie to zaciekawiło. To nic takiego.

- To zbieg okoliczności. - powiedział Anthony stanowczo. Sam podejrzewał, że nie raz zadano mu już to pytanie od morderstwa Reyes. - To wszystko.

Sam szybko wyszedł i wrócił do auta. Mimo, że nie było żadnych odczytów EMF śmierć ukochanej osoby nadal była dobrym punktem skupiającym rytuału. *Pytanie brzmi, jakiego rytuału?* Kiedy wsiadł do auta wyciągnął mapę ulic Bronxu, którą kupił poprzedniego dnia w drodze do Zoo i znalazł najlepszą drogę na róg Webb Avenue i West 195th Street, gdzie zamurowano ciało.

Wyglądało na to, że będzie to łatwa droga, ponieważ to skrzyżowanie znajdowało się tylko dwie przecznice na północ od Kingsbridge Road. Niestety, kiedy tam dotarł uświadomił sobie, że nie mógł skręcić w prawo na Webb Avenue, ponieważ była to droga jednokierunkowa. Więc skręcił w prawo na Sedgewick, myśląc, że skręci w prawdo na 195th – która też okazała się być jednokierunkową w złą stronę. Sam zaczął rozumieć nienawiść Deana do jeżdżenia po mieście, kiedy dojeżdżał koło następnej ulicy do 197th – *i co do cholery stało się ze 196th?* - skręcił w prawo, przejechał do Webb i znów skręcił w prawo.

Jego zaniepokojenie, że nie znajdzie właściwego domu było nieuzasadnione. Po pierwsze, róg ulicy miał tylko dwa domy, a reszta budynków była apartamentowcami. Po drugie dom, którego szukał był widoczny, ponieważ był brązowy, a nie z czerwonej cegły, z której zrobiony był każdy inny dom w

Translate_Team

sąsiedztwie. To był również jedyny z policyjną taśmą, nie wspominając o znaku NA SPRZEDAŻ.

Decydując, że lepiej będzie wrócić w nocy i z Deanem jako wsparciem, odjechał. Poza tym nie mógł znaleźć w okolicy ani jednego miejsca parkingowego – może będzie to łatwiejsze nocą.

Kiedy odjeżdżał zobaczył poobijaną, starą Hondę Civic parkującą poprzecznie przed domem i wysiadającego z niej niskiego myszowatego kolesia z dużym nosem. Normalnie nie poświęciłby facetowi drugiej myśli, ale zaparkował tuż przed domem, w którym miało miejsce morderstwo – i wyglądał on również irytująco znajomo, ale Sam nie mógł pojąć dlaczego.

Wzruszając ramionami odjechał wzdłuż Webb z powrotem na Kingsbridge, zamierzając pojechać do Cambreleng Avenue gdzie umarły te dwa dzieciaki.

Translete_Team

Rozdział 7

Dom Afiriego
Bronx, Nowy York
Piątek, 17 listopada 2006

Sam słyszał „*The Great Gig In The Sky*" Pink Floydów dobiegające z domu Manfreda jeszcze zanim zaparkował Impalą – tym razem znajdując miejsce parkingowe między dwoma podjazdami po drugiej stronie ulicy od domu – i zastanawiał się, czy ci sami sąsiedzi, którzy sprzeciwiali się próbom Scottso w domu, sprzeciwią się co do poziomu głośności stereo Deana.

Wewnątrz, Sam myślał, że muzyka go ogłuszy i był wdzięczny, że Dean puścił spokojniejszy kawałek Pink Floydów niż, powiedzmy Metallikę, AC/DC lub Deep Purple.

Kiedy wszedł skręcił w lewo, zobaczył Deana w fotelu – rozsuwanym, co zauważył, ponieważ Dean rozsunął go całkiem do tyłu, unosząc nogi – bijącego w wyimaginowane bębny prawą ręką, a lewą przerzucając strony dziennika taty. Albumy były porozrzucane po całej podłodze. Laptop Sama był na niskim stoliku, niebezpiecznie balansując na starych gazetach i magazynach. Krzywiąc się Sam podszedł i przeniósł go na kanapę – wyrywając przy tym z gniazdka zasilacz, co trochę wyjaśniło dlaczego Dean zachował się tak beztrosko w stosunku do laptopa.

Dopiero teraz zauważając Sama, Dean złapał z podłogi pilota i ściszył głośność.

- Sorry Sammy, ale bateria się wyczerpała, a jedyne wolne gniazdko było tam. - wskazał, na zwisający teraz kabel, który biegł aż do drzwi do pokoju.

- Nieważne. Znalazłaś coś?

- Właściwie to tak. - Dean sięgnął w dół i pociągnął brązową rączkę przy fotelu, co go złożyło z solidnym łupnięciem. - I to nie jest coś, co można nazwać dobrymi wieściami.

Samowi nie podobało się to co usłyszał, więc powiedział:

- Czekaj chwilę. Potrzebuje trochę więcej tej kawy.

Dean uśmiechnął się szeroko i złapał kubek, który stał na stole.

- Właśnie zrobiłem świeży dzbanek. Nalej sobie.

- Dzięki.

Sam wszedł do kuchni znalazł kubek z koniczyną i napisem POCAŁUJ MNIE, JESTEM IRLANDCZYKIEM - co wydało mu się dziwne, ponieważ Manfred Afari nie wydawało się być specjalnie Irlandzkim nazwiskiem – i nalał sobie kawy. Wrzucił do niej cukier, ale dał sobie spokój z mlekiem, ponieważ to co pił rano smakowało jakby było na granicy Drugiej Strony. Poza tym to przynajmniej dało się wpić. Nigdy zbytnio nie lubił smaku kawy, ale życie Łowcy i studenta nauczyło go

Translate_Team

doceniać kofeinę nie ważne jak smakowała. Zwykle pił kawy, które Dean nazywał „babskimi" głównie przez dodatkowe smaki i bitą śmietanę i inne dodatki, które ukrywały, że sama kawa smakowała jak gorąca siarka. A dla Sama nie było to tylko fajne porównanie, ponieważ już raz, przez przypadek, podczas roboty wypił gorącą siarkę i nie chciał już tego powtórzyć.

Kiedy wrócił do pokoju zobaczył jak Dean zdejmuje z gramofonu płytę *Dark Side of the Moon* i ją obraca.

- Co znalazłeś?

Dean delikatnie umieścił igłę na krawędzi winylu. Chwilę później usłyszał piosenkę „*Money*". Sam cierpliwie czekał aż wyraz ekstazy zniknie z twarzy Deana i aż jego głowa przestanie poruszać się w górę i w dół, w rytm dźwięków kasy fiskalnej. Potem skończyła się jego cierpliwość.

- Jeśli nie jesteś zbyt zajęty...

Kręcąc głową Dean powiedział:

- A tak, sorry. W każdym razie w dzienniku taty znalazłem pewien rytuał, ale nie był tam, gdzie myślałem, że będzie.

Dean znów usiadł w rozsuwanym krześle i podniósł oprawiony w skórę notatnik. Był on przepełniony papierami, wycinkami i innymi rzeczami, a każdy wolny skrawek przestrzeni zapisany był pismem taty – wojskowa dokładność praktycznie kłóciła się z prędkością, z którą tata zapisywał większość z tych notek, czego rezultatem były litery, które się pochylały, podkręcały i były skompresowane, żeby zmieściło się więcej, oraz chaotycznie zapisane wokół innych notatek. Sam zawsze uważał, że grafolog po zobaczeniu pisma taty poszedłby na emeryturę.

Kiedy demon, który zabił mamę znów dał o sobie znać, tata zostawił dziennik Deanowi (a przez to pośrednio Samowi) żeby go zatrzymać i używać, kontynuując pracę taty.

Dziennik był wszystkim, co zostało im po tacie.

W przyszłości Sam chciał przerobić dziennik na wersję elektroniczną, żeby mieli łatwiejszy dostęp do informacji i mogli je porównać z innymi źródłami i w ogóle szukać rzeczy w bardziej XXI-wieczny sposób niż przekładanie wypełnionych atramentem stron, pożółkłych wycinków z gazet i narysowanych od ręki tabelek, gdzie żadna z rzeczy nie jest poskładana w jakiś znaczący sposób, poza „kiedy tatę oświeciło, żeby to zapisać". Niestety ich życie nie pozwalało na myślenie przyszłościowe i Sam ledwie zaczął proces przepisywania dziennika. Realnie, przepisanie tego zajęłoby miesiące nieprzerwanego wysiłku, a jego życie ostatnio było jedną wielką przerwą.

- Gdzie to znalazłeś? - Zapytał Deana

- Z tyłu.

Translate_Team

Sam się skrzywił. Tam tata zapisywał wszystkie kłamstwa i żarty, rytuały, które nie robiły nic i kreatury, które nie istniały. Dean przewertował notatnik.

- Czy kiedykolwiek słyszałeś o szaleńcu Percivalu Samuelsie?

- Raczej nie. - powiedział Sam, kręcąc głową.

- W późnych latach '90 i na początku XX wieku był spirytualistą i był wysoko na skali szaleńców, nawet w porównaniu do innych szaleńców.

- Jak bardzo był walnięty?

Uśmiechając się szeroko Dean powiedział:

- Cóż, Aleister Crowley powiedział raz, że był szalony, więc powiedziałbym, że gościu miał bardzo nierówno pod sufitem.

- I co z nim? Boże Dean, w tamtych czasach było jakieś bilion spitytualistów. Większość z nich rysowała komiksy.

- Taa, cały bałagan Johnów Edwardów biegających dookoła, ale bez show w telewizji. Robili seanse, próbując się skontaktować „z wielkim życiem po życiu" żeby staruszki mogły pogadać ze swoimi mężami, którzy umarli i żeby dzieci mogły pogadać ze swoją praciocią Sally, żeby sprawdzić, czy naprawdę ukryła ona milion dolców pod podłogą. To były same kłamstwa, ale jeśli byłeś w tym dobry, to mogłeś zrobić niezłą kasę.

- To gdzie w to wszystko mieści się Samuels?

- *Nie był* w tym dobry, więc próbował wymyślić coś swojego. - Dean w końcu skończył przekładać strony, znajdując właściwą kartkę blisko końca zeszytu i podał go Samowi – Wynalazł „zaklęcie wskrzeszające", które zwracało życie krewnym.

Sam wziął dziennik i zobaczył opis rytuału Samuelsa, zapisany pismem taty. Czytał na głos dziennik taty:

- Pieczęć musi zostać narysowana bardzo dokładnie. Punkt Centralnym, jest skupieniem duszy Wskrzeszonego. 4 Punkty Zewnętrzne reprezentują odtworzenie zdarzeń Wielkiej Wagi i Mocy Wskrzeszonego podczas 4 ważnych momentów: 4 ćwiartek księżyca. Kiedy ukończone zostaną 4 Kroki, Wskrzeszany powróci do życia. - Sam spojrzał w górę – Brzmi znajomo.

- Ta, ale to pic na wodę. Samules sprzedał to kilku ludziom, ale nic się nie stało i został aresztowany. W więzieniu popełnił samobójstwo.

Marszcząc brwi Sam zapytał:

- Czy mamy pewność, że nie zadziałało? - Dean wzruszył ramionami.

- Całkiem dużą pewność. Samuels twierdził, że znalazł ten rytuał w „Rytuałach ludu Hindustani" z dalekiego wschodu.

- Hindustani to język, nie ludzie.

- Tak i nawet jeśli miał na myśli religię Hinduistyczną, to nawet w odrobince nie pokrywa się z rytuałami hinduskimi. Wyciągnął to z tyłka i chciał, żeby zabrzmiało egzotycznie. Pamiętasz, to wtedy właśnie Brits skolonizował Indie,

zaraz po tym, jak Japonia i Chiny po raz pierwszy nawiązały poważny kontakt ze Wschodem. - Sam uśmiechnął się.

- A ja myślałem, że spałeś na historii.

- Nie w jedenastej klasie. - Dean zrobił ten półuśmiech, który pojawiał się na jego twarzy za każdym razem, kiedy mówił o kobiecie. - Miałem z panią Modzelewską. Ona była gorąca.

- Oczywiście. - Sam przygryzł wargę. - Chwila.

Wstał i pobiegł do Impali po samochodową mapę Bronxu. Wniósł ją do domu akurat kiedy zaczęła się piosenka „*Us and Them*", spojrzał na stolik, który pokryty był rzeczami Manfreda, pokręcił głową i usiadł na dywanie w czerwone wzory odsuwając porozkładane tam winyle. Wyciągnął z kieszeni ołówek i zaznaczył domek Poe'a. Potem to wymazał i zaznaczył miejsce w którym domek Poe'a stał oryginalnie.

- Co jest po tej stronie ulicy? - zapytał Dean.

Sam szybko wyjaśnił, co mu powiedział Anthony. Potem zaznaczył róg Webb i West 195th, potem Camberleng Avenue pomiędzy East 188th i East 189th.

- Możesz przynieść dziennik? - zapytał Deana.

Dean to zrobił, klękając koło Sama. Potrafił odtworzył pieczęć Samulesona tylko poprzez połączenie trzech kropek, które już miał.

- A niech mnie. - mruknął Dean – lokacja domku, oryginalna lokacja, na podstawie tego, co powiedział facet, jest „skupieniem duszy Wskrzeszanego" i mamy już „odtworzenie zdarzeń Wielkiej Wagi i Mocy".

Sam rysował, kończąc pieczęć.

- Tak i nic nie jest potężniejsze od zaklęcia, które odbiera życie. - Skończył i się wyprostował – Cóż, jeśli mamy rację, to kolejne morderstwo będzie miało miejsce w poniedziałek na Fordham Road i Martin Luther King Jr. Buolvard, albo na Webster Avenue na południe od Bedford Park Boulevard. - po wypuszczeniu długiego oddechu, powiedział – Gdybyśmy tylko wiedzieli kto to robi.

- Właściwie, – powiedział Dean wstając i podchodząc do kanapy i laptopa Sama – to myślę, że znalazłeś podejrzanego numer jeden.

Przejechał palcem po myszce, żeby pozbyć się wygaszacza – był zwykły Windowsowski, ponieważ Sam wiedział, że jakakolwiek próba spersonalizowania go otworzyłaby Deanowi drogę do denerwowania go, a nie widział powodu, żeby to bratu ułatwiać – i ukazała się strona entuzjastów Poego, którą znalazł tego ranka.

- Znalazłeś coś na stronie? - zapytał Sam, wstając, żeby dołączyć do brata na kanapie.

- Tak jakby. - Dean przesunął myszkę na link „O stronie", co ukazało opis strony i zdjęcie faceta imieniem Arthur Gordon Pym. Miał duży nos, małe okrągłe oczka, cienkie usta, podwójny podbródek i cienkie brązowe włosy. - Gościowi chyba staje na samą myśl o Poe'm, nawet zmienił nazwisko. Pym jest bohaterem

Translate_Team

jednej z książek Poe'a. Zdaje się, że umarłby szczęśliwy, gdyby tylko udało mu się spotkać swojego bohatera, a mieliśmy już bardziej posrane motywy.

Oczy Sama się rozszerzyły, kiedy dwa inne skrawki informacji wpadły na swoje miejsce.

- O mój Boże!

- Co? Znasz tego idiotę?

- Nie, ale... - pokręcił głową – Widziałem go dzisiaj, wcześniej. - Szybko Sam streścił podróż do domku Poe'a, a potem jego próbę sprawdzenia domku na Webb i 195th. - Ktoś podjechał do domu – to był ten gościu – powiedział, wskazując na ekran.

- To go umacnia jako podejrzanego.

- Kochanie, wróciłem!

Sam i Dean obaj spojrzeli w stronę drzwi i zobaczyli jak wchodzi Manfred, mając na sobie pokryte kurzem robocze ubranie i buty i koszulkę z długim rękawem pod skórzaną kurtką.

- Cholera, całe wieki nie słuchałem Pink Floydów. Dobry wybór.

- Dzięki – powiedział Dean – Sorry, za bałagan.

- Nie przejmuj się tym – powiedział Manfred. - Fajnie jest mieć gości, którzy cieszą się lepszymi rzeczami. Jedziecie dzisiaj na koncert, nie?

- Nie przegapiłbym tego. - powiedział Dean.

Sam odwrócił się, żeby spojrzeć na Deana, ale nic nie odpowiedział nic, dopóki Manfred nie powiedział:

- Fajnie, albo raczej zajebiście. Idę się przebrać. - i poszedł na górę.

- Co? - Zapytał Dean widząc spojrzenie Sama.

- Jeśli duch się pokazuje zawsze po koncertach, może powinniśmy zostać i zobaczyć, czy się pokaże.

- A jeśli nie pokazuje się aż Manfred nie wróci, to stracimy parę zajebistych kawałków, nie? - Zanim Sam mógł się sprzeciwić Dean powiedział. - Chcesz być domisiem, to zostań, ja idę.

Sam to przemyślał, a potem powiedział:

- Nie, idę z wami. To jest oczywiste, że duch jest powiązany z koncertami, więc powinniśmy je sprawdzić.

I z jakiegoś powodu nie bawił go pomysł zostania samemu w tym domu. Podczas gdy Dean się tu zadomowił, Sam czuł się jak włamywacz. Na pewno nie miał problemu z używaniem cudzego łóżka i uniknięciem kolejnej defraudacji karty – zwłaszcza, że teraz twarz Deana była w każdej policyjnej bazie danych w kraju – ale siedzenie tu samemu, jakby miejsce było jego, tak jak Dean robił to cały dzień, wydawało mu się złe.

Translate_Team

Nie był pewien dlaczego, ale tak właśnie czuł. Poza tym, jeśli zespół naprawdę grał rocka z '70 nie było szans, żeby Dean przywiązywał wagę do czegokolwiek dziwnego, co mogłoby wyjaśnić ducha. Musiał tam być, żeby wesprzeć brata.

- Słodko – powiedział Dean – więc pójdziemy na koncert, sprawdzimy o co chodzi z duchem, może nawet się go pozbędziemy, a robótką z Poe’m zajmiemy się jutro.

- Brzmi jak plan. - powiedział Sam

Translete_Team

Rozdział 8

Park in Rear
Larchmont, Nowy York
Poniedziałek, 17 listopada 2006

Dean zdecydował, że ta noc mogłaby być gorsza tylko wtedy gdyby naprawdę wsadził sobie rozgrzane do czerwoności kawałki stali do uszu. A to wydawało się lepszą alternatywą niż słuchanie jeszcze jednego akordu granego przez Scottso.

W swoim życiu słyszał dużo piosenek, granych przez wiele zespołów. Życie, które prowadził wymagało cięcia kosztów, więc przednie miejsca na koncertach ulubionych zespołów odpadały. Zamiast tego słuchał muzyki na żywo tam, gdzie tylko mógł ją znaleźć, w dziurach jak Park in Reat.

Widział zespoły w przydrożnych zajazdach, domach kultury, burdelach i barach. Widział muzyków bluesa w Chicago, jazzu w Nowym Orleanie i zespoły coverowe w Key West. Widział studenckie zespoły grające w przerobionych garażach i garażowe zespoły w miasteczkach studenckich.

I przez cały ten czas nie słyszał nic tak beznadziejnie okropnego jak Scottso.

Nie był do końca fair – widział zespoły, których ballady były smętne tylko przez zmęczenie, które nakładał na ich głosy bagaż emocjonalny. Jako fan rocka klasycznego widział co robią lata takiego beczenia, że aż żyły wychodzą ludziom pokroju Roberta Planta i Steve'a Perry'ego, a jedyną pociechą Deana podczas oglądania tych nieudaczników było to, że spędzą późniejsze lata z poważnie uszkodzonymi strunami głosowymi. To będzie błogosławieństwo dla społeczności muzycznej, zwłaszcza, że piosenki, które pisali były koszmarne.

Ale te zespoły nie denerwowały Deana tak bardzo, ponieważ jedyną muzyką, którą pieprzyli była ich własna. Jasne, grali dla gówna, ale grali gówno, więc go to waliło.

Scottso z drugiej strony robili cover do niektórych ulubionych piosenek Deana: „*Cocaine*”, „*Ramblin' Man*”, „*Rock On*”, a nawet, Boże dopomóż „*Freebird*”. I okropnie je masakrowali.

Zaczęło się od perkusisty. Jedynego faceta z krótkimi włosami w zespole, zmieniał tępo co każde sześć akordów, cały czas opuszczał cymbały i miał tą denerwującą tendencję do uderzania w bębny między piosenkami, kiedy nie było to w ogóle potrzebne. Jakby to nie było wystarczająco złe, miał na sobie fioletowe krótkie spodenki i koszulkę koloru rzygów.

Jak większość basistów, ten sprawiał wrażenie bardzo znudzonej sekwoi. Stał prosto, mając na sobie czarny podkoszulek, czarną kamizelkę, czarne jeansy i czarne buty kowbojki. Jego prawie czarne włosy były zaczesane do tyłu, spadając za ramiona. Niezapalony papieros wystawał mu z ust. Jedynym znakiem, który

Translate_Team

dawał Deanowi pewność, że basista jeszcze żył było to, że jego palce poruszały się po strunach, no i okazjonalnie schylił się, między piosenkami, żeby napić się piwa i jakimś cudem udawało mu się nie zgubić przy tym papierosa. Dobry zespół miał dobrze wypracowany rytm, bas i perkusja żywiąca się sobą i zapewniająca fundament dla innych instrumentów. Scottso jednakże nie było dobrym zespołem. Dean nie był nawet pewien, czy basista i perkusista byli na tej samej planecie, nie wspominając już o graniu tej samej piosenki.

Klawiszowiec był jedynym, oprócz Manfreda, z poważną siwizną we włosach i był również jedynym z długowłosych, który związał swoje włosy w kucyka, co tylko akcentowało łysinę na środku głowy. Światła baru odbijały się od jego łysiny oślepiając Deana. Robił znakomitą robotę dopasowując dźwięki tak, żeby pasowały do coveru bez wkładania w to żadnych uczuć. Nie chodziło o to, że robił coś źle, po prawdzie to był lepszy w utrzymywaniu tempa niż sekcja rytmiczna – ale po prostu grał z nut. Najlepsze zespoły coverowe robiły jedną z dwóch rzeczy: Jedne robiły ze starych piosenek swoje; inne idealnie odtwarzały oryginał. Ci goście byli blisko drugiego tylko dlatego, że nie tyle odtwarzali co imitowali. A nawet w tym, klawiszowiec był tylko trochę lepszy od reszty.

No i był jeszcze Manfred Afari, mężczyzna, którego Dean respektował dopóki nie otworzył ust na scenie Park in Rear. Nie chodziło o to, że źle śpiewał. Trafiał w tony – mimo że niektórych ledwo sięgał. Ale nie miał mocy, nie miał tego czegoś, duszy, serca. Kurwa, gdyby nie mikrofon Dean nie był pewien, czy w ogóle by go usłyszał – co, gdyby się nad tym zastanowić, byłoby błogosławieństwem.

Dean poszedł do baru po coś, co chyba było jego szóstym piwem – przestał liczyć, wiedząc, że nie miał nawet w połowie wystarczająco – i miał nadzieję, że tym razem obsłuży go ta słodka dziewczyna, a nie ten facet o posturze zdechłego grizzly. Zwykle poczekałby aż dziewczyna będzie wolna, ale Scottso stawiało alkohol na szczycie jego listy rzeczy do zrobienia.

Obaj barmani byli zajęci, więc wcisnął się pomiędzy parę, która całowała się przy barze, a dwóch facetów, którzy wyglądali na nieletnich. Gapił się na ciemne drewno stołu, które wyglądało jakby połowa świata coś na nim wydrapała.

Dziewczyna dała facetom jakieś babskie drinki, które sprawiły, że przestał ich zaliczać do świata mężczyzn. Potem podeszła do niego. „Dziewczyna" wyglądała jakby była grubo po trzydziestce, ale była całkiem gorąca. Jej brązowe włosy były związane w kucyka, ukazując ładnie zaokrągloną twarz. Miała bardzo małe oczy – Dean nie potrafił powiedzieć jakie miały kolor, w ciemnym świetle baru – i bardzo pełne usta, którym dawał osiem na dziesięć punktów na jego skali całowania – no może osiem i pół. Jak drugi barman – który był wysokim i chudym gościem po pięćdziesiątce – miała na sobie czarny podkoszulek z rysunkiem baru na czerwono. W przeciwieństwie do faceta – który nosił swoją koszulkę jak ochroniarz i raczej

Translate_Team

bardzo, bardzo, bardzo nie powinien – ona swoją miała obcisłą i miała wszystkie potrzebne zakręty, żeby wyglądać w niej dobrze.

- Następne piwo? - mówiła z grubym akcentem, który uznał za lokalny. Wszystko co wiedział o Nowojorskich akcentach to to, co słyszał na *NYPD Blue*, a ona brzmiała blisko tego.

- Tak, kolejny Brooklyn. - Jednym z plusów Park in Rear było to, że mieli piwo Brooklyn. Dean ostatnio pił je podczas fuchy w Pittsburghu i odkrył, że mu smakowało – poza tym, pasowało, żeby w końcu wypić je w jego rodzinnym mieście.

Ale pragnienie, żeby przejść na tequilę było silne.

Złapała czystą szklankę i zaczęła je nalewać z wprawą eksperta – trzymając szklankę pod odpowiednim kontem – i nawet nie patrzyła co robi.

- Wcześniej cię tu nie widziałam. - Dean nigdy nie przegapił dobrego podrywu, więc odpowiedział:

- Pierwszy raz. Nazywam się Dean.

- Jennifer. - Z jej akcentem ostatnia sylaba brzmiała bardziej jak „fuh", niż „fer". - I jestem pod wrażeniem, nie mamy zbyt wielu świerzaków, wiesz?

- Jesteśmy przyjaciółmi Manfreda. Spoza miasta.

- Jasne. - Skończyła nalewać piwo jedną ręką, złapała chusteczkę drugą, postawiła ja na starym blacie i delikatnie postawiła na niej szklankę. - Jak powiedziałam, nie często widzimy świerzaków.

- Zwykle tylko stali klienci, nie? - Jennifer skinęła głową.

- Fajnie zobaczyć nową twarz. - Dean wziął łyk piwa i powiedział.

- Cóż, fajniej zobaczyć twoją.

- Za piwo będzie pięć dolców. - Kiwając głową Dean powiedział,

- Już.

Podał jej dychę. Podeszła do kasy dając mu okazję, żeby zauważyć, że jej jeansy były nawet bardziej obcisłe niż koszulka i mimo, że miała szersze biodra niż zwykle preferował, jej to pasowało. Oddała mu pięć dolców. Cztery zostawił na stole.

- Dzięki. - przekrzywiła głowę

- To tobie dzięki. Zwłaszcza, że Harry'emu dałeś tylko dolara.

- Na ciebie lepiej patrzeć niż na Harry'ego. - Jennifer wydała z siebie dźwięk przypominający wybuchającą rurę

- Taką mam nadzieję.

Scottso nareszcie skończyli „*Freebird*", a potem Manfred powiedział, że zrobią sobie przerwę.

- Dzięki Bogu! - mruknął Dean, kiedy z płyty poleciała „*Brown-Eyed Girl*" Vana Morrisona. Jennifer uniosła brew.

- Nie lubisz zespołu?

Translate_Team

- Um... cóż, gitarzysta jest dobry.

- Tak, Aldo wie co robi.

Dean tutaj nie kłamał – gitarzysta był jedynym jasnym punktem. Udało mu się doskonale odtworzyć muzykę Erica Claptona, Jimmy Paige'a, Gregga Allmana i Ritchiego Blackmore'a. Jego solówki były jedynymi jasnymi częściami nieznośnego doświadczenia. *Szkoda, że utknął z tymi durniami*. Marszcząc w jego kierunku brwi Jennifer powiedziała:

- Myślałam, że jesteś znajomym Manfreda. - Cholera!

- Tak, cóż... powiedzmy, że kiedyś śpiewał lepiej. - znów ten dźwięk wybuchającej rury.

- Manfred śpiewa w tym barze odkąd tylko pamiętam i nigdy nie umiał śpiewać. I mówię tu o dziesięciu latach. - Dean odetchnął z ulgą.

- W sumie. Próbowałem być miły.

- Poza tym nie mogłeś go słyszeć dziesięć lat temu, miałeś ile? Dwanaście lat?

- Siedemnaście. - powiedział Dean obronnym tonem. Używając swojego najszczerszego tonu głosu dodał – Co oznacza, że nie mogłem być starszy od ciebie, więc co robiłaś łażąc po barach?

- Słodkie, Dean, ale mam w lodówce żarcie starsze niż ty. Wiesz, doceniam napiwki i komplementy, ale jak chcesz sobie wyhaczyć laskę jest tu co najmniej tuzin dziewczyn, z którymi ten numer ci się uda.

- Nie – Dean wziął kolejny łyk piwa – Każdy, kto tu przychodzi prawdopodobnie będzie lubił ich muzykę, a to jest coś z czym nie mogę dać sobie rady. Z tobą przynajmniej wiem, że nie jesteś tu z wyboru. - Tym razem się uśmiechnęła. - No wreszcie. Zaczynałem myśleć, że twoje mięśnie od uśmiechu nie działały.

- Pokaż mi uśmiechniętego barmana, a ja ci pokażę złego barmana. - a potem uśmiechnęła się tak i mrugnęła – albo barmankę, którą podrywa słodki dzieciak. - Dean podniósł szklankę w toaście.

- Dzięki.

- I tak szczerze, to już nawet nie słyszę muzyki. Za długo to robię.

- W takim układzie Jennifer, zazdroszczę ci. - Znów podniósł szklankę, tym razem upijając trochę więcej. Pokręciła głową.

- Nie jesteś jak większość przyjaciół Manfreda. To ci muszę przyznać. Po pierwsze, nie masz wystarczająco dużo włosów. - Myśląc o Ashu Dean powiedział.

- Tak, widzę.

- Sorry, ale muszę kogoś obsłużyć. Jak będziesz czegoś potrzebował, to powiedz, okay?

Dean nawet nie zauważył osoby, która podeszła do baru. Jennifer poszła wziąć jego zamówienie, które najwidoczniej było dla całego stolika.

- Jasne.

Translate_Team

Flirtował już wcześniej z barmankami i wiedział, że trzeba to robić po trochu, bo inaczej nie mogły wykonywać swojej pracy. Barmani żyli z napiwków, więc wiedział, że nie może zajmować im za dużo czasu. Zamiast tego zadowalał się zbieraniem punktów podczas krótkich rozmów. Kiedy skończy piwo, wróci poprosi o więcej i dowie się jaką muzykę lubiła.

Jasne, była starsza niż lubił, ale była ładna i mądra i nie interesowało jej nic oprócz jego komplementów – i napiwków. Dean zdecydował, że weźmie to jako wyzwanie. *Dupa, nie żarcie w lodówce.*

Poza tym, potrzebował czegoś co odwróciłoby jego uwagę od muzyki.

Ułożywszy plan Dean wrócił do stolika na tyłach przy którym siedział z Samem. Park in Rear miał dużo miejsc w których można było się schować. Kiedy się wchodziło bar był przy ścianie po prawej. Tuż przed tobą były małe barowe stoły i stołki, a po lewej była sekcja z wysokimi stołami, przy których stały stołki barowe. Na samym tyle była scena, przed którą znajdował się mały parkiet do tańca.

Wszędzie były kolumny podpierające, na których wydrapane było nawet więcej rzeczy niż na barze, więc było łatwo się ukryć. Jednak głośniki były tak rozmieszczone, że nie dało się uciec od muzyki dobiegającej ze sceny – nawet jeśli zrobiło się tak jak on i Sam i znalazło się stolik w rogu najbardziej oddalonym od sceny, a który nadal znajdował się na terenie baru.

Sam pił niskoalkoholowe piwo – jak pieprzona baba – i studiował drapanki na stole.

- Wiesz, - powiedział, kiedy Dean się zbliżył – ktoś tu naprawdę wydrapał „Kilroy tu był". Nie wiedziałem, że ludzie to robią w prawdziwym życiu.

- Chyba już wiem, kim jest duch. - powiedział Dean siadając na stołku naprzeciwko brata.

- Serio?

- To duch DJ-a po którym się nazwali. Ściga Manfreda chcąc mu powiedzieć, żeby przestał niszczyć jego dobre imię. - Sam się zaśmiał.

- Weź Dean, nie może być tak źle. Może nie są genialni, ale są zespołem coverowym w dziurze państwie Wetstchesterów. Czego się spodziewałeś?

- Stary, czy ty słyszałeś co zrobili z „*Cocaine*"? - pokazując całkowite niezrozumienie dla lepszych rzeczy w życiu Sam powiedział:

- Nie ważne. Zakładam, że zajęło ci to tyle, bo podrywałeś barmana? - Nie wydawał się być w twoim typie.

- Zabawne – Dean siedział napięty popijając piwo. - Nie, wyciągnąłem z dziewczyny imię. Jennifer i ma dobry smak muzyczny. - Spojrzał na scenę, gdzie dziewczyny praktycznie rzucały się na członków zespołu bez większego powodu i dodał – Co oznacza więcej niż można powiedzieć o większości kobiet w tym barze.

Kilka minut później Manfred podszedł z bardzo niską dziewczyną wiszącą mu na ramieniu. Miała na sobie podkoszulek z napisem IONA COLLEGE.

- Cześć, fajnie się bawicie?

- Zajebiście – powiedział Sam szybko – to jest świetne miejsce.

- Ta, kocham ten bar. - Dziewczyna wcisnęła Manfredowi łokieć w żebra.

- Freddie przedstaw mnie.

- A tak, sorry kochanie. Sam, Dean to jest Gina.

- Janine – powiedziała, wywracając oczami. - Boże. Zawsze to źle wymawiasz.

Dean Winchester spędził większość swojego życia udając, że jest kimś innym, żeby móc ścigać potwory z lepszym rezultatem i przez to spędził bardzo dużo czasu ćwicząc swoją pokerową twarz, a nawet z tymi umiejętnościami potrzebował bardzo dużo siły woli, żeby nie krzyknąć.

Sam, dzięki Bogu przemówił, zanim powiedział coś, co zmusiłoby ich do poszukania sobie hotelu.

- Miło cię poznać.

- Dzięki! Zespół jest świetny, nie? - Naprężonym głosem Dean powiedział:

- To nie jest pierwsze słowo, jakie przychodzi do głowy, ale się nada.

- Hej, słuchajcie – powiedział Manfred – mamy jeszcze jeden set, a potem jedziemy do takiego jednego miejsca w Yonkers, na parę drinków i papieroska albo dwa – właściciel pozwala nam palić jeśli zostaniemy z tyłu, a wiesz, że to nie jest dobre, żeby palić na zewnątrz.

Dean był szczęśliwy, że Manfred tylko mówił o paleniu, bo nie był pewien, czy zniósłby tych gościu na haju.

- W każdym razie, jak chcecie to możecie dołączyć.

- Powinniście przyjść – powiedziała Janine – będzie świetnie.

- Będziesz tam? - Zapytał Dean. Janine westchnęła, a potem znów wywróciła oczami.

- Prawdopodobnie nie. Moja głupia matka.

- Nie śmiej się z matki, jest najlepszą kuzynką jaką mam. - Dean uniósł brwi zdziwiony.

- Kuzynką?

Odetchnął z ulgą, ponieważ pomysł, że ta młoda kobieta – która nie mogła być starsza od Sama – przytulała się do Manfreda ze względu na seks, sprawiał, że Deanowi chciało się rzygać. Ale ze zwykłą zażyłością rodzinną mógł żyć.

- Tak, wujek Freddie jest najlepszy – odsunęła się od Manfreda i powiedziała. - Idę sikać. Fajnie było was poznać. - Po tym odeszła do łazienek na tyle budynku. Menfred uśmiechnął się prawie pokazując zęby.

Translate_Team

- Jest nieprzewidywalnym dzieciakiem. Ale nienawidzę, kiedy nazywa mnie „wujek Freddie", czuję się staro. - poklepał Dean po ramieniu zmuszając go, do zwalczenia chęci uderzenia go. *Pamiętaj o kolekcji nagrań.*

- Cieszę się, że dobrze się bawicie. - potem Manfred spojrzał w górę i kogoś zobaczył. - Hej, Aldo, chodź tu!

Dean skrzywił się na sekundę, a potem uświadomił sobie, że to do gitarzysty krzyczał Manfred. Aldo – który miał włosy tak długie jak Manfred, ale lepiej wystylizowane i bez siwizny – podszedł do nich z dużym uśmiechem, pod dość dużym nosem.

- Hej, co tam?

- Aldo to są znajomi Asha o których ci mówiłem. Sam i Dean Winchester. Ci goście są jak pistolety. - Uśmiechając się szeroko Aldo powiedział:

- Myślałem, że Winchester to były dubeltówki. - Dean uśmiechnął się z sympatią.

- Dzięki. I gratuluję, jesteś tysięczną osobą, która powiedziała ten żart.

- Ha ha ha. - Dean prawie spadł z krzesła na dźwięk głośnego śmiechu Alda. Koło niego Sam podskoczył w krześle. - To było dobre.

- Um, dzięki. Słuchaj – Dean powiedział, wdzięczny, że mógł to powiedzieć do członka zespołu i nie musiał kłamać – świetnie dzisiaj grałeś. Serio ci się udały te akordy.

- Dzięki bardzo Sam.

- Um, jestem Dean, Sam jest tam.

- Właśnie to powiedziałem, Dean. Więc znacie Asha, tak?

- Tak, on...

- Jest nieźle popierdolonym skurwysynem. - powiedział Aldo, kręcąc głową. - Patrząc na niego nie powiedziałbyś, że chodził do MIT, nie? - Sam uniósł brew.

- Ta, też myśleliśmy, że to trochę dziwne. Nie mogę sobie wyobrazić jak on się tam wpasował.

- Kurwa, ja nie widzę, jak on by się gdziekolwiek wpasował, Dean.

- Jestem Sam.

- Właśnie to powiedziałem, Sam. W każdym razie, chętnie bym pogadał, ale mam parę spraw do załatwienia, wiecie co mam na myśli? - On *naprawdę* uniósł i opuścił kilka razy brwi.

- Jasne, tylko trzymaj się z daleka od Janine. - powiedział Manfred srogo.

- Tak, tak, tak. - powiedział Aldo wysuwając rękę przed twarz Manfreda, a potem podchodząc do baru, żeby pogadać ze starszą kobietą.

- Słuchajcie, muszę odcedzić ziemniaczki. Jak będziecie czegoś potrzebować, to dajcie znać. - Zanim Dean mógł nawet zacząć myśleć o odpowiedzi, Manfred odszedł do łazienki.

Translate_Team

- Więc – powiedział Sam po sekundzie – cokolwiek się tu dzieje bardzo dobrze się chowa. Nigdzie nie odbieram EMF i sprawdziłem ściany, kolumny i resztę. Nic nie uderza mnie jako jakiegoś rodzaju symbol, lub pieczęć. - Śmiejąc się Dean powiedział:

- Jesteś pewien, że „Kilroy tu był" nie jest wezwaniem dla demona? - Sam też się zaśmiał.

- Pewnie nie. To i tak był strzał na ślepo, jestem całkiem pewien, że to coś jest powiązane bezpośrednio do Manfreda, nawet jeśli nie jest powiązane z muzyką.

- I tak powinniśmy wszystko sprawdzić – powiedział Dean, a potem napił się piwa. Po kilku dużych łykach dodał – jeśli nie uda nam się tego załatwić, to przynajmniej wszystko sprawdzimy i nie będziemy musieli przychodzić tu jutro. - *Ale*, pomyślał, *jeśli Jennifer jutro pracuje...*

- Przy okazji Dean, - dodał Sam po chwili – myślałem, że dzisiaj, po sprawie Manfreda moglibyśmy wyjść obejrzeć dom na Webb.

- Czemu dzisiaj – zapytał Dean – No, bo prawdopodobnie będziemy mieli ręce pełne roboty z wujkami Kacpra. A po drugie, kto wie jak długo będziemy pić i palić. - Sam posłał mu swoje najostrzejsze spojrzenie i wyszeptał – Dean, jeśli mamy się włamywać do domu, to lepiej, żeby to było jak najpóźniej w nocy. - Dean zastanawiał się, czy się nie kłócić, ale jego brat miał rację.

- Tak, okay, dobra, ale najpierw rozprawmy się z duchem.

- Jasne, ale naprawdę mam nadzieję, że coś znajdziemy, bo w Cambrelang nic nie było. A, i przy okazji wisisz mi dychę.

- Za co?

- Powiedziałeś, że znajdę coś, czego nie znalazły gliny. Sprawdziłem i miejsce było czyste, zbyt czyste jak na ulicę w Nowym Yorku. NYPD zebrali wszystko.

Dean podniósł piwo.

- Sam, powiedziałem ci...

- To nie ma nic wspólnego z tym, czego szukają. Pamiętasz, co Frieda powiedziała w Zoo? Że rozmawiali ze wszystkimi, od glin, przez reporterów do prawników z uniwersytetu. Umarli studenci, dlatego college jest w stanie pełnej gotowości. Gwarantuję ci, że naciskali na policję, żeby pozbierali wszystko z tej ulicy. Nie ważne, czy uznają to za istotne czy nie. Wszystko z miejsca zbrodni jest gdzieś w laboratorium NYPD.

Dean dopił resztę swojego piwa, a potem odstawił szklankę na stół.

- Dobra, wiesz więcej o administracji w college'u i ich dziwnych nawykach. Ale i tak musimy sprawdzić dom. - pomyślał przez chwilę – Ale prawdopodobnie i tak nic nie znajdziemy.

- Dobrze – powiedział Sam z zadowolonym z siebie wyrazem twarzy – przydałoby mi się 10 dolców.

Translate_Team

- Nie, mówię serio Sammy, pomyśl o tym. To nie jest sprawa dla nas. No bo wiemy, że rytuał nie jest prawdziwy.

- Wiemy?

Dean spojrzał na brata. Teraz miał na twarzy swoją nalegającą minę. Dean jej nienawidził, ponieważ Sam jej używał tylko kiedy się z nim kłócił. Inaczej niż wtedy, kiedy kłócił się z tatą. Wtedy zawsze był zły.

- Oczywiście, że tak.

- Bo tata tak powiedział, tak? Tylko, co jeśli się mylił? No bo to on nam mówił, że wampiry nie istniały, a potem w Manning, bingo, wampiry. - kręcąc głową Dean powiedział:

- Tata wiedział o wampirach, tylko myślał, że wyginęły.

- Chodzi o to Dean, że nie wiemy wszystkiego. A tata wiedział więcej od nas, ale on też nie wiedział wszystkiego. No, bo ten cały Samuels próbował zrobić ten rytuał tylko kilka razy zanim go aresztowano. Skąd wiemy, że nie zadziałał? Albo, że nie zadziała?

- Weź Sammy, jedyną osobą która odprawiła rytuał był Samuels, kłamał skąd go wytrzasną i nikt nie używał go ani wcześniej, ani później.

- A przynajmniej tak wiemy. - Dean spojrzał na Sama wilkiem.

- To nawet nie jest na niczym oparte. To jedno wielkie oszustwo.

Wyciągając ręce w geście poddania, Sam powiedział:

- Dobra, powiedzmy, że naprawdę jest sztuczny. Nie możemy po prostu niczego nie robić. Wiemy, kiedy nastąpi kolejne morderstwo i mamy przynajmniej mgliste pojęcie gdzie. I powody, dla których się dzieją, są ponad naturalne i tym się właśnie zajmujemy.

- Nie – Dean spojrzał na brata – my ścigamy prawdziwe potwory, nie podróbki.

Cicho Sam powiedział:

- Powiedziałbym, że ktoś, kto już zabił trzy osoby i ma zamiar zabić więcej, jest potworem.

Dean westchnął, kontynuując kłótnię z przyzwyczajenia i niechęci przyznania młodszemu bratu racji.

- Moglibyśmy po prostu powiedzieć glinom.

- Naprawdę uważasz, że by nam uwierzyli? Jedynym sposobem, żeby ich przekonać byłoby wyjaśnienie rytuału, a gdybyśmy to zrobili uznaliby nas za wariatów. A potem wpisaliby opis naszego wyglądu do komputera i później...

- Tja, tja, tja. - Nie potrzebował przypomnienia faktu, że był Najbardziej Poszukiwanym Ameryki. Na początku myślał, że to było zabawne, ale nowinka szybko z tego zeszła, kiedy uderzyły go prawdziwe konsekwencje. - Idę sobie wziąć kolejne piwo. Chcesz czegoś?

Powróciła nalegająca mina.

Translate_Team

- Czyli to zrobimy, tak?

- Tak, Panie Zmartwiony Wrzodzie robimy to. Sprawdzimy dzisiaj dom, a jutro spróbujemy namierzyć pana Pyma.

- Dobrze. I chcę następny gin z tonikiem. - Dean się zatrzymał, odwrócił i gapił na brata.

- Stary, nie ma szans, żebym to zamówił. Wezmę ci screwdrivera, Szkocką z wodą, kurwa nawet lampkę czerwonego wina, ale gin z pieprzonym *tonikiem*? Co to jest, Teatr Narodowy? - Sam patrzył na niego z lekko otwartymi ustami.

- Ale ja lubię gin z tonikiem. Co, to teraz przestępstwo?

- Właśnie, że tak. - podniósł ręce – Zapomnij – sam se kupuj swoje damskie drinki. Ja biorę piwo.

Złapał pustą butelkę po piwie, zszedł z podestu i przecisnął się między ludźmi, żeby dostać się na stronę baru po której była Jennifer.

- Wróciłeś – powiedziała, z uniesioną brwią. Dean zauważył pot na jej czole.

- Duży jak życie i dwa razy ładniejszy. - powiedział z uśmiechem, krzywiąc się nawet kiedy to mówił.

- Cóż, i tak jesteś jednym z tych – powiedziała Jennifer z dużym uśmiechem, który podobał się Deanowi. - Kolejne piwo? - skinął głową.

- Muszę zapytać, jaką muzykę lubisz? - Nalewając kolejne piwo pokręciła głową.

- Nie pytaj o to. - Marszcząc brwi Dean zapytał:

- Dlaczego nie?

Jennifer wzdrygnęła się, ale nawet wtedy jej ręka nie poruszyła się na szklance.

- Bo ze mną flirtujesz i to jest słodkie i nawet mi się podoba, a w momencie, kiedy odpowiem na to pytanie uciekniesz.

- Weź, nie może być tak źle – powiedział z szerokim uśmiechem – No bo, chyba nie słuchasz boysbandów, ani nic, nie?

Kiedy skończyła nalewać piwo Jennifer tylko na niego patrzyła. Przestał się uśmiechać.

- Nie! - Stawiając piwo na serwetce Jennifer uniosła dłoń.

- Nie potrafię tego wyjaśnić dobra? Jestem co najmniej dwadzieścia lat za stara na takie rzeczy, ale nie mogę przestać. Kocham to! Ta harmonia, tańce i cholera, są ładni. - Wskazała na Dean palcem zanim mógł przemówić – Nic nie mów Dean, wystarczająco się nasłuchałam od moich dzieci. - Tego Dean się nie spodziewał

- Dzieci?

- Ta, dziesięcioletniej przemądrzałej córki i ośmioletniego syna z problemami z autorytetami.

- Pewnie są w domu z ojcem. - Jennifer się zaśmiała.

Translate_Team

- Dean jesteś tak subtelny jak eksplozja nuklearna, wiesz? Nie, jestem samotną matką. Mam koleżankę, która się nimi zajmuje, kiedy pracuje, a ja zajmuje się jej dzieciakami kiedy wracają ze szkoły, a ona jest w pracy. - Zaśmiała się – Jutro muszę nawet zawieźć Billy'ego na trening piłki nożnej. - Dean uniósł szklankę.

- Regularna mama piłkarza.

- Dokładnie. Przepraszam.

Poszła pomóc kolejnemu klientowi. Dean obserwował jak odchodziła, zdziwiony tym, że wydawała mu się jeszcze bardziej atrakcyjna niż kilka minut temu. Co nie miało żadnego sensu, skoro zwykle nienawidził piłki nożnej, generalnie preferował młodsze, nie był wielkim fanem dzieci i brzydził się boysbandami, z intensywnością, którą zwykle zachowywał dla potworów.

Oczywiście to nie zmienia tego, jak zajebiście wygląda w tym T-shircie.

Wziął długi łyk i usłyszał głos Manfreda:

- Dobra, chłopcy i dziewczęta, Scottso wróciło!

Odwracając się Dean zobaczył jak członkowie zespołu zbierają instrumenty, gotowi grać. Zaczęli grać początek „*Rock On*" Davida Essexa.

Kiedy tylko usłyszał jak Manfred zgrzyta „Hey kids, rock and roll", żeby zacząć piosenkę, Dean wypił duszkiem prawie całe piwo.

- Hej, masz na imię Dean, tak?

Odwracając się Dean zobaczył Janine, nadal mającą na sobie koszulkę Iony. Dopiero teraz zobaczył jak obcisłe były jej jeansy i jak krótka była bluzeczka. Miała kolczyka w pępku, który błyszczał w słabym świetle baru.

- Um, tak... Janine.

- Zapamiętałeś! - popatrzyła za Deana na scenę i powiedziała, właśnie kiedy perkusista całkiem stracił rytm.

- Boże, oni są świetni.

Dean zdecydował, że na świecie nie było wystarczająco dużo piwa.

Translate_Team

Rozdział 9

Bar & Grill Shamrock
Yonkers, Nowy York
Sobota, 18 listopada 2006

W ciągu całego swojego życia Sam Winchester miał wiele okazji do rozmyślania nad naturą piekła.

Wychowany mniej lub bardziej jako chrześcijanin – tata był zaskakująco wierzący, biorąc pod uwagę okoliczności – Sam wierzył w Boga i w większość tych rzeczy, w które wierzył każdy przeciętny Amerykanin. Nie często trafiał do kościoła – ostatnio tylko w czasie szukania potworów – ale codziennie się modlił. Przeczytał Biblię, jako dziecko, a później kiedy był na Stanfordzie, brał lekcje Porównania Religii, jako dodatkowe zajęcia na kursie z teologii.

Ale biblia nie była zbyt pomocna w temacie piekła. W Nowym Testamencie było dużo na temat Królestwa Niebieskiego – ale i tak unikano szczegółów.

Czy piekło było miejscem? Dowody, które posiadał na to wskazywały, ponieważ demony musiały skądś pochodzić. I mimo, że widział swoją działkę duchów, które nie mogły przejść dalej, to były one maleńkim odłamkiem ludzi, którzy umarli – co oznaczało, że większość ludzi szła dalej, co implikowało, że gdzieś szli. Oczywiście było możliwe, że po prostu znikali w eterze, ale jakoś nie mógł w to uwierzyć. W końcu wiedział, że istnieli Żniwiarze – wpadli na jednego w Nebrasce i Dean spotkał jeszcze jednego, kiedy był w szpitalu po wypadku samochodowym – i ich obecność prowadziła do konkluzji, że do czegoś przygotowywali zmarłego. No bo jeżeli ludzie mieli po prostu zblednąć, to po co zawracać sobie głowę Żniwiarzami?

No i były jeszcze demony, które sobie z nich kpiły. Na przykład ten w samolocie, który powiedział mu jak bardzo cierpiała Jess i ten ze skrzyżowania, który powiedział coś takiego Deanowi o tacie. Wiedział, że demony kłamały, ale jednak mogło w tym być trochę prawdy. Sam nienawidził myśli, że Jess cierpiała w jakimś dziwnym nie-świecie, tylko dlatego, że była wystarczająco głupia, żeby się w nim zakochać.

Tak naprawdę to na tym skupiała się większość jego codziennych modlitw.

Nawet jeśli istniało piekło w takiej postaci, jak opisywali je wszyscy ci księża, miał nawet mniej dowodów na istnienie nieba. Ale zajęcia z Porównania Religii dużo mu dały, a brał je z tego samego powodu, co zajęcia z Nawiedzeń w Ameryce – chciał sprawdzić jak ludzie w normalnym świecie radzili sobie z anormalnymi rzeczami, które były częścią – a nawet głównym wątkiem – jego życia odkąd miał pół roku. Najbardziej intrygował go system Yin i Yang ze wschodniego systemu

wierzeń. Było niemożliwością posiadanie czarnego bez posiadania takiej samej części białego – i była odrobina białego w czarnym i odrobina czarnego w białym.

Najlepiej wyraził to piosenkarz muzyki folk o imieniu Arlo Guthrie na starym albumie należącym do jego znajomego z akademika z pierwszego roku „Nie możesz mieć jasnego bez czarnego, żeby w to wsadzić. Nie możesz mieć jednego bez drugiego". Więc jeśli istniało piekło, a Sam miał dowody, które na to wskazywały, to musiało również istnieć niebo.

Ale nadal pozostawało pytanie, czym było piekło. Czy był to tak, jak opisał to Milton w „Raju Utraconym", dom dla upadłych aniołów, które walczyły Bogiem i przegrały? Czy była to raczej pełna ognia dziura, którą tak wielu Kalwinistów widziało w swoich przepełnionych siarką kazaniach.

Czy był to ten stary żart, że piekło to inni ludzie? Jean-Paul Sartre powiedział tak na jednym ze swoich występów w Huis Clos, w którym piekło było trojgiem ludzi zamkniętym w jednym pomieszczeniu.

Tu i teraz w Barze i Grillu Shamrock w Yonkers, późną piątkową nocą – albo wczesnym sobotnim porankiem, jakby nie spojrzeć – Sam zaczynał rozumieć sposób myślenia Sartresa, że piekło oznaczało utknięcie pomiędzy Deanem i Janine Molina. Janine najwidoczniej zadzwoniła do swojej matki i po tym, jak Manfred dostał telefon i zapewnił ją, że odwiezie Janine całą i zdrową do domu to mogła zostać. Dean miał problem z pogodzeniem wyglądu Janine – który, co Sam przyznał, był nieziemski – z jej miłością do muzyki Scottso, co oznaczało, że jego zwykle swawolny brat próbował uniknąć zostania złapanym w jej sieć. Więc kiedy weszli Dean upewnił się, że między nim i Janine siądzie Sam.

Żeby było gorzej Aldo siadł po drugiej stronie Deana i natychmiast zaczął mówić o Impali:

- Skąd, do diabła wytrzasnąłeś Impalę z '68 w tak dobrym stanie Sam?

- Cóż, mam na imię Dean i jest z '67.

- Tak powiedziałem. W każdym razie, wygląda fantastycznie. - Uśmiechając się szeroko Den powiedział:

- Sam ją odbudowałem.

To zaczęło szybko postępującą rozmowę na temat silników, transmisji, dziwnych i lepkich płynów i innych niuansów na tema aut, która znajdowała się prawie na samym szczycie jego listy Rozmów, Które Nudziły Go Na Śmierć, zaraz przed Ulubioną Muzyką Deana i tuż po Życiu Seksualnym Deana.

Nie byłoby tak źle, gdyby nie to, że Janine, po tym jak Dean zapobiegł jej próbom siedzenia koło niego, zdecydowała się siąść koło Sama. W jaśniejszym świetle Shamrok widział, że jej duże oczy były brązowe i nie wyglądałyby dziwnie na Bambi. Nawet imię Bambi nie brzmiałoby w odniesieniu do niej dziwnie. Cały czas z nim rozmawiała – o Deanie.

- Więc, co twój brat robi, żeby się rozerwać?

Translate_Team

Przez głowę Sama przepłynęło kilka niemiłosiernych odpowiedzi.

Lubi flirtować z kobietami, które wyglądają bardzo jak ty i udawać, że jest czymś naprawdę impresywnym i seksownym, żeby móc wylądować z nimi w łóżku.

On i ja przeglądamy gazety i Internet szukając paranormalnych fenomenów, żeby je ścigać i niszczyć zanim skrzywdzą ludzi.

Gra w bilard i pokera, które są jedynymi dwoma legalnymi sposobami jakich używamy, żeby zarobić wystarczająco pieniędzy, żeby mieć za co żyć, pieniędzy, które zwykle wydajemy na gówniane hotele, gówniane żarcie, pralnie i paliwo dla Impali.

Mógł powiedzieć którąkolwiek z tych rzeczy. Prawdopodobnie zgasiłyby zapał Janine, a dodatkowo brzmiałyby prawdziwie, co mogło być spowodowane tym, że naprawdę były prawdą.

Ale Sam czuł się rozdarty. Część niego nie chciała jej zniechęcać, ponieważ jej adoracja doprowadzała brata do szału, a on uwielbiał doprowadzać brata do szału. Ale część niego chciała, żeby w końcu przestała gadać o Deanie. W końcu powiedział oklepane:

- Wiesz, mogłabyś sama go zapytać.

- Och! Ale nie chcę przeszkadzać! Poza tym, rozmawia z Aldo o samochodach. To totalnie nie moja rzecz. Wszystko co wiem o samochodach, to że jak przekręcisz kluczyk to zapala, a jak naciśniesz hamulec staje.

- Ta – powiedział Sam, pochylając lekko głowę – tam właśnie stoję. - wypił trochę więcej piwa.

Shamrock twierdził, że jest autentycznym irlandzkim klubem, ale widząc ciemne meble, obdarte ściany, kiwające się krzesła, stoły z wydrążonymi w nich napisami i etniczną różnorodność klientów (Irlandczyków jak na kpinę) wyglądał całkiem jak każdy inny w którym byli Sam i Dean w swojej podróży po kraju. Jedyną rzeczą, która sprawiała, że wydawał się irlandzki było to, że sprzedawali piwa z etykietkami jak Guinness i Killian.

Potem usłyszał słowa jak muzykę:

- Muszę zmniejszyć napięcie w pęcherzu.

Powiedział to Aldo, wstając z krzesła po wypiciu Coli. Z jakiegoś powodu Aldo nie pił – i był jedynym członkiem Scottso, który nie palił papierosa. Kiedy się nad tym zastanowił, Sam przypomniał sobie, że każdy z członków zespołu miał na scenie piwo, poza Aldem, który pił wodę z lodem. Dean uznał Aldo za jedyną kompetentną osobę w grupie i zastanawiał się, czy była tam jakaś korelacja.

Janine wystrzeliła ze swojego krzesła jak z pistoletu i siedziała koło Deana prawie natychmiast.

- Hej, Dean – powiedziała rozmarzonym głosem.

- Um, hej Janine.

Translate_Team

- Więc, dobrze się bawisz? - Dean zmienił pozycję w krześle, kurcząc się w sobie. Sam ukrył szeroki uśmiech pijąc piwo.

- Um, tak, oczywiście, to du... dużo zabawy. Hej, słuchaj, zastanawiałem się, znasz tą barmankę, Jennifer?

- Tak. Jest fajna. Kiedyś była moją niańką i dalej to robi dla moich braci. Czemu? - Wypuszczając długi oddech, Dean powiedział:

- Uch, w sumie to nic, ja tylko...

- Więc, co lubisz robić, żeby się rozerwać?

- Rozerwać?

Sam nie mógł się powstrzymać.

- Tak, Dean, rozerwać. Siedmioliterowe słowo oznaczające przyjemność.

- Dziękuję, Zapytaj Jeevesa. - mruknął Dean – Ja, um... lubię słuchać muzyki. - Kolejne przewrócenie oczami.

- No, pff. Znaczy, wykombinowałam to jak cię zobaczyłam w Park in Rear. Wiesz, widziałam w zeszłym roku Tull na Carnegie Hall. Byli genialni.

Dean zmarszczył brwi.

- Nadal są razem?

- Pff. Oczywiście. Robią trasy jak... cały czas. I Ian Anderson ma jakieś tysiąc lat, ale nadal jest jak...

Manfred pojawił się znikąd.

- Hej, Dean, czy moja siostrzenica cię prześladuje?

Sam po prostu widział wojnę na twarzy Deana – powiedzieć prawdę, czy być miłym dla faceta w którego domu mieszkali?

Wygrało to drugie, ale Sam widział, że Dean był blisko zaryzykowania.

- Nie, jest fajna.

Oczy Janine, które już teraz były duże stały się wielkości kiełbasek i ścisnęła ręce między kolanami.

- Serio?

Okay, pomyślał Sam, *to było warte siedzenia między nią, a Deanem nawijającym o autach.*

Potem usłyszał metaliczną wersję „*China Grove*" Boobie Brothers grającą tuż koło niego. Spoglądając obok uświadomił sobie, że granie dochodziło z torebki Janine, która nadal była na stołku obok.

- Um, Janine – powiedział – Telefon ci chyba dzwoni. - Znów przewróciła oczami.

- Zignoruj go. To prawdopodobnie Mattie.

- Kim jest Mattie? - Zapytał Dean. Odpowiedział mu Manfred.

- Jej ex. - Wypuszczając dramatyczne westchnienie, Janine powiedziała

- Który nie zostanie ex. Totalnie nienawidzę gości, którzy nie rozumieją zdania „ Odpierdol się i umrzyj". Hej, masz telefon? - powoli Dean opowiedział

Translate_Team

- Um, tak.

- Chciałabym sobie kupić nowy. Mogę zobaczyć twój?

Wzruszając ramionami Dean powiedział:

- Okay, chyba tak.

Wyciągnął go. To był zwykły wysuwany telefon, który wyglądał jak jakieś 75% telefonów na świecie. Sam kupił sobie Treo, bo to był najbardziej zaawansowany technicznie telefon na jaki było go stać, podczas gdy Dean trzymał się najprostszych, które nie wymagały od niego zbytniego myślenia.

Otworzyła go i zaczęła wciskać przyciski. Dean pochylił się do przodu, zdenerwowany.

- Um, słuchaj...

- Fajny telefon. - zsunęła go i oddała.

- Słuchajcie, - powiedział Manfred – myślałem sobie, czy nie lepiej wrócić już do domu.

- Dobry pomysł – Dean prawie wystrzelił z krzesła, jednocześnie chowając telefon do kieszeni. - Janine miło było cię poznać, naprawdę.

Również wstając twarz Janine przybrała śliczny naburmuszony wyraz, o którym Sam po prostu wiedział, że Deanowi trudno będzie się oprzeć.

- Ooo, idziecie? Weź Freddie, możesz zostać chwilę dłużej, prawda?

Manfred pokręcił głową.

- Obawiam się, że nie, dzieciaku. Muszę się przekimać. Już nie jestem taki młody jak kiedyś. - Dean dodał.

- I, um, mamy pewną sprawę do załatwienia, zanim sami się położymy.

- Ale będziecie tu jutro wieczorem, prawda? - Zapytała entuzjastycznie Janine.

To powinno być dobre, pomyślał Sam, dopijając piwo.

- Prawdopodobnie nie.

- Tak jakby miałam nadzieję, że lepiej byśmy się poznali. - powiedziała, przysuwając się trochę bliżej Deana. Potem się rozjaśniła – Słuchaj, zadzwoń do mnie, okay? Wklepałam ci w telefon mój numer – zadzwoń do mnie kiedykolwiek, za dnia, albo w nocy.

- Nie ma problemu – powiedział Dean.

Pożegnali się – Robbie, klawiszowiec, obiecał podrzucić Janine do domu – a potem cała trójka wyszła z baru. O tej porze nocy parking był pusty, ale były na nim parkometry, które musiały być wypełnione za dnia.

Kiedy tylko wsiedli do auta, Dean powiedział:

- Po prostu się zamknij, Sammy.

- Słowem się nie odezwałem Dean. Ale gdybym miał jakieś powiedzieć, byłoby to „Wow, nie mogę uwierzyć, że dałeś się naciągnąć na ten numer z mogę-zobaczyć-twój-telefon”.

Dean podenerwowany wcisnął kluczyk do stacyjki i włączył silnik.

Translate_Team

- To było jakiś tuzin słów.

- Cóż, nadal nie mogę uwierzyć, że na to poszedłeś. I to wcale nie jest jakaś wielka sprawa. Ona się w tobie całkiem zadurzyła. - Odchylił się, zakładając ręce za głowę.

- Była nastawiona na Dean-TV. - Wycofując z miejsca parkingowego Dean powiedział:

- Gołymi rękami cię zamorduję.

Opuszczając ręce Sam powiedział:

- Serio Dean, nie wiem o co ci chodzi. Widziałem, jak podrywałeś młodsze.

- Tak, ale one wszystkie miały gust. - Sam mruknął:

- To pozostaje sprawą do negocjacji.

Dean wyjechał z parkingu i na drogę zaraz za terenówką Manfreda i podążyli za nim w różne małe uliczki, z których zapamiętaniem w ciemności Sam miał problemy, dopóki nie dotarli do 258th i przed dom. Nie było żadnych wolnych miejsc parkingowych i Manfred podjechał dalej pod podjazd, żeby Impala się za nim zmieściła.

Kiedy już zaparkowali, wysunęli się z płaszczy – tak było zimno i była 2:30 nad ranem w listopadzie w Bronxie, ale potrzebowali wolności ruchów – i wrzucili je na tylne siedzenie. Dean otworzył bagażnik i wyciągnął dwa shotguny, jeden dla siebie i drugi dla brata. Sam wziął swojego i otworzył go, żeby upewnić się, że obie lufy były pełne.

Idąc wzdłuż podjazdu Manfred spojrzał na obu mężczyzn z broniami, z lekką niepewnością

- Um... goście?

- W porządku – powiedział Sam, szybko – Te mają pociski z soli kamiennej. - Sam zamknął swojego shotguna z tym dźwiękiem, którego nie da się wziąć za nic innego. - Duchy są mało odporne na sól. To je powstrzymuje. - Manfred zmarszczył brwi.

- Co to znaczy „powstrzymuje”

- Znaczy, że na chwilę znikają.

- Nie chcę, żeby zniknął na chwilę, chcę, żeby w ogóle zniknął. - Dean zamknął bagażnik.

- Jedynym sposobem, żeby to zrobić jest znalezienie ciała, do którego należał duch, posypania go solą i spalenie.

- Znowu sól - Manfred pokręcił głową – Dobra, nie ważne, po prostu wypieprzcie to cholerstwo z mojego domu.

- Tym się właśnie zajmujemy. Zobaczymy dzisiaj ducha rozpieprzymy go solą, dowiemy się kim jest i posolimy i spalimy ciało do którego należał. Tyle.

Manfred gapił się na nich przez chwilę.

- Wy to robicie każdego dnia?

Translate_Team

- Nie każdego – powiedział Dean, a Sam dodał:
- Tylko w większość z nich.

Zaczęli iść w stronę ganku. Sam położył rękę na ramieniu Manfreda.

- Może lepiej tu zostań. - Manfred się zawahał, a potem powiedział.
- Ta, macie rację. - Zaśmiał się. - Nie zostałbym w domu z tym sprzętem.

Zostawiając Manfreda opierającego się o Impalę, Dean i Sam powoli podeszli do drzwi frontowych, shotguny trzymając nisko, w gotowości. Kiedy tylko zaczęli się poruszać ciało Sama przełączyło się na autopilota, ruchy, które tata wbił im do głów jako dzieciom, przyszły do niego tak łatwo jak oddychanie. Dean trzymał się z tyłu, podczas gdy Sam wszedł na ganek, Dean obserwował wtedy drzwi, potem sam do nich podszedł.

Oczywiście drzwi frontowe były zamknięte. Stali koło Manfreda, kiedy je zamykał. Dean odwrócił się do Manfreda i powiedział bezgłośnie:

- Klucze!

Manfred zmarszczył brwi i odpowiedział, również bezgłośnie?

- Co?

Sam westchnął.

- Klucze – powiedział Dean niecierpliwie, szeptem.

Nad głową Manfreda praktycznie zapaliła się żarówka.

- Aha! No tak!

Wcisnął rękę do kieszeni jeansów, wyciągnął łańcuszek z kluczami, a potem rzucił je w stronę ganku. Wylądowały jakieś pół metra od ganku, ślizgając się na betonowej ścieżce.

Dean wypuścił oddech przez zaciśnięte zęby i zeskoczył z ganku, żeby je podnieść. Sam zauważył, że wszystkie miały na sobie plakietki: Dom, Samochód, Garaż, Kłódka i tak dalej. Biorąc pod uwagę różne substancję, które Manfred pił, palił i sobie wstrzykiwał w swoim czasie, to nie było niczym dziwnym.

Najpierw Dean spróbował klucza z plakietką Dom, ale nie pasował, za to drugi już tak. Otworzył dolny zamek, ten klucz, którego próbował na początku otwierał zamek u górze, ten zaraz obok okna witrażowego.

Drzwi otwierały się do środka i Dean po prostu je popchnął i pozwolił się otworzyć. Zaskrzypiały, brzmiąc depresyjnie jak z pierwszego lepszego filmu o nawiedzonym domu.

John Winchester był dobrze wyszkolonym Marine i swoich synów też dobrze wyszkolił. Przemieszczali się w odpowiedniej formacji, Dean idąc nisko z Samem jako wsparciem, a potem Sam z przodu, a Dean przejął jego poprzednią rolę i tak szło przez cały frontowy hol.

Dom wyglądał prawie tak samo, jak wtedy, kiedy wyszli.

Wtedy zaczął się grzechot.

Translate_Team

Rozglądając się Sam zauważył, że oprawione plakaty na ścianach wibrowały, a metalowe ramy uderzały o ściany wyłożone sztucznym kamieniem. Kilka rzeczy ze stolika w holu spadło.

Rzucił okiem w lewo i zobaczył, że winyle, które Dean zostawił porozkładane na podłodze tańczyły, a rzeczy z niskiego stolika również spadały na podłogę. Niektóre płyty CD pospadały z półek, niektóre opakowania kolekcjonerskich wydań się zniszczyły.

Powoli Sam poszedł w stronę kuchni, nadal trzymając shotguna w gotowości, Dean pilnował tyłów z uniesioną bronią.

Sam uświadomił sobie, że nie zapytał Manfreda do jakiego pokoju musiał wejść, żeby duch się pokazał. Teraz, jednakże, nie było dobrą porą, żeby o to zapytać.

Kiedy wchodzili do kuchni, Dean jedną ręką złapał mocno shotguna, a drugą wyciągnął miernik EMF. Świecił się jak choinka na święta.

Nie żeby potrzebowali potwierdzenia, skoro dom zachowywał się jakby się obsuwał ze stromego zbocza. Ale to było nie możliwe, ponieważ dom zbudowany był na solidnej skale. Nie było piwnicy, nawet pralnia, z której Manfred pozwolił im skorzystać znajdowała się w niszy w kuchni.

Sprawdzili ją zaraz po kuchni, ale nadal niczego nie znaleźli. Pralka i suszarka zachowywały się jakby były włączone, ale obie maszyny były wyłączone.

Wrócili do holu i weszli do pokoju dziennego, gdzie jeszcze więcej rzeczy leżało na podłodze. Dean skrzywił się, kiedy stanął na rozbitej antyramie, w której był plakat Isle of Wight.

Nadal nie natknęli się na fizyczną manifestację ducha, tylko dom się trząsł i...

- *Ah*-ha-ha-ha-ha-ha-ha-ha-ha-ha-ha-ha-ha-ha-ha-ha-ha-ha-ha-ha-ha-ha-ha-ha-ha-ha-ha-ha-ha-ha-ha-ha-ha!

Nie ważne ile razy w życiu Sam słyszał nagłe dźwięki – i wiedział, że w ciągu miesiąca miał takich doświadczeń więcej niż przeciętny człowiek w ciągu całego życia – jego serce i tak stawało na chwilę, kiedy to się stawało.

Na szczęście tylko na chwilę. Kiedy tylko usłyszał rechot, uklęknął na jedno kolano, z wyciągniętym shotgunem.

Ale nadal nigdzie nie było fizycznej manifestacji.

Rechot powoli opadł i ten sam głos zaczął intonować „Kochaj mnie!” od nowa i od nowa.

Sam spojrzał na Deana. Bez żadnych znaków na twarzy ani bez najmniejszego ruchu wiedział, że następnie powinni sprawdzić piętro.

Dean poszedł pierwszy, a Sam stał u podstawy schodów z uniesioną bronią. Kiedy Dean wszedł na górę Sam podążył. Robiąc użytek ze swoich długich nóg wspinał się po dwa schody naraz.

Translate – Team

Dom nadal się trząsł i rechot teraz mieszał się z nawoływaniem o miłość. Manfred powiesił na ścianach zdjęcia ludzi, o których Sam założył, że są rodziną i niektóre z nich pospadały na podłogę. Inne uderzały o pokrytą tapetą ścianę nadal powieszone na swoich gwoździach.

- *Kochaj mnie!*

Sam odwrócił się szybko i zobaczył twarz kobiety, z farbowanymi blond włosami, które latały wokół jej twarzy – i nie mógł się oprzeć myśli, że było to trochę niedorzeczne, żeby martwa kobieta miała farbowane włosy – zobaczył również jej ciało, ale żadnych rąk czy nóg. Jej ramiona i biodra tak jakby blakły. Popłynęła wzdłuż holu w stronę niego i Deana, jej usta szeroko otwarte, przez jej rechot, a jej oczy wyglądały nieco szalenie. Całe jej ciało było półprzezroczyste – co nie było prawdą o niektórych duchach, ale ten prawie nie miał ciała. Wiele duchów – zwłaszcza wściekłych – mogło się manifestować fizycznie, ale ta kobieta zdawała się skupiać większość jej energii na śmianiu się i błaganiu o miłość.

Zaraz przed tym, jak wystrzelił z shotguna, Sam zauważył, że jej koszulka miała na sobie jakiś funkowy wzór.

Sól zrobiła swoją robotę. Kiedy tylko dotknęła jej formy, zaczęła się rozpadać, jej zarys rozsypywał się po holu, aż nic nie zostało.

Mimo, że echo jej ostatniego „Kochaj mnie!" nadal brzmiało przez pokój, wnętrze przestało się trząść, a kiedy echo już umilkło, nastała cisza.

Dean spojrzał na Sama.

- Co kurwa duch, robi wkładając koszulkę 'rÿche? - Sam zmarszczył brwi.

- Co to jest koszulka rike?

Natychmiast pożałował pytania, ponieważ Dean posłał mu swój najbardziej zniesmaczony wzrok, co oznaczało, że popełnił błąd okazując swoją ignorancję dotyczącą muzyki, którą wielbił Dean.

- Stary! Queensr˙che. Robili *Operation: Mindcrime*, który jest najlepszym albumem konceptowym, jaki kiedykolwiek został stworzony.

Nie mogąc się powstrzymać, Sam powiedział:

- To są ci goście z ummlałutem nad y, tak? Jak to się ogóle wymawia?

- Ugryź mnie, Sam.

- I nie wiedziałem, że w ogóle istnieją dobre albumy koncepcyjne.

- Przepraszam? - Dean przekrzywił głowę, a jego usta były lekko otwarte. - *Tommy*, *Thick as a Brick*, kurde, *Dark Side of The Moon*, na miłość boską, są...

Zdając sobie, że wystarczająco zdenerwował brata, Sam powiedział:

- Nie powinniśmy powiedzieć Manfredowi, że może już wejść do domu? - Dean mrugnął.

- Właśnie. - Bez kolejnego słowa ruszył w stronę schodów.

Sam podążył za nim po chwili śmiania się z tego jak łatwo czasem podenerwować Deana, więc Dean był już za drzwiami, kiedy dotarł do parteru.

Translate_Team

Manfred i Dean weszli razem kilka sekund później.

- Jesteście pewni, że jest bezpiecznie? - zapytał Manfred, nie brzmiąc na zbytnio przekonanego.

Dean rozejrzał się po domu.

- Słyszysz jakiś rechot? Kogokolwiek proszącego, żebyś go pokochał?

Po rozejrzeniu się i tak, przyłożeniu ręki do ucha, Manfred w końcu powiedział:

- Nie.

- Jutrzejszej nocy prawdopodobnie wróci, ale dzisiaj będzie już bezpiecznie. - Manfred spojrzał na Deana.

- Więc ją przemieściliście?

- Powstrzymaliśmy na chwilę.

Kręcąc głową Manfred powiedział:

- Stary, potrzebuje skręta.

Wszedł do pokoju dziennego i podszedł do barku. Butelki z alkoholem stały niebezpiecznie blisko krawędzi na szczycie szafki, a po obu stronach znajdowały się drzwi z dziurami na kluczyk, z jednej z nich wystawał klucz z kości. Manfred go przekręcił, otworzył drzwiczki i wyciągnął paczuszkę z zamknięciem zip pełną zielonych liści i żółte pudełko.

Bracia spojrzeli po sobie, wzruszyli ramionami i ostrożnie oparli shotguny o ścianę w holu, a potem weszli do pokoju.

Manfred siedział na krześle, w którym Dean spędził połowę swojego dnia, pochylając się kiedy przekładał rzeczy ze stolika na podłogę, obok tych, które już zrzucił tam duch, czyszcząc go, żeby mieć miejsce na zrobienie swojego skręta.

Sam i Dean usiedli na kanapie na wprost niego. Delikatnie Sam powiedział:

- Przepraszam Manfred, ale musimy ci zadać kilka pytań.

- Co, teraz? - Manfred nie spojrzał w górę.

- Zobaczyliśmy ducha. - Powiedział Sam. Wtedy Manfred spojrzał w górę.

- Serio? Ło!

- To była dziewczyna. - powiedział Dean. - blond włosy...

- Farbowane. - dodał Sam.

- Właśnie, farbowane, lekko zakrzywiony nos i miała na sobie koszulkę Queensr˙che. Przypomina ci kogoś? - Manfred wzruszył ramionami.

- Wiesz ile kobiet w koszulkach 'r˙che widuję? - Skończył zwijać skręta. Dean zapytał:

- Przywiozłeś kiedyś którąś z nich do domu?

- Może. - Manfred znów wzruszył ramionami, a potem wcisnął rękę do kieszeni swojej skórzanej kurtki, której dotąd z siebie nie ściągnął i wyciągnął zapalniczkę. - Szczerze, wiele kobiet z Park in Rear i innych miejsc przywoziłem

Translate_Team

do domu – Boże, nie pamiętam nawet zeszłego tygodnia, a wy chcecie, żebym pamiętał to? - A potem, żeby zaakcentować o co mu chodzi zaciągnął się skrętem.

Dean spojrzał na Sama.

Sam po prostu wzruszył ramionami.

- Chcecie macha? - Zapytał łagodnym głosem Manfred, wypuszczając przy tym ustami dym.

- Nie dzięki – Sam wstał szybko – Mamy parę spraw do załatwienia. - Manfred uśmiechnął się szeroko.

- Myślałem, że mówiliście tak, żeby pozbyć się Janine. - Dean wyglądał na zawstydzonego.

- Ta, jeżeli o to chodzi...

Wyciągając rękę Manfred powiedział:

- Nie przejmuj się tym, Dean. Ona flirtuje ze wszystkim co chodzi. Jeśli pokażesz się jutrzejszego wieczora, znowu zacznie z tobą flirtować. A jak nie, to całkiem o tobie zapomni.

Sam spojrzał na Deana, który nadal siedział na kanapie.

- Ja, nie znamy nikogo takiego, nie Dean?

Dean spojrzał wilkiem na brata, a potem wstał.

- Tak, naprawdę mamy coś, czym musimy się zająć.

- Bierzecie auto? - zapytał Manfred, po kolejnym zaciągnięciu.

- Um, tak.

- W dechę. Jak wrócicie, zaparkujcie go za terenówką.

Dean się uśmiechnął.

- Dzięki. - Tyłem ręki uderzył lekko Sama w klatę – W drogę Sammy.

Poszli do Impali i wyjęli z tylnego siedzenia płaszcze. Sam nadal miał kluczyki i Dean nie okazywał najmniejszej chęci jeżdżenia po mieście – a Sam nie miał ochoty słuchać Deana, kiedy to robił – więc Sam wcisnął się na siedzenie kierowcy.

Droga na Webb i 195th zajęło mało czasu o tak późnej godzinie. Na drodze były inne auta, zwłaszcza kiedy wyjechali już z Riverdale i jechali przez Broadway do West 225th Street, która skręcała na Kingsbridge Road, kiedy już przejechali przez I-87.

Niestety wiara Sama, że parkowanie będzie łatwiejsze o tej porze nocy była głupotą.

- Nie wierzę – mruknął.

- Rozejrzyj się, Sammy – powiedział Dean – większość to apartamentowce i nie widziałem zbyt wielu parkingów. O tej porze nocy wszyscy śpią w domach, co oznacza, że ich auta są zaparkowane. Pierdol to i parkuj gdzie się zmieścisz.

Sam zmarszczył brwi.

- Czy to nie jest nielegalne?

Translate_Team

- Tak samo jak włamanie i wkroczenie, a jakby po to tu przyjechaliśmy.

- Tak, ale jesteśmy na WiW i prawdopodobnie nikt nas nie złapie. Ale auto jest po prostu na zewnątrz i jest nielegalnie zaparkowane. Tak, widziałem tony aut parkujących nielegalnie za dnia, kiedy jeździłem, ale odkąd wyszliśmy od Manfreda nie widziałem ani jednego. Będziemy się wychylać, o to mi chodzi, a jeśli jakiś znudzony nocną zmianą glina zdecyduje się...

- Masz lepszy pomysł Sam?

Sam przejechał wzdłuż Webb, z powrotem w stronę Kingsbridge.

- Czy nie było parkingu na Kingsbridge?

- To ta duża ulica, z której przyjechaliśmy? - Zapytał Dean.

Kiwając głową Sam powiedział:

- Spróbujemy tam.

Skręcając w prawo na Kingdbridge Sam zobaczył parking – a potem cenę jaką sobie wołali i napis: PRZEPRASZAMY, PEŁNE.

Dean opuścił głowę w ręce i potarł twarz.

- Sam po prostu zaparkuj gdzie się zmieścisz.

Wypuszczając długi oddech Sam powiedział:

- Dobra, okay.

Przejechał następną przecznicę, skręcił w prawo, zrobił krzywy nawrót na czyimś podjeździe, z powrotem skręcił na Kingsbridge, a potem znów przejechał kilka ulic, żeby wjechać na jednokierunkową od dobrej strony, żeby dotrzeć do domu pierwszej ofiary inspirowanych przez Poe'a morderstw.

- Mam pomysł. - powiedział Sam.

Dom miał podjazd, który był zamknięty na kłódkę. Podjazd był ledwie wystarczająco szeroki, żeby zmieścić Impalę. Sam podjechał, jakby chciał zaparkować poprzecznie.

Za pierwszym razem źle wycelował i musiał podjeżdżać jeszcze raz. Za drugim razem, podszedł pod zbyt dużym kątem, więc znów musiał zacząć od początku. Kiedy w końcu udało mu się zaparkować mniej więcej równo Dean wyglądał jakby był gotów odgryźć sobie rękę.

Patrząc morderczym wzrokiem na Sama, kiedy wyłączał silnik, Dean sięgnął i wyrwał mu kluczyki.

- Ja prowadzą z powrotem.

Sam pokręcił głową i się zaśmiał – nie żeby Dean był lepszy w parkowaniu poprzecznym – i podążył za bratem do kutej bramy, która blokowała podjazd, przed którym zaparkowali. Dean spojrzał na dom.

- Niezłe miejsce. Dziwię się, że go nie sprzedali.

- Ta, cóż, morderstwo może utrudniać sprzedaż, wiesz?

Sięgając do kieszeni kurtki po narzędzia do otwierania drzwi Dean powiedział:

- Ta.

Translate_Team

Uklęknął i zaczął pracować nad kłódką. Po około trzydziestu sekundach – co dla Sama zdawało się być wiecznością, ponieważ czuł się bardzo widoczny na miejskiej ulicy, nawet tak późno w nocy – otworzył ją. Sam rozejrzał się nerwowo dookoła, nie mogąc nie zauważyć, że kilkoro ludzi w okolicznych budynkach miało włączone światła. *Mam nadzieję, że nikt z nich nie patrzy na ulicę.*

Dean szybko popchnął bramę, żeby ją otworzyć – coś, czego nauczył ich ojciec, metalowe bramy robiły więcej hałasu jeśli otwierało się je powoli. Sam skoczył do przodu i złapał bramę zanim uderzyła o dom.

Oboje weszli na podjazd, a Dean przymknął za nimi bramę, żeby wyglądała normalne. Ale nie zamknął bramy, wiedząc, że mogą być zmuszeni do szybkiej ucieczki.

Dean uklęknął przy bocznych drzwiach i zaczął otwierać zamek.

Minęło kilka minut i Dean nie zrobił żadnych postępów.

Szepcząc ponaglająco Sam powiedział:

- Stary, pośpieszysz się?

- To trudny zamek, Sammy – wyszeptał Dean. - I jest ciemno. Poza tym sztuki się nie pogania.

- Tak samo jak niekompetencji. Weź Dean, widziałem jak otwierasz drzwi dużo szybciej.

- Tamte drzwi miały pieprzone światło na ganku, okay? Daj mi sekundę, myślę, że...

Nagle światło padło wprost na twarz Sama. Patrząc w dół podjazdu na źródło, zobaczył figurę, która zdawała się oprócz latarki trzymać broń.

- Stać, policja!

Translate_Team

Rozdział 10

Dzielnica Piętnasta
Bronx, Nowy York
Sobota, 18 listopada 2006

Minęło kilka lat odkąd ostatnim razem detektyw Marina McBain była na piętnastce w Bronxie.

Jak większość oddziałów Nowojorskiej policji, Dzielnica Piętnasta w Bronxie była kwadratowym białym gmachem z małą ilością okien i flagą Ameryki latającą na wietrze, przytwierdzoną do szczytu długiego kija. McBain jechała swoim Saturnem – swoim, a nie wypożyczonym z departamentu, bo technicznie rzecz biorąc była już po pracy – wzdłuż Broadway'u po tym, jak zjechała z Major Deegan na wyjazd w West 230th. Skręciła w lewo na West 236th, która została nazwana po Oficerze Vincencie Guidice, policjancie, który zginął na służbie dekadę temu. Tak naprawdę, jej ostatnia podróż wzdłuż tej ulicy była w 1999 roku na ceremonię zmienienia nazwy.

McBain desperacko szukała miejsca, żeby zaparkować. Ogólnie przed komendą zwykle były parkingi, ale policjanci nigdy nie parkowali ładnie. Samochody, zarówno oznakowane jak i nie, były zaparkowane po okolicy pod każdym możliwym kątem, niektóre nawet na chodniku.

W końcu McBain znalazła miejsce, żeby zmieścić swojego Saturna. Kiedy go zamknęła weszła przez brudne, szklane drzwi frontowe, idąc w kierunku czterech schodków i skrzypiących drewnianych drzwi do recepcji. Biurko informacji publicznej było puste o tej porze nocy, więc McBain przeszła koło niego i poszła na lewo, przechodząc koło co najmniej pół tuzina zdjęć oficerów, którzy zmarli na służbie (a najbardziej widoczne było to Guidice'a). Tam, przodem do znaku Piętnastki stało główne biurko, za którym siedział wyglądający na znudzonego nocną zmianą oficer. Włosy miał ścięte po wojskowemu, a jego paciorkowate oczy były ledwo widoczne spod krzaczastych brwi, dostęp do broni utrudniał mu potężny mięsień piwny, a plakietka, widoczna znad Daily News mówiła: O'SHAUGHNESSY. McBain słyszała jakiś cichy głos dochodzący z głośnika pod biurkiem. Założyła, że to dyspozytor, a kiedy się zbliżyła usłyszała znajome kody, potwierdzające jej podejrzenia…

McBain również zauważyła również kiwającą głową figurkę Dereka Jetera na szczycie monitora. Figurka była lekko przekrzywiona i nie przyklejona do monitora, co sugerowało, że należała tylko do tego oficera i, że wyjmował ją tylko podczas swojej zmiany. Jako dodatek do plakietki z nazwiskiem, przypinek z gwiazdkami miał również przypięte logo drużyny New York Yankees. Jeśli doszło do najgorszego i nie uda jej się zmusić O'Shaughnessy'ego do pomocy grzecznymi

Translate_Team

sposobami, mogła zawsze zagrozić, że złoży na niego raport, że nie nosi munduru. Bez patrzenia znad gazety O'Shaughnessy zapytał:

- Jak mogę pomóc.

- Jak myślisz, Yankesi zamienią Johnsona? - To sprawiło, że podniósł głowę.

- Mam kurwa taką nadzieję.

Spojrzał na McBain. Obserwowała zmiany jakie zachodziły na jego twarzy, kiedy ją obserwował. Najpierw zauważył ciemną skórę jej twarzy i krótkie kręcone włosy i jego niezainteresowana mina mówiła *czarna kobieta*. Potem przeszedł do jej ciemnego garnituru, co zmieniło wyraz jego twarzy na lekkie zainteresowanie, ponieważ teraz była czarną kobietą, która nie wyglądała jak wyrzutek społeczny. A potem zobaczył złotą odznakę na jej pasku. Dopiero wtedy odłożył gazetę, a jego mina zmieniła się na mocno zainteresowaną, ponieważ teraz nie była czarną samicą, a członkiem.

- W ogóle nie powinni go przyjąć. Żaden z niego Yankees. Tak samo jak A-Rod.

McBain się uśmiechnęła, wytężając swoją pamięć, żeby przypomnieć sobie wszystko na temat footballu, co zaabsorbowała od swoich znajomych z Jednostki od Zaginięć. Nie obchodziły jej sporty, ale nie dało się przetrwać w przepełnionym testosteronem NYPD jeśli nie umiało się rozmawiać na temat zespołów jak: Yankeesi, Mets, Knicks, Nets, Giants, albo Jets. Rangersi, Diabły i Islanders były opcjonalne, co było dobre ponieważ McBain nienawidziła hokeju.

- Ta, ale A-Rod nadal jest dobrym graczem. A RJ już chyba całkiem się wypalił.

- Tu się muszę z tobą zgodzić. Poza tym, po 2001 nie powinni wpuścić takiego gościa do teamu.

- No nie wiem, Johnny'ego Damona wpuścili po 2004 i jest całkiem niezły. - O'Shaughnessy pokręcił głową.

- To co innego, podpisanie kontraktu z Damonem wkurwiło fanów Red Sox. A wkurwianie fanów Red Soxów zawsze jest dobre.

Skoro tak mówisz, pomyślała McBain. Już i tak prawie zużyła całą wiedz, jaką potrafiła wprowadzić do konwersacji odnośnie Yankeesów. Jeśli będzie zmuszona nadal rozmawiać o nienawiści między Yankeesami, a Red Soxami to coś sknoci, a to nie było jej celem.

Na szczęście O'Shaughnessy jej odpuścił. Prostując się zapytał:

- Co mogę dla ciebie zrobić, pani detektyw?

- Nazywam się McBain, jestem z Zaginionych. Dostaliście jakieś 10-31 na 2739 West 195th Street w ciągu ostatnich kilku dni? - zapytała, używając kodu do włamania w trakcie?

Na grubej twarzy O'Shaugnessy'ego pojawiły się ślady, kiedy zmarszczył czoło.

Translate_Team

- Nie wydaje mi się. Co to ma wspólnego z zaginięciami?

Robiąc rozdrażnioną minę powiedziała:

- Nie pytaj. W skrócie mój sierżant wlazł mi w dupę, że mam się tym zająć.

- Słyszałem – O'Shaughnessy, wydał z siebie dźwięk, który jak przypuszczała McBain, miał być śmiechem. Grubą łapą złapał klawiaturę i przyciągnął ją do siebie. - Daj mi sprawdzić.

Kilka uderzeń w klawiaturę i kliknięć myszką później O'Shaughnessy, pokręcił głową, sprawiając, że jego podbródki się poruszyły.

- Nie, nic takiego od czasu morderstwa na siódmej.

- Okay, - powiedziała McBain. To i tak był strzał na ślepo, ale była pewna, że...

Dobiegł ją głos dyspozytora

- Wezwanie 911, 10-31 - tu powiedział każdy numer osobno – dwa-siedem-trzy-dziewięć West jeden-dziewięć-pięć.

McBain musiała ze sobą walczyć, żeby się nie uśmiechnąć. *Wiedziałam, że mogą na nich liczyć.*

O'Shaughnessy gapił się na McBain z wyrazem twarzy, który jak przypuszczała był podziwem.

- Skąd do diabła o tym wiedziałaś?

- Zgadłam – było wszystkim co powiedziała – Słuchaj daj mi się tym zająć.

- To nic wielkiego – powiedział O'Shaughnessy – Mogę tam wysłać jednego z moich chłopców. - krzywiąc się McBain powiedziała:

- Sierżancie, proszę... naprawdę muszę się tym sama zająć. To jedyny sposób, żeby szef mnie nie zabił, wiesz?

Sierżant gapił się na nią przez chwilę swoimi paciorkowatymi oczkami.

- To ma coś wspólnego z tym morderstwem?

- Tak jakby. - To przynajmniej nie do końca było kłamstwem. - Jak powiedziałam, to długa historia. Jeśli chcesz całość to dobra, ale tam *jest* 10-31 i...

Machając na nią obiema rękami O'Shaughnessy powiedział:

- Dobra, dobra do diabła z tym. Proszę bardzo. Przynajmniej moi chłopcy będą mogli zgarnąć więcej dzieciaków z college'u.

McBain się zaśmiała. I Manhattan College i Mount Saint Vincent były w jurysdykcji Piętnastki, a piątkowe noce zwykle oznaczały wiele GPW – Głupot Pod Wpływem.

Potem na twarzy O'Shaughnessy'ego pojawiła się dziwna mina.

- Moment, jesteś pewna, że nie potrzebujesz wsparcia?

Próbując nie zacisnąć zębów McBain powiedział:

- Jeśli to jest ten, kto myślę, że to jest, to uwierz mi poradzę sobie.

- Dobra, a co jeśli nie? Mój porucznik się dowie, że pozwoliłem ci iść bez wsparcia i mnie zje.

Translate_Team

- Rozumiem – powiedziała McBain. Miała nadzieję, że O'Shaughnessy będzie zbyt znudzony, żeby myśleć o implikacjach. Oczy O'Shaughnessy'ego poruszały się, kiedy o tym myślał

- Zróbmy tak, jeśli w ciągu dwudziestu minut się nie odezwiesz, to wyślę moich ludzi.

Z tym kompromisem McBain mogła się zgodzić. Teraz była wdzięczna, że zapisała sobie w telefonie numer do Piętnastki.

- Okay. Dzięki sierżancie, naprawdę to doceniam.

- Nie ma problemu, pani detektyw. - powiedział O'Shaughnessy podnosząc swoja gazetę. - I słuchaj, mam sezonowe bilety na Stadion. Jak będę miał wolne miejsce to chcesz iść?

- Jasne. - powiedziała McBain pewna, że zawsze będzie wtedy zajęta, ale na wszelki wypadek wolała zachować dobrą wolę sierżanta.

Z tą pustą obietnicą wyszła i z powrotem wsiadła do Saturna.

Dojechanie do rogu Webb i 195th Street nie było problemem, tak samo jak znalezienie nielegalnie zaparkowanej Chevy Impali z 1967 roku. Przysięgam, że ich zabiję.

Parkując swojego Saturna wzdłuż Impali sprawdziła, czy jej dokumenty detektywa były widoczne na desce rozdzielczej, na wypadek gdyby chłopcy O'Shaughnessy'a byli nadgorliwi z mandatami.

Dom, o którym była mowa łatwo było znaleźć, ponieważ była to jedyna konstrukcja na rogu, nie zbudowana z czerwonej cegły. Żółta taśma była niedbale narzucona na ogrodzenie, które prowadziło do frontowych drzwi, prawdopodobnie stała się ofiarą listopadowych wiatrów. McBain była zdziwiona, że nie zdjeli taśmy, ale przypomniała sobie, że nikt nie mieszkał w domu więc nie było komu się tym zająć. Prawdopodobnie firma, która zajmowała się sprzedażą – której nazwa, numer telefonu i strona internetowa były widoczne na znaku Do Sprzedania – odmówiła pokazywania domu po tym, jak stał się miejscem zbrodni.

Z powrotem podchodząc do miejsca, gdzie była zaparkowana Impala zobaczyła podjazd z bramą. Normalnie zamknięta, kłódka wisiała otwarta, mimo że brama nadal była zamknięta. Patrząc przez bramę w stronę bocznych drzwi zobaczyła dwie, klęczące przed nimi figury. Jedna była wyższa i patrzyła uważnie na drugą. Ten wyższy zdawał się mówić coś ostro do drugiego, ale nie wystarczająco głośno, żeby dało się to słyszeć z ulicy.

McBain wyjęła swoją 9mm broń z kabury i wyłączyła blokadę. Wyjęła również swoją latarkę i ją włączyła. Trzymała ją w górze razem z pistoletem, kiedy kopnęła bramę, żeby ją otworzyć.

- Stać, policja!

Oboje na nią spojrzeli, jak sarenki tuż przed tym jak wjedzie w nie samochód, kiedy skierowała na nich światło latarki.

Translate_Team

Powoli podeszła wzdłuż podjazdu. Ten niższy – to musiał być Dean – zaczął wstawać więc powiedziała:

- Której części „stać” nie rozumiesz?

Dean przestał się poruszać.

W końcu podeszła dość blisko do pary, ale nie dość blisko, żeby któryś z nich mógł złapać jej broń.

Kiedy już była pewna, że zrobiła wystarczające show dla tego, kto zadzwonił na policję, obniżyła broń.

- Wiecie, że jesteście kompletnymi idiotami, prawda?

Sam zaczął mówić

- Pani oficer, ja to wyjaśnię...

- Jestem detektywem i nawet nie próbuj wyjaśniać Sam, bo nie toleruje gówna Winchesterów.

Oboje gapili się otwierając i zamykając usra, jakby nie byli pewni co powiedzieć, kiedy użyła ich nazwiska.

Decydując się im pomóc, uśmiechnęła się i powiedziała:

- Tak, wiem kim jesteście. Sam i Dean Winchester, jedyni synowie Johna Winchestera, mężczyzny, który w przeciwieństwie do swoich synów idiotów wie, że należy zadzwonić, jak jest się w mieście.

- Znałaś naszego ojca? - Zapytał Dean, brzmiąc na oszołomionego.

- Ta – Zmarszczyła brwi nie lubiąc tego, że Dean użył czasu przeszłego – Ale pogłoski które słyszałam nie są prawdziwe, nie? Że nie żyje?

Obaj bracia spojrzeli po sobie i wyraz ich twarzy powiedział jej wszystko, co musiała wiedzieć. Zbyt wiele zaginięć kończyło się śmiercią i wiedziała, jak wygląda człowiek w żałobie.

- Kurwa. Przykro mi, nie wiedziałam. Słuchajcie, nazywam się Marina McBain i macie kurwa szczęście, że znalazłam was przed mundurowymi z Piętnastki. Wiecie, że ktoś zadzwonił na policję, przez waszą żałosną próbę WiW?

- Skąd... - Zaczął Sam.

- Później. Chcecie się tu rozejrzeć?

Znów wymienili spojrzenia i tym razem wyglądali na zdezorientowanych.

- Ja... um, tak. - powiedział powoli Dean.

- Dobra, więc rusz dupę z powrotem do tego zamka, a ja muszę wykonać telefon. To wam może pomóc. - podała Samowi latarkę, którą podniósł i zaświecił na zamek.

- Dzięki – powiedział.

- Nie ma problemu.

- Naprawdę jesteś gliną? - Zapytał Dean,

- Nie, tylko noszę odznakę, bo mnie to bawi. Ta, jestem gliną, a teraz się zamknij i zabierz się za ten pieprzony wytrych. - zaczęła wracać na ulicę.

Translate_Team

- Albo co – powiedział Dean z zaczepnym uśmiechem – pokażesz mi, że NYPD to skrót od „rozwalę twój śmieciowy tyłek”?

Znowu się do nich odwróciła

- Okay, po pierwsze, biali nie powinni cytować Willa Smitha. Po drugie, jeśli chcesz, żebym rozwaliła twój tyłek po prostu powiedz, odstający końcu.

Zostawiając Deana, przygładzającego włosy na czubku głowy McBain wyciągnęła telefon ze swojej kurtki i go rozsunęła, schodząc wzdłuż podjazdu i wybierając numer telefonu Piętnastki.

- Dystrykt Piętnasty, O'Shaughnessy.

- Sierżancie, tu detektyw McBain.

- Wszystko w porządku, pani detektyw? - brzmiał na szczerze zaniepokojonego, co sprawiło, że się uśmiechnęła.

- To byli ci goście, o których myślałam. Zajęłam się tym, więc nie musisz przysyłać swoich ludzi. Dzięki.

- Nie ma problemu, pani detektyw. Mam nadzieję, że to ci pomoże wrócić z szefem na dobrą stopę.

- Ja też – powiedziała najszerzej jak mogła. Oczywiście dla swojego szefa Sierżanta Glovera była całkowicie kompetentnym detektywem do spraw zaginionych osób, która w tej chwili była w domu, śpiąc jak każdy normalny detektyw o tej porze. - Jeszcze raz dzięki.

Odwróciła się, żeby wrócić.

- Okay, Piętnastkę mamy z głowy. Jeśli ten, kto zadzwonił na policję spróbuje jeszcze raz dowie się, że się tym zajęła, ale wątpię, czy to zrobią. Głupi członkowie społeczności w tej chwili śpią już spokojnie.

Kiedy podeszła do drzwi Dean wstał i je otworzył.

- Jest!

Oddając McBain latarkę Sam powiedział:

- Dzięki.

- Nie ma problemu. Mam zamiar zgadnąć i założę, że chcecie sprawdzić piwnicę.

- Masz rację – Dean spojrzał na nią zirytowany – Zakładam, że chcesz z nami iść?

- Jak chcesz to możesz spróbować mnie powstrzymać.

- Paniusiu, nie mam pojęcia kim jesteś. - McBain uśmiechnęła się słodko.

- Dam ci wskazówkę, jestem jedyną osobą stojącą między wami i kilkoma mundurami z Piętnastki, którzy bardzo chętnie was wsadzą, sprawdzą wasze odciski i twarze w systemie i znajdą federalny nakaz aresztowania, a potem was zamkną na resztę waszych marnych żywotów. Czaisz Dean, czy wolisz, żebym zadzwoniła do O'Shaughnessy'a i powiedziała mu, że jednak potrzebuje wsparcia.

Translate_Team

Bracia znów po sobie spojrzeli i zdawali się o czymś decydować. McBain mogłaby przysiąc, że porozumieli się telepatycznie.

Dean ukłonił się lekko i wskazał na drzwi:

- Panie przodem.

- Nagle zrobił się z ciebie gentleman? - zapytała McBain z wątpliwością w głosie.

- Nie, tylko... ty masz latarkę.

To sprawiło, że prychnęła. McBain weszła przez drzwi.

Wejście prowadziło prosto do klatki schodowej. Po lewej był otwarty pokój. McBain skierowała latarkę na pusty pokój – czego można było się spodziewać po domu wystawionym na sprzedaż. W powietrzu dało się wyczuć przyprawy. Ostatni właściciel był kucharzem w drogiej restauracji w Midtown i najwidoczniej swoje umiejętności wykorzystywał też w domu.

Schody po prawej prowadziły do piwnicy, która była miejscem zbrodni.

Szybko zeszła po schodach, które tak bardzo skrzypiały przy każdym kroku, że cieszyła się, że między tym domem, a następnym była ściana i podjazd. Latarka podświetlała fragmenty pokoju: pralkę i suszarkę, drewniane podpory, drewnianą podłogę, która została położona gdzieś w ciągu ostatnich dziesięciu lat i niemożliwie brzydką tapetę na trzech ścianach.

McBain znalazła kontakt i włączyła światło. Czterdziesto-watowa żarówka wisząca na sznurku ze środka sufitu się zapaliła, co sprawiło, że pomyślała, że latarka była lepsza.

Ściana, która nie była pokryta tapetą była zrobiona z cegły, która była nawet nowsza niż podłoga – miała mniej niż miesiąc. Na podstawie raportów, które czytała, wiedziała, że ścianę łatwo było rozwalić po tym, jak sąsiedzi i agencja nieruchomości zaczęli narzekać na dochodzący z piwnicy zapach. W ścianie była duża dziura, a przed nią znajdowało się więcej taśmy.

Sam stanął za McBain i spojrzał do dziury nad jej głową.

- Nawet nie widać, że tam było ciało.

- Reyes, ofiara, umarł z braku tlenu. I jedynym dowodem na to, że tam było ciało, było to, że na cegłach od wewnątrz były ślady paznokci. Ale wszystkie są w laboratorium.

- Sammy spójrz na to.

McBain odwróciła się i zobaczyła Deana, klęczącego na podłodze. Sam klęknął obok niego. Decydując, że pozwoli im na zaspokojenie potrzeby robienia swojej roboty, McBain została. Sam spojrzał na nią.

- Czy raport mówił coś o ziołach leżących na podłodze?

- Nic, co bym pamiętała – ale kobieta, która tu mieszkała była kucharką. - Dean trzymał w palcach kawałek czegoś zielonego.

- Mam nadzieję, że tego nie gotowała. To piołun.

Translate_Team

McBain wzruszyła ramionami.

- Cóż, można gotować piołun – i robić z niego herbatę – więc nie widzę...

- Jest również używany w rytuałach wskrzeszenia. - Sam powiedział – również w tym, o którym mowa.

- To jest rytuał wskrzeszenia? - McBain zadrżała – Kurwa. O tych wiem niewiele. - Dean wstał.

- O czym pani wie wiele, pani detektyw? Jesteś łowczynią, gliną, wrzodem na dupie czy czym?

Uśmiechając się szeroko McBain powiedziała:

- Co? Nie mogę być wszystkimi trzema? Nie ścigam wielu potworów. Dla zabawy zabiłam parę lat temu wampira, który wysuszał bezdomnych – i muszę ci powiedzieć, że odcięcie głowy nożem kuchennym zajmuje całą wieczność – ale głównie trzymam oko na różne rzeczy, pomagam łowcom, którzy przejeżdżają przez miasto i upewniam się, że zwykli ludzie się o niczym nie dowiedzą. Jestem częścią sieci glin.

- Jaja sobie robisz? - Dean nie brzmiał na przekonanego – Sieć?

- Ta, cóż niech ci to nie imponuje odstający końcu. W tej chwili jest nas czworo – ja, kobieta w Chicago imieniem Murphy, i gościu w Eugene, Oregon imieniem Lao.

- To są trzy osoby – powiedział Sam. McBain się uśmiechnęła.

- Ta, cóż, znacie czwartą. Jest z Baltimore. Trochę nowa i już może nie być gliną.

Oczy Sama się rozszerzyły.

- Masz na myśli detektyw Ballard?

Kiwając głową McBain powiedziała:

- Jest teraz zawieszona, ma wewnętrznych na dupie i nawet jeśli niczego na nią nie znajdą to pewnie i tak nie będzie mogła zostać w morderstwach. Skontaktowaliśmy się z nią zaraz po tym, jak się z wami spotkała i do nas dołączyła. Mieliśmy jeszcze jedną w Mississippi, ale umarła podczas Katriny.

- Masz rację – powiedział Dean – Nie jestem pod zbyt wielkim wrażeniem.

- Cóż, na razie wystarczy nam czwórka. - powiedziała McBain. - Gdzieś tak do półtora roku temu wszystko było spokojne, ale... - zadrżała – Ostatnio dzieję się coraz więcej dziwnych rzeczy. Coraz trudniej to ukrywać.

Sam i Dean wymienili kolejne ze swoich telepatycznych spojrzeń, a potem Sam powiedział:

- Czemu większość z was to kobiety?

- Możemy zagrać w dwadzieścia pytań później? - Zapytał Dean. Zaczął sprawdzać resztę piwnicy.

Sam posłał McBain przepraszający uśmiech i zajął się dziurą w ścianie.

Translate_Team

McBain sprawdziła sufit. Nie spodziewała się niczego, ale nie szkodziło sprawdzić.

- Żeby odpowiedzieć na twoje pytanie – powiedziała, kiedy przyjrzała się kolejnej pajęczej sieci – to nie jest normalna policyjna praca. Regularny policjant nie kupiłby tego nawet za dolara. Tymi, którzy są otwarci na straszne rzeczy są ludzie, którzy już są na skraju. Zwykle, to my kobiety.

- A facet, o którym wspomniałaś jest Azjatą. - powiedział Sam. McBain kiwnęła głową.

- Mój trener mawiał, że policjant Azjata jest jak Żydowski papież. I mimo że nie są tacy znowu rzadcy, to zbyt wielu też ich nie ma. - Wypuściła długi oddech. - Więc co to w ogóle jest za rytuał wskrzeszenia? Jak powiedziałam, to nie moja działka.

- Żaden – powiedział Dean – To sztuczny rytuał, wymyślony przez idiotę w XIX w., żeby skroić ludzi na ciężko zarobioną kasę.

- Najwidoczniej – dodał Sam – ktoś uważa, że jest prawdziwy.

Nie znajdując niczego na suficie McBain spojrzała na braci.

- Więc to nie jest żaden fetysz – ktoś próbuje, co? Wskrzesić Edgara Allana Poe?

Dean powiedział:

- Na to wygląda. - odwrócił się do Sama – Wisisz mi dychę.

Sam wyglądał na zdenerwowanego.

- Co?

Podnosząc piołun Dean się uśmiechnął.

- Gliny ominęły ogródek z Ziołami Wskrzeszenia. Wisisz mi dychę.

- Zadzwoń do mojego prawnika. - Mruknął Sam, a potem odwrócił się do McBain i zaczął mówić szybko, prawdopodobnie po to, żeby powstrzymać brata od gadania. - Pani detektyw McBain, jeśli nie przeszkadza pani, że zapytam... skąd pani wiedziała, że tu będziemy.

- Nie miałam pewności, dopóki nie sprawdziłam Piętnastki... chodzi o Dystrykt Piętnaście. - dodała, kiedy uświadomiła sobie, że mogą nie być biegli w slangu NYPD. - Ten dom jest na ich terenie. W każdym razie, ktoś na was nadał akurat, kiedy tam byłam.

- Ta, ale skąd wiedziałaś, że powinnaś to sprawdzić?

Dean, który patrzył na jakiś kawałek czegoś, co wyglądało jak ze śmietnika, ale tak naprawdę było – jak sobie uświadomiła – miernikiem EMF, powiedział:

- Sam się nad tym zastanawiałem.

- Cóż, trzymałam oko na tą całą sprawę z Poe'm od początku –no bo, to całe zamurowanie gościa w ścianie krzyczało i „Beczką Amontillado" i jakimś rytuałem, więc byłam pewna, że łowca albo trzech w końcu się tu pojawi, a do końca przekonałam się o tym po sprawie z orangutanem. Nikt tutaj jeszcze tego nie

Translate_Team

poskładał do kupy, ale te dwa morderstwa są w innych dystryktach, a nie każdy jest taki oczytany. Jasne, wszyscy znają „Amontillado", ale „Zabójstwo przy Rue Morgue" nie jest obowiązkową lekturą w większości szkół, a większość glin i tak nie pamięta zajęć z Angielskiego. - Uśmiechnęła się – A potem Pięć-dwa dostał dostał telefon z Zoo w Bronxie o dwóch gościach, wysokim i niskim, twierdzących, że są z National Geographic, ale nie są zbyt przekonujący.

Chłopcy znów wymienili spojrzenia, ale to, jak zauważyła, było trochę bardziej winne.

- Nie ma zbyt wielu łowców, podróżujących parami i żadni z tych, których znam nie pasują waszemu opisowi, więc domyśliłam się, że ta para to wy. Ale nie byłam pewna, aż tu nie dojechałam.

- Co byś zrobiła, gdybyśmy byli zwykłymi włamywaczami? - zapytał Sam. Wzruszając ramionami McBain powiedziała:

- Wsadziła was. I Piętnastka miała wysłać wsparcie, gdyby nie usłyszeli ode mnie w ciągu dwudziestu minut. Uwierz mi po dziesięciu latach robienia tego, stałam się bardzo dobra w zakrywaniu swoich śladów. Bo widzicie, wy możecie po prostu wyjechać. Ja muszę tu zostać i posprzątać.

Dean schował czytnik EMF.

- Nic. W porządku, słuchaj, musimy spadać. Chyba nic więcej tu nie znajdziemy.

McBain powiedziała:

- Myślisz, że to część tego całego rytuału? Zakładam, że jest tego więcej i że następny kawałek dostaniemy w poniedziałek.

Bracia znów po sobie spojrzeli:

- Um, tak – powiedział Sam.

- Śledzę fazy księżyca – to jakby związane z robotą.

Sam szybko wyjaśnił rytuał wymyślony przez jakiegoś matoła Percivala Samuelsa.

- Kolejne morderstwo będzie albo na Webster Avenue koło Beford Park Boulevard, albo na skrzyżowaniu Fordham Road i Martin Luther King Jr. Boulevard.

Drapiąc się po nosie McBain powiedziała:

- Ta, dobra. Słuchajcie, pomogę wam – pojadę tam, gdzie was nie będzie. - Dean się skrzywił, kiedy to usłyszał. - Masz problem odstający końcu?

- Tak w ogóle to kilka. Po pierwsze, przestań nazywać mnie odstającym końcem.

Sam się wtedy szeroko uśmiechnął.

- Po drugie, nie bardzo kupuje to całe to gówno z „grzecznym gliną, który w wolnym czasie rozwala demony" - albo, że znałaś tatę.

McBain się tego spodziewała – i tego, że Deanowi nie spodoba się przezwisko, i tego, że bracia będą uważali, że nie znała ich ojca. Spotkała Johna Winchestera więcej niż raz, więc nie zdziwiło jej, że zapomniał wspomnieć o niej synom. John nie bardzo lubił dzielić się sekretami. Poza tym słyszała o niektórych sprawach Deana i Sama i podczas gdy nie robili wielu błędów, to te, które jednak się pojawiały nie były czymś, czego spodziewałaby się po synach Johna – chyba, że nie mówił im o niektórych rzeczach.

- John Winchester – powiedziała – biały mężczyzna, około pięćdziesięciu trzech lat, około 180 cm wzrostu, około 90 kilo, ciemne włosy, brązowe oczy, okazjonalnie broda, zależało od nastroju, były Marine. Żona Mary, zmarła, dwóch synów, Sam i Dean. Przyjechał do Nowego Yorku trzy razy, raz, żeby ścigać golema w Brighton Beach, raz, żeby zająć się nawiedzonym metrem...

Samowi opadły usta:

- Duch konduktora z metra? - McBain uśmiechnęła się.

- Jakby. Ten duch prawdopodobnie był podstawą tej głupiej legendy.

- Jaka była trzecia? - Zapytał Dean.

- Przysięgam na Boga, że zabił smoka. Był w Chinatown – to była szalona sprawa, jeśli mnie pytacie.

Usta Sama otwarły się jeszcze bardziej.

- Tata zabił smoka?

Wzruszając ramionami McBain powiedziała:

- Cóż... był mały.

Stosunek Dean do świata nadal był widoczny, kiedy zapytał:

- I ty mu pomagałaś?

- Próbowałam. W większości na mnie warczał i pluł – trochę jak ty teraz, odstający końcu – i mówił, że mam się kurwa trzymać z daleka.

- Zrobiłaś to? - zapytał Dean.

- Nie za pierwszym razem. Po tym, jak prawie się zastrzeliliśmy doszliśmy do porozumienia. Informował mnie o tym, co robi, kiedy przyjeżdżał do miasta, a ja mówiłam mu co wiedziałam i trzymałam na niego oko z bezpiecznej odległości.

W końcu Dean się ugiął.

- Ta, to brzmi jak tata.

- Pani detektyw, lepiej, żebyśmy się zbierali. - powiedział Sam delikatnie.

McBain sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła dwie wizytówki.

- Macie – powiedziała, dając po jednej każdemu bratu – mój numer na nich jest. Jeśli będziecie mnie potrzebować, dzwońcie na niego. Jeśli którykolwiek z was zadzwoni do Zaginionych rozmowa będzie nagrana. Komórka jest moim prywatnym telefonem, więc prawdopodobnie jest bezpieczniejsza.

- Dzięki – powiedział Sam wkładając wizytówkę do kieszeni.

Cała trójka wróciła na górę, McBain zgasiła za nimi światło, a Dean zamknął drzwi, kiedy już wyszli z domu.

Kiedy Dean zamknął też kłódkę i stali przy swoich autach, McBain powiedziała:

- Słuchajcie, bądźcie ostrożni. Tym razem was uratowałam, ale to nie będzie takie proste drugim razem, zwłaszcza, jeżeli cały czas będziecie popełniać wykroczenia.

- Poradzimy sobie z policją. - powiedział Dean obronnie

- To nie jest biuro szeryfa z małego miasteczka, odstający końcu, mówimy o NYPD i mówimy o federalnym nakazie aresztowania za wielokrotne morderstwa. Wiem, że typy jak wy lubią żyć na krawędzi, ale w tej chwili ta krawędź jest skierowana prosto na twoje jaja, czujesz? Nie znacie mnie, nie ufacie mi, nie lubicie mnie, ale w tej chwili mnie potrzebujecie. Więc nie róbcie nic głupiego, to wyjdziemy stąd żywi.

Nie czekając, aż którykolwiek z braci odpowie, McBain wsiadła do Saturna, włączyła silnik i odjechała w kierunku Kingsbridge Road, która zaprowadzi ją z powrotem na Major Deegan. Stamtąd dojedzie do Triboro i swojego mieszkania w Queens, gdzie złapie dwie godzinki snu przed podróżą do One Police Plaza, żeby rozpocząć swoją jutrzejszą zmianę. Teraz była na zmianie od Środy do Niedzieli, ale przynajmniej to oznaczało, że w poniedziałek będzie wolna, żeby pomóc Winchesterom. *Jeśli będziemy mieli szczęście uratujemy życie jakiemuś biednemu idiocie.*

Translate_Team

SUPERNATURAL

Rozdział 11

Dom Afiriego
Bronx, Nowy York
Sobota,10 listopada 2006

Dean nie był przyzwyczajony do tego, że wstaje jako pierwszy – nawet mniej, jeśli wstawał w południe. Ale drzwi Manfreda były zamknięte, a jego chrapanie było słychać wyraźnie nawet przez zamknięte drzwi, a kiedy zajrzał do drugiego pokoju gościnnego zobaczył, że Sam nie tylko spał, ale ślinił się na poduszkę. Zatrzymał się, żeby zrobić mu zdjęcie telefonem, a potem – oraz wrzuceniu ich brudnych ciuchów do prania – rozwalił się na kanapie, otworzył laptopa Sama i znalazł stronę o Poe'm tego wariata.

„Arthur Gordon Pym" między innymi zarchiwizował dużo historii Poe'go na swojej stronie, więc Dean zaczął je czytać, popijając świetną kawę Manfreda, z kubka, na którym pisało IBM: ITALIAN BY MARRIAGE, z literami „IBM" napisanymi na czerwono, biało i zielono – kolorach flagi Włoskiej. Kawa pomogła również Deanowi przypomnieć sobie co lubił w Manfredzie. Jak również muzyka przy której czytał, album Rush. Oba pomogły mu pozbyć się z głowy Scottso.

Do czasu, kiedy Sam zszedł po schodach, ubrany tylko w spodnie, Dean włożył swój najlepszy głos szalonego naukowca.

- To żyje, powiadam ci, żyje!

- Ta, ta. - mruknął Sam, idąc prosto do kuchni.

Uśmiechając się szeroko, Dean z powrotem spojrzał na laptopa, po raz trzeci czytając ten paragraf i w końcu się poddając.

Kiedy Sam wszedł do pokoju mając w rękach kubek z Dilbertem, Dean powiedział:

- Stary, powiedziałeś, że to całe Rue Morgue było pierwszą powieścią detektywistyczną, tak?

- Tak, czemu? - Sam powiedział, siadając na rozsuwanym fotelu.

- Bo muszę ci powiedzieć, że to najgorsze gówno, jakie w życiu czytałem. Serio, te inne historie nie były takie złe. Jak tylko zacząłem czytać *„Serce Oskarżycielem"*, przypomniałem je sobie z tej zadupiałej katolickiej szkoły w Illinois. Ale ta historia z Rue Morgue... - Nie dokończył

Sam wzruszył ramionami popijając kawę.

- Co ci mogę powiedzieć Dean... wtedy była rewolucyjna. I hej, gdyby nie ta historia to prawdopodobnie nie mielibyśmy dzisiaj CSI.

- Żadna strata – powiedział Dean – I tak w czwartkowe noce są lepsze rzeczy do oglądania.

- Jest lepiej kiedy już przejdziesz wstęp – powiedział Sam.

Translate_Team

Translate_Team

SUPERNATURAL

Dean zgadzał się z bratem w tym, że historia nie mogła być już gorsza. Początek był po prostu usypiający, ciągnąc się przez strony i strony i strony niczego. Gdzie były morderstwa? Szukanie? Albo Orangutan, do cholery?

Kiedy kończył się *„Working Man”* Sam dopił do końca kawę a potem zapytał:

- Więc co myślisz o detektyw McBain?

Odkładając laptopa na bok Dean wypuścił długi oddech.

- Nie mogę uwierzyć, że tata nam o niej nie powiedział.

- Serio? Bo ja nie mam problemów z uwierzeniem, że tata nam nie powiedział. Nie powiedział nam o zajeździe, ani o Ellen, ani Jo albo mężu Ellen, nie powiedział nam o Elkinsie, nie....

Wyciągając ręce w geście poddania Dean powiedział:

- Dobra, dobra. - Pokręcił głową i wypił resztkę kawy, która już straciła całe ciepło. - Dużo o niej myślałem - powiedział – i uważam, że możemy jej zaufać.

Powieki Sama były w połowie zamknięte odkąd zszedł po schodach, ale teraz otworzył oczy.

- Serio? Nie żebym się nie zgadzał, ale jestem zdumiony, że to powiedziałeś.

Dean wzruszył ramionami.

- Powiedziałem ci już wcześniej, znam gliny. Stary, ty i ja – zwłaszcza ja – jesteśmy najlepszym przykładem zbrodni. Każdy glina oddałby lewe jądro, żeby w tej chwili aresztować jednego z nas. Wczoraj nas miała. Mogła nas złapać, znaleźć się w wiadomościach, dostać awans – kurde, miałaby wybór co robić a co nie, gdyby nas złapała. A ona tego nie zrobiła. Gliny tak nie robią.

- Chyba, że są okoliczności usprawiedliwiające.

•Dokładnie – Dean wstał i powiedział – Idę sobie nalać jeszcze jeden kubek kawy.

Sam wstał i podążył za nim.

- Wiesz, myślałem o tacie – dlatego tak długo spałem i, żeby nie skłamać, przewracałem się na łóżku przez pół nocy odkąd wróciliśmy.

Kurwa, kurwa, kurwa, myślał Dean wchodząc do kuchni. Ostatnią rzeczą, której teraz chciał była rozmowa z Samem na temat taty. Nie był gotów rozmawiać o tym z Samym, jeszcze nie.

Podchodząc do ekspresu Dean zobaczył, że Sam zostawił tylko resztki na dnie dzbanka. Złapał go, podniósł i potrząsnął, a potem powiedział:

- Stary! Etykieta kawowa. Jak skończysz dzbanek to robisz kolejny.

Sam odsunął się jakby Dean go spoliczkował.

- Nie skończyłem go – coś zostało. - Dean spojrzał na Sama jakby jego wzrok mógł zabić.

- Chyba sobie jaja robisz.

- W każdym razie – Sam powiedział, kiedy Dean wylewał resztki kawy do zlewu. - Myślałem o tym jak byliśmy u Bobby’ego i Meg była uwięziona w kręgu.

Translate_Team

Niepewny gdzie Sam z tym zmierzał Dean napełnił dzbanek zimną wodą. Myślał o Meg tylko jako o demonie, zakładając tylko, że przyjęła postać słodkiej blondynki.

Sam, nadal ściskając swój kubek kawy, powiedział:

- Nigdy nie zapomnę miny Bobby'ego kiedy nam powiedział, i dokładnie tak powiedział - „Nie widzicie?”. Nie mógł uwierzyć, że nie rozpoznawaliśmy znaków.

- I co to ma wspólnego z tatą Sam? - Zapytał Dean, nalewając wody do ekspresu, mimo że mógł zgadnąć.

- To było coś, czego tata mógł nas nauczyć, ale tego nie zrobił. Nie powiedział nam o innych łowcach, nie powiedział nam o zajeździe, nie powiedział nam o wampirach, dopóki ich nie spotkaliśmy, nie powiedział nam o innych środkach niż sól. Jasne nauczył nas podstaw i jak walczyć i się bronić, ale to wszystko. I, mimo że o to walczyliśmy, to myślę, że tata się cieszył, że siedziałem w Stanford.

Dean podszedł do zamrażarki, a te słowa go zatrzymały.

- Co?

- Nie idziesz tak po prostu na Stanford, Dean – ani nigdzie indziej. Musisz wypełnić tonę papierków i rodzic albo opiekun musi podpisać większość z nich, zwłaszcza te dotyczące finansów.

To zszokowało Deana.

- Masz na myśli, że tata na serio to wszystko podpisał?

- Na początku tak. Gadał o tym i jęczał, ale podpisał wszystko.

Dean zadrżał, wrzucając do ekspresu ziarna kawy, przypominając sobie kłótnie z tamtych czasów. Tata oskarżał Sama o porzucenie rodziny, a Sam tatę albo o próbę ustawienia mu życia albo o jego rujnowanie, podczas gdy on desperacko próbował (i zwykle zawodził) ich uspokoić i sprawić, żeby ze sobą porozmawiali zamiast warczeć. A teraz dowiedział się, że tata i tak wszystko podpisał...

- Może – powiedział Dean powoli – tata nie myślał, że to było na serio. No bo jasne, wypełnił te wszystkie formularze żeby ci było, ale potem kiedy powiedziałeś, że naprawdę odchodzisz...

Sam przechylił głowę.

- To chyba możliwe. Ale nadal, to trochę dużo papierków jak na zwykłe „niech ci będzie”. I szczerze, mógł zniszczyć całą moją karierę przez zwykłe niewypełnienie tych papierków w którymś momencie.

Nic z tego nie pasowało Deanowi.

- Mówisz, że tata wypełniał te papierki co roku?

- Um... - Sam się zawahał.

Dean znał ten wzrok. Sam coś ukrywał.

- Co zrobiłeś Sammy.

Translate_Team

Nastąpiła długa pauza. Ekspres zaczął wydawać z siebie dźwięki i wylała się z niego kawa.

- Ja... - Sam wypił trochę kawy, żeby opóźnić, a potem powiedział – Sprawiłem, że zdeklarowali moją niezależność.

- Co?

- Tata nie chciał ze mną rozmawiać po tym, jak odszedłem, więc nie wiedziałem czy wypełni te papierki na drugi rok, a nie jestem wystarczająco dobry, żeby podrobić jego podpis. Ale straciłbym stypendium, więc dostarczyłem dokumenty o tym, że tata zaginął i nikt nie mógł się z nim skontaktować – co, przy okazji było łatwe, ponieważ z legalnego punktu tata był zaginiony. Więc przychylili się do mojej niezależności. Sam mogłem wypełnić wszystkie formularze.

- Więc mówisz, że wydziedziczyłeś tatę?

Sam otworzył usta, zamknął je a potem powiedział kiepskie:

- On to zrobił wcześniej.

W Deanie się zagotowało, ale na krótko. *Po tym gównie, które tata odstawił na łożu śmierci nie zamierzam skurwysyna bronić.*

Poza tym, co się stało to się nie odstanie. Kłócenie się z Samem o tatę prawdopodobnie by go zabiło, myślał Dean.

- W porządku – powiedział w końcu krótko – więc co to wszystko ma wspólnego z mówieniem mi o McBain?

- Pamiętasz tego gościa od wypadków w powietrzu, Jerry'ego?

Dean skinął głową. On i tata ocalili Jeery'ego Panowskiego od poltergeista i Jerry później wezwał jego i Sama, żeby pomóc mu z demonem, który powodował wypadki samolotowe. Nie był jednak pewien co on miał z tym wspólnego.

- Co z nim?

- Powiedział, że tata cały czas mówił, jak był ze mnie dumny, że poszedłem na Stanford. Nie mogłem w to uwierzyć, ale teraz zaczynam rozumieć.

Prawie całkiem straciwszy cel myśli Sama – jeśli w ogóle jakiś miały, Dean wyrzucił ręce w powietrze, sfrustrowany.

- Rozumiesz co?

- Nawet kiedy nas trenował to nas chronił. Krzyczał na mnie za to, że poszedłem na Stanford, ale byłe ze mnie dumny – pomógł mi tam w ogóle pójść. Na każdą rzecz, której nas nauczył przypadało pięćdziesiąt, do których musieliśmy dojść sami, albo dać się na nich złapać. Kurde Dean, jego jedynym powodem na to, żeby uciec w zeszłym roku było to, że chciał nas chronić przed demonem i pozwolił nam iść dopiero wtedy, kiedy zrzuciliśmy mu na głowę ceglaną ścianę.

Dean gapił się na zlew Manfreda słuchając ekspresu, kiedy ten robił kawę. Po kilku cichych sekundach Sam niepewnie powiedział:

- Dean?

Translate_Team

W końcu Dean odwrócił się i patrzył na brata, mężczyznę do którego zwrócił się o pomoc, kiedy zniknął tata, mężczyznę którego miał bronić za wszelką cenę z rozkazu ojca, lub zabić jeśli nie mógł tego zrobić. Bardzo cichym głosem Dean powiedział:

- Wiesz co ja myślę? Myślę, że potrzeba zwalczana zła walczyła w tacie z potrzebą chronienia nas. I myślę, że nie mógł wygrać tej walki i myślę, że to ona go zabiła.

Sam i Dean po prostu gapili się na siebie przez kilka sekund. Z klatki schodowej doszedł ich głos Manfreda.

- Hej goście, gdzie jesteście.

- Tutaj – odpowiedzieli obaj jednocześnie.

Nie mogąc się powstrzymać Dean się uśmiechnął i było to w jakiś sposób oczyszczające. Sam też się uśmiechnął.

Manfred, mając na sobie pełne dziur spodnie dresowe i spłowiały T-shirt, wszedł boso do kuchni.

- W porządku?

- Ta – powiedział Dean – właśnie mieliśmy dzienną dawkę emo-rozmów. Przeszło nam. Och i włożyłem pranie, nie masz nic przeciwko?

- No problemo, goście. Mój casa jest waszym casa.

- Dzięki.

- Zwykle nie wstaje tak wcześnie w niedzielę, ale właśnie sobie coś przypomniałem, o czym wy goście możecie chcieć wiedzieć. - podszedł do szafki, wyciągnął kubek który miał narysowaną okropnie brzydką mordę i napis ZRZĘDA pod nią i nalał sobie kawy. - parę lat temu Aldo miał dziewczynę, która była prawdziwą r'cherką.

Sam zrobił zeza. Dean wywrócił oczami.

- Ma na myśli, że była fanką Queensr'che, a nie pierwszego oficera Enterpise'a.

Zanim Sam mógł cokolwiek powiedzieć Manfred kontynuował:

- Miała na imię Roxy – em... coś tam. Chyba.

- Była blondynką? - zapytał Dean.

Manfred wypił trochę kawy, a potem uśmiechnął się pokazując gapę w zębach.

- Aldo chodzi tylko z blondynkami. W każdym razie, idę na górę znaleźć w internecie jakieś porno. Pogadamy później, goście.

Krzywiąc się, Dean powiedział po wyjściu Manfreda:

- O nie.

- O co chodzi? - zapytał Sam.

- Musimy pogadać z Aldo o Roxy. Co oznacza, że wracamy do Park in Rear.

Sam uśmiechnął się szeroko.

Translate_Team

SUPERNATURAL

- Bycie bohaterem to bilet do piekła w jedną stronę, prawda Dean?
- Pieprz się.

Translete_Team

SUPERNATURAL

Rozdział 12

Park In Rear
Larchmont, Nowy York
Sobota,10 listopada 2006

Druga podróż Deana do Park In Rear była lepsza z dwóch powodów: ani śladu Janine i Jennifer znów pracowała na barze. Jeszcze lepiej, Jennifer zamiast obcisłych jeansów miała skórzane spodnie.

- Proszę, proszę – powiedziała Jennifer, kiedy podszedł do baru z Samem – Zobaczcie, kto wrócił.

Właśnie pomogli Manfredowi wyciągnąć sprzęt z jego terenówki.

- Dlaczego nie znajdziesz nam stolika Sam? - zapytał Dean nie patrząc na brata. Sam się uśmiechnął.

- Tu jest pełno stolików Dean, nie martwiłbym się o to. Poza tym przecież pomogę ci nieść drinki. - Teraz Dean spojrzał na Sama.

- Chyba dam radę nieść dwa piwa – nie wspominając o wylaniu ci jednego na głowę, jeśli nie znajdziesz nam stolika.

Bez kolejnego słowa – ale za to z denerwującym uśmieszkiem – Sam odszedł żeby znaleźć stolik w podniesionej sekcji z boku. Jennifer uniosła brew.

- Co Dean, nie lubisz podrywać starszych kobiet przy świadkach?

- Po pierwsze, nie wierzę, że jesteś starsza. Jasne powiedziałaś wczoraj coś o tym żarciu w zamrażarce, ale myślę, że to kupa gówna i tak naprawdę masz dwadzieścia cztery lata. Myślę, że podrywa cię tylu palantów, że udajesz, że jesteś samotną matką, żeby uciekli i że jesteś naprawdę gorącą młodą laską, tylko trochę wybredną.

Zanim skończył mówić Jennifer zaczęła mu nalewać Brooklyna jeszcze za nim powiedział, czego chciał.

- Wiesz Dean, strasznie dużo nad tym myślałeś.

- Tak.

Tak naprawdę dopiero teraz na to wpadł, bo był zbyt zajęty włamywaniem się do domów, spotykaniem się z glinami, spaniem, psychoanalizowaniem taty i próbowaniem znaleźć informację na temat Arthura Gordona Pyma. Niestety nie mogli znaleźć niczego o nim w kronikach miasta. Jego strona przyznawała się, że zmienił nazwisko, ale wyglądało na to, że nie zrobił tego legalnie i nie było żadnych śladów imienia, z którym się urodził. Umieszczając piwo Deana na chusteczce na barze Jennifer powiedziała:

- Wybacz, że cię rozczaruję, ale to wszystko prawda. Dzisiaj po południu zawiozłam Billego na trening piłki nożnej i tak dalej. Zrobili go napastnikiem.

Translate_Team

- To dobrze – Dean nie miał pojęcia co to znaczyło, ale założył, że to było coś dobrego.

- To co pije Sam?

- Dla pana trzęsiportka Bud Lighta.

- Hej – powiedziała Jennifer – co masz przeciwko Bud Lightowi?

- Nic – powiedział Dean – po prostu wolę piwo.

To w końcu sprawiło, że się uśmiechnęła. Nalała jeszcze trochę Bud Lighta z kranu.

- Więc... jestem zdziwiona, że wróciłeś. Myślałam, że po ostatniej nocy uciekniesz od Scottso z krzykiem.

- Co byś zrobiła, gdybym powiedział, że wróciłem, żeby cię zobaczyć?

- Powiedziałabym, że kłamiesz jak z nut. - Dean uśmiechnął się szeroko.

- Miałabyś rację. Muszę o czymś porozmawiać z Aldo. Zobaczenie ciebie było tylko dodatkowym plusem.

- O czym chcesz pogadać z Aldo?

- O jego starej dziewczynie. - Jennifer prychnęła.

- O której?

- O blond dziewczynie imieniem Roxy. - Kolejne prychnięcie.

- Roxy Carmichael? Nie była dziewczyną. Baba była starsza ode mnie.

To przykuło uwagę Deana.

- Była?

- Cóż, zgaduje, że nadal jest. Zerwała z Aldo kilka lat temu i nie widziałam jej od tamtej pory. Szkoda, byli dobrą parą – żadne z nich nie piło ani nie paliło. Nie, czekaj, pamiętam, że wychodziła z baru żeby zapalić zaraz po tym, jak palenie wewnątrz zostało zakazane.

Wiedząc, że zależnie od stanu te prawa się różniły, Dean zapytał:

- Kiedy to było? - Jennifer wzruszyła ramionami.

- Kilka la temu. Zaraz przed tym jak zerwali. W każdym razie zawszy piła bezalkoholowe.

Zanim Dean mógł odpowiedzieć, drugi barman – nie Harry, ala inny gościu o połowę od niego młodszy i dwa razy wyższy – powiedział:

- Hej Jenny, rusz dupę, dobra? Ja tu umieram!

- Przepraszam – powiedział Dean – Ile?

- Złap mnie później – Jennifer znów się uśmiechnęła, ale nie tym wymuszonym uśmiechem, co zwykle. Ten był milszy.

Z ciepłym, miłym uczuciem w klatce piersiowej Dean podszedł do stołu z dwoma piwami.

Uczucie stało się zimne i nieprzyjemne do czasu, kiedy Scottso dosięgli drugiego wersu ich otwierającej piosenki „*Smoke on the Water*”. Dokładnie wtedy

Translate – Team

Dean przysiągł sobie, że zmieni dzwonek, kiedy tylko wymyśli jak poprosić o to Sama, żeby ten się z niego nie naśmiewał.

To może trochę zająć, pomyślał nieszczęśliwie.

Zanim skończyła się pierwsza część występu zdążył wrócić do baru trzy razy, za trzecim razem rozmawiając z Jennifer dopóki drugi barman nie zaczął krzyczeć o pomoc. Naprawdę miał, co o tego dobre przeczucie.

Teraz, jednakże miał biznes, którym musiał się zająć. Stanął w kolejce do Aldo, który stał w kolejce do kibelka. To nieźle się zgrało, bo pęcherz Deana też był do tego momentu nieźle naładowany Brooklyńskim piwem. Stanął za Aldo i powiedział:

- Myślałem, że tylko kobiece kible mają kolejki.

- Hahaha – odpowiedział Aldo – To było dobre Sam.

- Jestem Dean.

- Tak powiedziałem, Dean. Dobrze znów was zobaczyć.

- Dzięki. Naprawdę nieźle dzisiaj graliście. Podobało mi się jak zagrałeś „*Sunshine of Your love*".

- Nie nazwali Erica Claptona dobrym za nic, przyjacielu – powiedział Aldo.

- Hej, słuchaj Aldo, Manfred mi mówił, że kiedyś chodziłeś z dziewczyną o imieniu Roxy. - Aldo zmarszczył brwi.

- Um, tak.

- Powiedział, że była rycherką. Kiedyś znalem blond laskę, która miała na imię Roxy i też była rycherką i zastanawiałem się, czy to nie ta sama.

- Możliwe – powiedział Aldo wzruszając ramionami – Nazywała się Roxanne Carmichael – dwaj mężczyźni przy pisuarach odeszli i Dean i Aldo zajęli ich miejsca.

Dean odsunął jeansy i po chwili czuł się jakby ktoś zdjął wielki ciężar z jego... no cóż nie do końca ramion, ale czuł się, co najmniej pięć kilo lżejszy po sikaniu tylko przez dwie sekundy.

- Wiesz, co mówią o piwie – im lepsze, tym szybciej musisz je oddać.

- Chyba tak – powiedział Aldo – Właśnie jestem trzeźwy trzy lata. To właśnie na spotkaniu AA poznałem Roxy.

- Przykro mi – powiedział szybko Dean

- Nic się nie stało, Sam.

- Jestem Dean.

- Tak powiedziałem, Dean. Ne wytrwałbym nawet dwóch sekund grania, gdybym pił, wiesz, o czym mówię, nie? W każdym razie, co do Roxy... była tylko laską, z którą chodziłem. Pewnego dnia po prostu zniknęła i nie zostawiła adresu, to było zaraz po naszej większej kłótni, więc w sumie mnie to nie obchodziło, wiesz, o czym mówię, nie?

Deanowi udało się nie uśmiechnąć.

Translate_Team

- Nie pokłóciliście się przypadkiem w domu Manfreda?

- Nie – Aldo zapiął spodnie – Słuchaj, czemu pytasz?

Zdając sobie sprawę, że za dużo powiedział Dean się odczepił.

- Nic specjalnego, zastanawiałem się tylko, czy to nie ta sama laska. - Skończył i zapiął spodnie, łokciem spłukując – Też nie chciała pić i dużo o tym mówiła.

Aldo się uśmiechnął, jakby coś sobie przypominał.

- Tak... - przerwał – W każdym razie nie widziałem jej od jakichś dwóch lat.

- Aha, dobra.

Po tym Aldo podszedł do zlewu i umył ręce. Dean poszedł do wyjścia myśląc, *tak!*.

Ktoś inny – basista, uświadomił sobie Dean, ale nie potrafił przypomnieć sobie jego imienia – powiedział:

- Co, nie myjesz rąk?

- Mój tata był Marine – powiedział Dean. Puste spojrzenie basisty powiedziało mu, że nie zrozumiał, mimo że z tym gościem trudno było powiedzieć, ponieważ to powinien być jego normalny wygląd. - Tata opowiedział mi taką historię. Marine i żołnierz marynarki wchodzą razem do łazienki. Oboje sikają, a potem żeglarz idzie umyć ręce. Marine idzie do drzwi i żeglarz mówi „Hej – w marynarce uczą nas, że jak się odlejesz to myjesz ręce." Marine się odwraca i mówi „Ta? Cóż, w Marines uczą nas nie sikać na ręce".

Basista nawet się trochę uśmiechną.

- To było zabawne. - A potem poszedł w kierunku sceny.

Dean wrócił do stolika, gdzie Sam rozmawiał z Manfredem i perkusistą, którego imienia Dean również nie mógł sobie przypomnieć. Sam nadal miał resztki babskiego piwa – nawet nie próbował pod jego nieobecność zamawiać ginu z tonikiem – a Manfred i perkusista mieli szklanki z grubym dnem i Dean zakładał, że była w nich wódka lub dobra tequila.

Perkusista pokręcił głową i gwizdnął.

- Stary, to była suka – ale gorąca suka, mówię ci.

- O czym się rozmawia? - Zapytał Dean podchodząc do stołu i siadając obok Sama, na jedynym wolnym miejscu.

Manfred powiedział:

- O tej dawnej dziewczynie Aldo, Roxy, o której ci mówiłem.

- Ta – powiedział Sam – Tommy właśnie o niej mówił.

Tommy, perkusista, wypił trochę swojego drinka.

- Chciałbym wiedzieć, co się z nią działo, stary. Bo jakby nie była dziewczyną Aldo to przeleciałbym ją od razu, mówię ci.

Jeszcze bardziej zaciekawiony odpowiedzią na to pytanie Dean zapytał:

- To, co się z nią stało?

Translate-Team

- Nikt nie wie – powiedział Manfred – Aldo nam powiedział, że zerwali i nigdy więcej jej nie widzieliśmy.

Tommy zaczął uderzać pięścią w stół i się śmiać

- Boże Manfred, pamiętasz, jaka się robiła, kiedy wchodziliśmy do twojego domu?

- Jaka? - Zapytał Sam

Podnosząc głos o kilka oktaw, żeby brzmieć jak kobieta Tommy powiedział:

- „O wow Manny, chciałabym wyjść za kogoś z takim domem." Dziwię się, że się nie oświadczyłeś, „Manny".

Manfred zadrżał.

- Nie mógłby wyjść za kogoś, kto nazywa mnie Manny.

Rozmawiali jeszcze chwilę, ale Manfred i Tommy musieli iść, żeby przygotować się do drugiego setu.

Kiedy już poszli Dean powiedział Samowi, czego dowiedział się od Aldo.

Sam przyłożył pięść do podbródka.

- Więc uważasz, że może Aldo zabił Roxy?

- A co, ty nie? Proszę cię Sammy, to jest ta sama stara historia. A rzeczy stają się starymi historiami tylko, dlatego, że cały czas się dzieją. Kłócą się, on ją zabija i gdzieś zakopuje.

Sam skinął głową.

- A ona wraca, żeby nawiedzać... Manfreda? Widzisz, tego właśnie nie rozumiem.

Dean wzruszył ramionami.

- Może Manfred ją zabił.

Kręcąc głową, Sam powiedział:

- Manfred nawet jej nie pamiętał aż do dzisiejszego ranka.

- Sam to powiedział: Nie pamięta zeszłego tygodnia – wstał – Idę po następne piwo. Zobaczymy, czy Roxy dzisiaj wróci. Może, jeśli zawołamy ją po imieniu, to odpowie.

To był strzał w ciemno, ale niektóre duchy lubiły rozmawiać, przynajmniej trochę. Niestety, jej jedyne jak dotąd słowa – Kochaj mnie – nie były zbyt pomocne, ale podpierały jego teorię śmierć-przez-rozzłoszczonego-kochanka, co stawiało Aldo, jako podejrzanego numer jeden.

Podszedł do baru, wciskając się między dwóch starszych gości, którzy wyglądali, jakby chodzili do szkoły gramatyki z Manfredem i zawołał Jennifer.

Powiedziała bezgłośnie *sekundę* przygotowując kilka drinków jednocześnie. Jak na zawołanie, Aldo zaczął solówkę „*Born To Be Wild*", więc Dean zajął się słuchaniem muzyki osoby, którą uważał za mordercę.

Moje życie jest serio popierdolone, pomyślał rozbawiony.

Translate_Team

SUPERNATURAL

Jennifer dała drinki staruszkom, którzy poszli do swojego stolika, niosąc po dwa.

- Kolejny Brooklyn? - Zapytała Jennifer.

- Um, tak – Coś w tonie Jennifer było dziwnie nie tak.

Nalała piw w ciszy, a potem, kiedy położyła go na serwetce powiedziała:

- Dean, słuchaj – naprawdę doceniam to, co robiłeś, ale muszę cię o coś zapytać, dobra?

Wzruszając ramionami Dean powiedział:

- Strzelaj.

- Gdzie ty z tym zmierzasz?

Dean zmarszczył brwi.

- Co masz na myśli?

- Mam na myśli, gdzie z *tym* zmierzasz? Powiedziałeś, że jesteś spoza miasta. Zakładam, że wyjeżdżasz wkrótce, tak?

- Tak, chyba tak. Ja tylko...

- Więc, podsumowując, jedyne miejsce, do którego to zmierza, to jedna nocka? Ok, może dwie, jeśli będziesz w mieście wystarczająco długo.

Na tą cyniczną szczerość Dean nie miał odpowiedzi. Po pierwsze, szczerość nie była składnikiem jego metod flirtu (tak samo zresztą jego życia), więc jej użytek był dla niego obcy.

- Słuchaj Dean, jesteś słodki, mądry i *niesamowicie* przystojny... - Dean nie mógł się na to nie uśmiechnąć – i oczywiście jesteś tego całkowicie świadom, ale nie jesteś próżny.

- Um, dzięki – chyba.

- O, uwierz mi, że to komplement. Ale... - Jennifer wypuściła długi oddech – Dziesięć lat temu bym to z tobą zrobiła, ale teraz? Jestem za stara na jedną nockę, Dean. Robiłam to już i jeśli mam być z facetem, to chcę z nim być, rozumiesz? - Potem uśmiechnęła się szeroko – Dean, wyglądasz jakbym ci przejechała kota.

Mrugając, Dean próbował zmienić minę, ale nie miał pojęcia jak ona się tam w ogóle znalazła.

- Słuchaj, Jennifer.. przykro mi, ja nie...

- Jezu Dean, nie przepraszaj! Naprawdę polepszyłeś mi humor. Uwierz mi, będę o tym opowiadać koleżankom przez rok. Wiesz ile czasu minęło odkąd ktoś nawet o połowę mniej przystojny niż ty uderzał do mojego grubego tyłka?

- Jennifer – powiedział Dean – ze wszystkich słów jakich użyłbym, żeby opisać twój tyłek „gruby" jest absolutnie ostatnim.

- Dziękuję.

Potem, decydując, że nie ma nic do stracenia, dodał:

- I jeszcze jedno – masz racje, ze mną byłaby o tylko jedna nocka, może dwie, ale byłaby to najlepsza noc w twoim życiu.

Translate_Team

Translate_Team

Wrócił do stolika zanim mogła odpowiedzieć.

Oczywiście miała rację – nie było szans na nic więcej niż dobre bzykanko, albo dwa. Z Cassie nauczył się, że nie był dobrym materiałem na związek. I dlatego właśnie swoją seksualną energię skupiał głównie na młodych kobietach, które interesowały się krótkotrwałym związkiem. Był pewien, że połowa z nich nie wierzyła w te teksy, którymi je podrywał, ale lubiły grać w tę grę.

Kiedy tylko usiadł Sam zaczął się martwić patrząc na niego.

- Stary, co się stało? Wyglądasz, jakby ci ktoś kota rozjechał.

Dean po prostu pił piwo.

Translete_Team

SUPERNATURAL

Rozdział 13

Dom Afariego
Bronx, Nowy York
Sobota,19 listopada 2006

To musi się skończyć. Dlaczego on mnie nie kocha?

To wszystko zaczęło się od dziwacznie wyglądającego faceta, który był podobny do wujka Cala. Powiedział, że był Żniwiarzem i jego pracą było przygotowanie jej do przejścia dalej.

Ale to wszystko było nie tak. Jeśli miała przejść dalej, to oznaczało, że jej poprzednie życie było już skończone, a to oznaczało, że była martwa, a to było coś, czego po prostu nie mogła tak po prostu zaakceptować, to było szalone, po wszystkim, przez co przeszła, po prostu nie mogła być po prostu martwa!

Odmówiła. Nie ma mowy, nie ma sposobu, ona z nim nigdzie nie pójdzie, nawet, jeśli wyglądał jak wujek Cal, który zawsze był dla niej miły i był jedyną osobą, która z nią rozmawiała, kiedy poszła na odwyk, wszyscy inni po prostu ją opuścili, skurwiele, ale Cal zawsze przy niej był i całkowicie mu ufała.

Nie pójdzie z nim. Tu była linia. Po tym jak *to* się stało, nie mogła odpuścić. Nie chciała odpuścić. Nie mogła, nie mogła, nie chciała, nie chciała.

Żniwiarz, który wyglądał jak wujek Cal próbował ją przekonać, że postępowała głupio, że dla niej nic już tu nie było, że nie mogła nic zrobić żeby zmienić, co się stało, ale nie chciała w to wierzyć, nie chciała tego zaakceptować, nie chciała nawet tego słuchać. Nie była martwa, nie była martwa, nie była martwa, nie była martwa.

To musi się skończyć. Dlaczego on mnie nie kocha?

Przez całe życie nie prosiła o wiele. Kiedy wszystko poszło źle, to to naprawiła. Była wyleczona, na tyle na ile każdy mógł być wyleczony. Nie piła odkąd wyszła z odwyku, więc to powinno być na tyle, koniec, kropka, zakończenie zdania.

Więc nie możliwe, nie możliwe, nie możliwe, nie możliwe, nie możliwe, że mogła tak umrzeć.

Coś trzeba było zrobić.

Na początku po prostu czekała, myśląc, że wszystko samo się rozwiąże.

Ale nie.

Manfred każdego raka szedł do pracy. Szedł do Park In Rear w każdy piątek, sobotę i niedzielę żeby grać ze swoim cholernym zespołem, a potem po prostu wracał do domu.

Każdego razu, kiedy wracał do domu miała nadzieję.

Translate_Team

Każdego razu, kiedy wracał do domu te nadzieje były niszczone.

Po jakimś czasie już nie mogła wytrzymać. Jak mogła? Jak mogła się spodziewać, że będzie tam tak po prostu siedzieć i to znosić, po prostu tam siedzieć, po prostu tam być, po prostu egzystować, nie będąc naprawdę żywą, ani naprawdę martwą, po prostu latać dookoła, podczas gdy *życie toczyło się bez niej i nikogo nie obchodziła!*

W końcu pękła.

Teraz, kiedy robótki Scottso się kończyły ona tam była. Znów i znów, za każdym razem, kiedy wracał z tego przeklętego Park In Rear, miała nadzieję, modliła się, błagała, prosiła, ale nic, nic, *nic!*

To było okropne. To było straszne. To byłą najgorsze w świecie rzecz, gorsza nawet niż umieranie, a myślała, że nic nie mogło być gorsze od umierania, ale w jakiś sposób było.

Zastanawiała się, czy nie powinna posłuchać Żniwiarza tak, jak zawsze słuchała wujka Cala, który wyglądał tak jak Żniwiarz – a może było na odwrót? Już nie wiedziała, już jej to nie obchodziło, chciała, żeby to się już skończyło, skończyło, skończyło, skończyło, skończyło, skończyło!

A potem zrobiło się gorzej.

Wczoraj przyszedł ktoś inny, kto nie był ze Scottso. To było dwoje nowych ludzi i oni do niej strzelali.

To było najgorsze uczucie, jakiego kiedykolwiek doświadczyła, gorsze niż umieranie, gorsze niż odwyk, gorsze niż wiedza, że nic się nie zmieniło, gorsze, niż kiedy odkryła, że ma alergie na małże, gorsze od *czegokolwiek kiedykolwiek*.

I oni za to zapłacą. O tak, ona już dłużej nie zamierzała tego znosić, dostanie, czego chciała i pokaże wszystkim prawdę!

Jak tylko pozbiera się do kupy.

To tak naprawdę było bardzo dziwne. Zobaczyła dwóch gości, strzelili do nie, a potem...

Nic.

Pustka. Nie była już ograniczona do domu Manfreda, do niczego, nie była już zdolna widzieć, słyszeć, dotykać, lub...

Cóż, tak naprawdę to i tak nie mogła robić nic z tych rzeczy, ale miała *coś*. Miała przytomność. Prawda? Jak inaczej Żniwiarz, który wyglądał jak wujek Cal mógł do niej mówić, jeśli nie dało się do niej mówić?

Ale po tym, jak ci dwaj do niej strzelili, puf. Zniknęła.

Musiała się pozbierać do kupy. Oni nadchodzili. Czuła to. Nie mogła wiele czuć, ale to czuła. Nadchodzili. Nadchodzili. Musiała im pokazać, co się działo zanim znów do niej strzelą.

Próbowała się skupić.

Translate_Team

To było wyzwanie – skupianie się było trudne, nawet, kiedy jeszcze żyła, a im więcej czasu minęło odkąd umarła, tym trudniejsze to się stawało. Nie miała pojęcia, czym ci dwaj goście do niej strzelali, ale cokolwiek to było, było zabójcze. Prawdopodobnie jakaś trucizna, albo coś.

Nie, to nie miało sensu. Trucizna? Już była martwa. Ale to nie były normalne kule. Ani te do shotguna, jakiekolwiek tam były. Co, do cholery ona mogła o tym wiedzieć, była dziewczyną z Morris Park, wszystko, co wiedziała o shotgunach to to, że cowboye w starych filmach je nosili.

Wujek Cal zawsze pokazywał jej te filmy, kiedy jej pilnował, jak była mała. Mama i tata upijali się gdzieś każdej soboty, więc wujek Cal się nią zajmował, pokazując jej swoje ulubione filmy. *Mój kochany Clementine. Calamity Jane. Rio Bravo. Dobry, Zły i Brzydki. Wspaniała siódemka. Zwitek dolarów. Niewybaczeni. Tombstone.* Wszyscy mężczyźni nosili śmieszne kapelusze, a kobiety sukienki i byli tacy fajni, że okropnie jej się to podobało.

Nadchodzili.

To musi się skończyć. Dlaczego on mnie nie kocha?

Zebrała wszystko, co miała, jak tylko mogła, zmuszając się, by znów stać się całą, kiedy dwóch obcych, którzy ją postrzelili weszli przez drzwi.

Oto byli – widziała ich. Nie mogła jednak z nimi rozmawiać. Czymkolwiek ją postrzelili zeszłej nocy, powstrzymywało ją od mówienia, ale mogła widzieć, do cholery i widziała, że wchodzili, wysoki z rozczochranymi włosami i niski z krótkimi. Oboje mieli te małe czarne bransoletki i oboje ubierali się w ten sam niechlujny sposób, co dzieciaki z dwójką z przodu. Cholera, kiedy ona miała dwójkę z przodu to wiedziała jak się ubierać, nie to, co ci post-Grunge'owi niedorobieńcy.

Pokaże im. Naprawdę im pokażę.

Koncentrując się mocniej niż kiedykolwiek w życiu czy śmierci, skupiła się na tym głupim zdjęciu Manfreda i jego dzieci, które było na piętrze, gdzie Manfred miał na twarzy ten głupi uśmiech, a dzieci zachowywały się jakby chciały być gdziekolwiek, byle nie z Manfredem. Dlaczego Manfred w ogóle miał to zdjęcie? Było takie żałosne. Nie wychował ich, a im nawet na nim nie zależało, więc, po co to głupie zdjęcie?

Zdjęcie zleciało ze ściany i poleciało prosto na tego wysokiego. Niestety słyszał jak się zbliża – i miał, coś jak... zabójczy refleks – więc odsunął je z drogi ramieniem, co całkowicie zniszczyło jej zabawę.

- Myślę, że jest na ciebie wkurwiona, stary – powiedział ten niższy. Ten wysoki, którego prawie trafiła powiedział:

- Wkurzona, albo ma okres, tak mi się zdaje.

Próbowała znowu. Musiał ich skrzywdzić, po tym, co jej zrobili.

- Roxy, jesteś tam? - Ten wysoki powiedział nagle – Słuchaj, nie chcemy cię skrzywdzić.

Skąd oni znają moje imię?

I tak, jasne, że nie chcieli jej skrzywdzić. Jak ktoś może to powiedzieć bez śmiania się, dwadzieścia cztery godziny po tym, jak cię postrzelił?

A potem ten niższy powiedział:

- Ale to zrobimy, jeśli będziesz rzucać w nas ramkami. Słuchaj, ten dom należy do naszego przyjaciela i...

Nie zwracała na niego uwagi, zajęta próbami koncentracji na plakacie Fillmore East w swojej metalowej ramce. W końcu udało jej się sprawić, że odleciał ze ściany i uderzył niższego w tył głowy.

Wyższy pomógł mu wstać i niski przyłożył sobie do głowy rękę i się skrzywił.

- Okay... au.

- W porządku, stary?

- Nie, nie jest kurwa w porządku, jakaś suka-duch właśnie uderzyła mnie w głowę bezcennym plakatem!

Nie mogła się powstrzymać. Zaczęła się śmiać. Śmiała się długo, śmiała się nieopanowanie i śmiała się głośno. To było nawet zabawniejsze niż wtedy, kiedy z bratem wąchała klej, myśląc, że „wąchanie kleju" znaczyło, wciąganie go jak kokainy.

Ściany domu Manfreda się trzęsły, tak głośno się śmiała.

Obaj obcy podnieśli shotguny i nagle przestała się śmiać. Nie mogła znów stawić temu czoła, jeszcze nie.

Zamiast tego, odeszła, jak zawsze, kiedy Manfred już wyszedł. Poczeka, będzie cierpliwa, tak, jak jej mówili na odwyku, a potem im pokaże, z czego jest zrobiona, następnym razem, jak wrócą z tego głupiego baru. Nie miała pojęcia, kiedy to nastąpi – dni tygodnia nie miały już znaczenia, ona po prostu wiedziała, kiedy całe Scottso było w Park In Rear – więc poczeka, aż znów nadejdzie czas.

To musi się skończyć. Dlaczego on mnie nie kocha?

Dean gapił się na czytnik EMF i pokręcił głową.

- Nic. Była ta złość i śmiech, a potem nada.

Sam opuścił shoguna.

- Dziwne.

- Tak. I te dwa żuty, którymi nas potraktowała był całkiem słabe.

Kiwając głową Sam powiedział:

- Tak, myślę, że nie doszła jeszcze do siebie po tych dwóch strzałach z soli.

Wiedział, że każdy duch odczuwał to inaczej. Jedne znikały tylko na kilka minut. Inne na zawsze były rozrywane przez sól kamienną, ale to było rzadkie.

- Cóż, wygląda, że skończyła – powiedział Dean – Możemy powiedzieć Manfredowi, że jest bezpiecznie.

- Tak – Sam westchnął – Jutro pogrzebie on-line, potem posprawdzam biblioteki, sprawdzę, czy dowiem się czegoś o tym domu. Chodzi mi o to, że zakładamy, że to Roxy, przez tą koszulkę z King's Reign

Dean skrzywił się i tym razem prychnął.

- To Queensryche.

- Nie ważne. - Samowi udało się nie uśmiechnąć, bo zmienił nazwę zespołu tylko po to, żeby zdenerwować Deana – Ale może być inny duch, o którym jeszcze nie wiemy.

Posyłając Samowi spojrzenie pełne zwątpienia, Dean powiedział:

- Któremu zdarzyło się wyglądać jak jedna z byłych dziewczyn Scottso, razem z miłości do Queensryche?

Sam musiał przyznać mu rację.

- Tak, to naciągane, ale zespół nie chciał się dzielić informacjami. I nie wiem jak ty, ale ja nie mogę powiedzieć, czy zareagowała, jak użyliśmy jej imienia.

- Tak, ja też nie. Dobra, spróbujemy. A co z tym całym Poem?

Sam wzruszył ramionami.

- Dalej będę szukał Arthura Gordona Pyma. Podzwonię trochę jutro – albo w poniedziałek, skoro jutro jest niedziela – i zobaczę, czy uda mi się namierzyć właściciela serwera, na której jest strona – A potem go oświeciło – Hej, McBain powiedziała, że jest od zaginięć nie?

Dean zesztywniał.

- Tak, no i?

- Może możemy ją poprosić, żeby sprawdziła imię Roxy.

- Nie musimy ją w to mieszać Sammy. - Sam westchnął

- Weź, Dean. Myślę, że możemy jej ufać. Jak powiedziałeś, nie aresztowała nas i zna Ballard.

- Co to,do cholery ma wspólnego z...

- Gdyby nie Ballard oboje bylibyśmy w więzieniu i dobrze o tym wiesz. Pomogła mi wykopać ciało, które musieliśmy znaleźć i postrzeliła swojego partnera, żeby nas puścić. Zaufaliśmy jej i myślę, że możemy ufać McBain. Poza tym, ona jest z zaginięć i to oznacza, że możemy sprawdzać zaginięcia bez wymyślania. - Dean nadal nie był przekonany, więc Sam wymyślił kompromis – Słuchaj i tak będziemy potrzebować jej pomocy w poniedziałek, więc zapytamy ją wtedy.

Marszcząc brwi Dean zapytał:

- Dlaczego będziemy potrzebować jej pomocy w poniedziałek?

- Zostały jeszcze dwa miejsca, żeby zakończyć pieczęć Samuela, ale nie wiemy, które z dwóch to będzie. Notatki taty nie powiedziały, w jakiej kolejności

Translate_Team

musiały być wykonane morderstwa. Więc, jeśli nie chcesz mnie na jednej i siebie na drugiej...

Dean wyciągnął rękę.

- Dobra, nie ważne, ona weźmie jedno, a potem możemy ją zapytać o Roxy. Zadowolony?

Śmiejąc się, Sam powiedział:

- Nie mogę się doczekać.

- Hej, goście, mogę już wejść? Odmrażam sobie tutaj tyłek!

Sam odwrócił się w stronę drzwi frontowych, przez które krzyczał Manfred. Tej nocy było znacznie chłodniej niż poprzedniej i nie było powodu, żeby Manfred nie mógł wejść do własnego domu.

- Jest czysto! - krzyknął Sam.

Translete_Team

Rozdział 14

Webster Avenue i East 199th Street
Bronx, Nowy York
Poniedziałek,20 listopada 2006

Dean nienawidził czekania.

Było wiele powodów, dla których pojechał do Stanfordu, żeby odebrać Sama, ale w takich momentach lubił myśleć, że zrobił to dlatego, że Sammy był dobry w tego typu rzeczach.

A ostatnie dwa dni były pełna takiego gówna, kończąc się tym, że siedzieli w Impali na Webster Avenue w Bronxie, czekając, aż coś się stanie.

Niedziela była nudna. Sam zostawiał wiadomości na pocztach głosowych kilku ludzi i tylko na jedną z nich ktoś w końcu tego ranka odpowiedział mówiąc, że strona o Poe była opłacana przez korporację zwaną Pendulum Pit Incorporated („o, subtelne", mruknął wtedy Dean). Samowi nie zajęło wiele czasu użycie swojego szukaj–fu, żeby się dowiedzieć, że Pendulum Pit Inc. było korporacją należącą do i prowadzoną przez Arthura Mackey.

Niestety nie znalazł tego aż do wieczora, a musieli spróbować powstrzymać ich Poe–świra – którym według Deana był Pym, albo Mackey, albo ktokolwiek inny – przed zabiciem kogoś innego.

Dean i Sam wzięli Wester Avenue i 199th, która byłą dużą tętnicą miasta, zawierającą kilka parkingów, sklepów z częściami do samochodów i innych maszyn, z trzema, albo czterema piętrami mieszkań nad wieloma sklepami.
McBain wzięła Fordham Road o MLK Boulvard – która była dużą intersekcją z kościołem Świętego Mikołaja z Tolentine, oraz Deveoe Park, oraz kilka okolicznych apartamentowców. Webster byłą spokojna w nocy, podczas gdy druga lokacja prawie nigdy nie spała. Zgodzili się, że lepiej będzie, jeśli zbiegowie zajmą cichsze miejsce.

Problem był taki, że było kilka miejsc, w których morderstwo mogło mieć miejsce, a większość z nich była w mieszkaniach. Dean i Sam wiedzieli, że nie mogli po prostu wędrować i oglądać miejsc, ponieważ to była latynoamerykańska dzielnica i by się wyróżniali.

Przynajmniej auto nie stanowiło tak dużego problemu, ja myśleli. Jeden z mechaników miał kilka zajebistych autek, a na parkingu przy końcu ulicy stał Biuck z '54, kilka miejsc dalej niż to, w którym zaparkował Dean. Ogólnie Impala była bardzo rozpoznawalnym autem i Sam raz popełnił ten błąd, że wspomniał Deanowi o możliwości porzucenia samochodu dla czegoś mniej wyróżniającego się, skoro i tak musieli się ukrywać.

Translate-Team

Dean postawił sprawę jasno, mówiąc Samowi, że nigdy, przenigdy miał więcej czegoś takiego nie mówić. Prędzej odciąłby sobie lewe jądro niż oddał Impalę komuś innemu.

Ich trzecia (i jeśli Bóg pozwoli ostatnia) wycieczka do Park In Rear zeszłej nocy nie bardzo pomogła. Skończyły im się wymówki, żeby rozmawiać o Roxy, a poza tym zebrali już wszystkie możliwe informację na ten temat. Roxy była po prostu jedną z wielu dziewczyn, które ci goście pieprzyli i zostawiali i Dean był przekonany, że połowa historyjek które mówili o Roxy tak naprawdę dotyczyła innych lasek.

Żeby było gorzej Jennifer nie pracowała w niedzielę wieczorem, a wszystkie inne kobiety w Park In Rear były częścią pary, albo po prostu nie w jego typie. Miał nadzieję, że Jennifer przynajmniej by zadzwoniła – dał jej swój numer zanim wyszli w sobotę wieczorem – ale jak dotąd nic.

Dean tego ranka nie zawracał sobie głowy kurkiem z gorącą wodą.
Roxy zrobiła to samo co sobotniej nocy – trochę gdakania, trochę trzęsienia, tłuczenia się, rzucania przedmiotami, a potem zniknęła. Oboje z Samem zgodzili się, że prawdopodobnie jeszcze nie doszła do siebie po soli, ale że w piątek prawdopodobnie będzie już w szczytowej kondycji.

Sam znalazł też jakąś legendę o nowojorskich duchach. Większość z nich była sławnymi ludźmi: Theodore Rooscelt, komisarz NYPD, a potem prezydent miasta, nawiedzał kwaterę główną policji, Mark Twain nawiedzał swoje stare mieszkanie na West Tenth Street; Alexander Hamilton przemierzał Jane Street, cały blok, tam gdzie umarł podczas pojedynku z wie prezydentem Aaronem Burrem; duchy Burra w restauracji na Barrow Street, która stałą w miejscu, gdzie wcześniej znajdował się jego dom; i oczywiście John Lennon w Dakocie, apartamentowcu, w którym został zamordowany. Sam założył – i Dean się z tym zgodził – że wiele z tego było kłamstwem. Nie było w ogóle nic o Rierdale, nie wspominając już o tym domu, albo o kobiecie w koszulce zespołu krzyczącej, żeby ludzie ją kochali.

Z braku lepszych pomysłów, kiedy Sam przeszukiwał stronę, Dean przeczytał trochę więcej o Percivalu Samuelsie. Musiał przyznać, że jak na oszusta był dobry. Dla swoich klientów odstawiał niezłą manianę – co było dobrym posunięciem, bo byli gotowi słono za to zapłacić. Ale show nie trzymało się kupy, jeśli zwracało się uwagę na szczegóły. Nawet Dean wiedział, że Hekate, Ozyrys i Morrigan byli bogami z trzech innych panteonów (Greckiego, Egipskiego i Celtyckiego) , a Loki z czwartego (Nordyckiego) i nie był bogiem miłości i odkupienia[1]. Ale to prawdopodobnie brzmiało fajnie dla matołów, którzy nie wiedzieli lepiej, tak samo jak te wszystkie nocne programy o medium wyglądały

1 Loki był bogiem kłamstwa, więc całkiem na odwrót niż to, o co go posądzają.

Translate_Team

fajnie dla tych, którzy nie widzieli trików i nie wyłapywali tych wszystkich pytań naprowadzających.

Po raz dziewięćsetny spojrzał pełnym pożądania wzrokiem na radio, znalazł lokalną stację z klasycznym rockiem i nie była taka znowu najgorsza – ale wiedział, że puszczanie muzyki byłoby błędem. Słuchawki w niczym by nie pomogły, ponieważ musiał słyszeć, jeśli coś się stanie – jak, na przykład Sam krzyczący o pomoc, albo hałasy jakie robią demony, albo jakieś inne cholerstwo.

Więc siedział w ciszy i czekał.

Dean naprawdę nie cierpiał czekania.

W końcu Sam wyszedł z budynku, rozejrzał się, żeby sprawdzić, czy nikogo nie było na ulicy, zobaczył dwoje ludzi idących na północ, na Webster i powoli ruszył w ich kierunku, ze spuszczoną głową.

Rozmawiali ze sobą i każdy miał w uchu po jednej słuchawce od iPoda. Nawet nie zauważyli Sama, ale nadal czekał, aż skręcili do Bedford Park Boulevard zanim się zatrzymał, odwrócił i przebiegł przez ulicę do Impali.

– Nic – powiedział, wciskając się na miejsce pasażera i zamykając wielkie drzwi. – Sprawdziłem oba apartamentowce. Jest jeszcze takie inne miejsce niedaleko sklepu z częściami do aut.

– Co z tym sklepem? – zapytał Dean

– Którym?

Dean wzruszył ramionami.

– Którymkolwiek.

– Nie widzę go. Auta nie istniały w czasach Poego. Jeśli to ma być coś co jest emocjonalnie związane z życiem i pracą Poego, musiałoby być w jednym z tych apartamentowców.

– Chodnik w pobliżu college'u nie jest przedstawiony w historiach Poego, nie?

Sam zmarszczył czoło.

Dean przesunął się w siedzeniu żeby móc spojrzeć na brata.

– Ten bajer z orangutanem miał miejsce na ulicy – w książce to działo się w mieszkaniu, nie?

– No.

– Więc najwyraźniej nasz popapraniec nie ma problemów z naginaniem książek, żeby miejsce się zgadzało. Z tego co wiemy, ten tam garaż ma na sobie wielki krzyżyk.

Sam potarł brodę, tak jak zwykle to robił, kiedy chciał sprawić, żeby Dean uwierzył, że myśli. Dean nigdy tego nie kupił, bo doskonale wiedział, że Sam myślał cały czas. Nie, to był tylko sposób Sama na opóźnienie.

– No dobra – ty sprawdź garaże, a ja apartamentowiec, ok?

Dean tylko mrugną i przez sekundę się na niego gapił.

Translate_Team

– Co?

– Nic, jestem tylko zszokowany, że wymyśliłeś plan, który nie jest do bani.

– Ha ha...

Uśmiechając się szeroko, Dean wyszedł z auta, tak samo jak Sam.

Po upewnieniu się, że wszystkie drzwi były zamknięte, Dean pobiegł o garażu z wielkim żółtym znakiem NAPRAWY MANNY'EGO, na rogu 199th, a Sam poszedł za róg – wejście do apartamentowca nad warsztatem Manny'ego było na ulicy prostopadłej do Webster. Dean założył, że Sam poczeka aż koś wyjdzie, a potem wejdzie i uda, że jest mieszkańcem, który właśnie wchodzi – albo po prostu zadzwoni i powie „jestem twoim sąsiadem, zapomniałem kluczy". Głośniki w budynkach były tak kiepskie, że mógłby to zrobić bez większych problemów. Poza tym, wszyscy zawsze wierzyli, że jest szczery. Ludzie ufali Samowi, co było kolejnym powodem dla którego lubił, gdy brat był z nim na polowaniach.

W ciągu dnia Manny prawdopodobnie zostawiał otwarte drzwi, żeby auta mogły wjechać. Ale teraz, wielkie metalowe drzwi garażowe – który były długie na około trzy auta – były zamknięte, i metalowy łańcuch z kłódko zabezpieczał skobel po każdej stronie drzwi. Patrząc w górę Dean zauważył, że drzwi otwierały się i zamykały automatycznie, co oznaczało, że aby je otworzyć będzie potrzebował pilota, nawet jeśli udałoby mu się rozbroić kłódki. Próbując coś dojrzeć w słabym świetle latarni kilka metrów dalej – była jedna bliżej, ale się przepaliła – Dean zauważył, że łańcuchy były zabezpieczone tymi nowymi kłódkami, które podobno były antywłamaniowe. W prawdziwym świecie oznaczało to, że otworzenie ich w dobrym świetle zajęłoby mu piętnaście minut, a nie jak zwykle, dwie. Prawdopodobnie mógł to zrobić, ale już raz ktoś nasłał na niego gliny, a te drzwi garażowe były dużo bardziej widoczne, niż tylne drzwi i musiał otworzyć dwa zamki, co zajęłoby wieczność. Nie warte ryzyka.

Potem zauważył małe drzwi w drzwiach garażowych, które miały tylko zwykły zamek. Wiedział, że może to otworzyć w pół sekundy.

Jak zwykle Dean zastanawiał się nad ludzką głupotą. Wydają kilkanaście tysięcy złotych na alarmy, ale nigdy nie zmieniają kodu z tego, który zaprogramował producent, albo gorzej – zmieniają go na coś tak oczywistego jak ich urodziny, albo adres domu. Albo mają cztery zamki w drzwiach, ale okno zostawiają otwarte na oścież, bo było za gorąco. Ludzie byli lepsi w tworzeniu iluzji bezpieczeństwa, niż w byciu naprawdę bezpiecznym.

A właściciele tego garażu byli tacy sami. Zaglądając przez bardzo małe i bardzo brudne okienka w drzwiach garażowych Dean widział kilka samochodów i wielkie blokady, które zabezpieczały je od kradzieży. Ale przez zostawienie drzwi z takim zamkiem aż zapraszali złodziei, a każdy lepszy z nich bez problemu poradziłby sobie z dostaniem się do środka i wyniesieniem części wyposażenia, albo części samochodów.

Translate_Team

Sięgając do kieszeni wyjął wytrychy i w ciągu kilku sekund drzwi były otwarte.

Wtedy właśnie rozbrzmiał głośny pieczący sygnał. Wystarczająco głośny, żeby prawie rozwalić bębenki Deana.

Rozglądając się szybko, zlokalizował panel alarmu i podbiegł do niego. Rozpoznał model i wiedział, że potrzebuje tylko trzech numerków, więc wpisał numer garażu z naprzeciwka.

Hałas urwał się, kiedy tylko wcisnął enter. *Głupota ludzka…*

Kiedy już uciszył alarm, podbiegł powrotem do drzwi i je zamknął. *Nie ma sensu rozgłaszać włamania.* Jedynym gliną jakiego chciał spotkać podczas tej podróży to McBain.

Dean zastanawiał się, czy nie zostawić jakiejś pamiątki swojego pobytu, tylko po to, żeby czegoś nauczyć czegoś Manny'ego i jego pracowników, że ich system antywłamaniowy był kiepski. Kiedy był około jedenastoletnim dzieciakiem, szukał aut ze znakiem „Nie Ma Radia". Brał wtedy jeden z popularnych modeli radia i rzucał nim w okno najmocniej jak dał radę. Doczepiał do nich notkę, na której pisało TERAZ JUŻ JEST. Serio, czy ktokolwiek myślał, że ten znak naprawdę powstrzyma ludzi przed włamywaniem się do ich aut?

– O podstrunnica! – ktoś krzyknął w pokoju na tyłach, kiedy coś metalowego spadło na podłogę.

Deanowi opadła szczęka. Podstrunnica?

Powoli, wyjmując zza paska z tyłu spodni broń, podszedł do wejścia do pokoju, obok dwóch Geo Metrosów i Priusa. Przez sekundę patrzył na Priusa z pożądaniem – nie przez jego elegancję, ponieważ był to okropnie brzydki samochód, ale przez jego małe spalanie paliwa. Impala miała wiele zalet, ale żarła paliwo jak skurwysyn, a za pięć do sześciu złotych za litr coraz trudniej było ją zatankować.

Kiedy już przeszedł obok Priusa zobaczył, że ktoś machał z tyła latarką. Drzwi do pomieszczenia były uchylone i wisiała na nich plakietka z wyblakłym, złotym napisem BIURO.

Dean powoli podszedł do drzwi i zobaczył niskiego faceta z łysym kołem na szczycie głowy, otoczonym cienkimi, brązowymi włosami. Facet klęczał, był zwrócony tyłem do Deana, więc tylko tyle zauważył, ale widział też, że mężczyzna nakładał jakiś biały proszek na czerwonym, orientalnym dywanie. Miał na sobie brązowy, poliestrowy garnitur, który pasowałby do sprzedawcy tanich aut, albo na kimś, kto lubi w weekendy pograć w golfa.

Mężczyzna szeptał coś pod nosem. Dean nie mógł połączyć niczego, co ten facet robił z rytuałem Samuela, ale nie oznaczało to, że nie było to jego częścią.

Kopiąc w drzwi, aby je otworzyć, Dean odbezpieczył broń i krzyknął:

– Nie ruszaj się.

Translate_Team

Trzeba mu przyznać, Gościu W Brzydkim Garniturze, natychmiast przestał mruczeć i podniósł ręce, na których miał upaprane lateksowe rękawiczki.

– Proszę, to bardzo ważne, żebyś mnie wysłuchał. Rozumiem, że włamałem się do miejsca, w którym pracujesz, ale jeśli nie pozwolisz mi ukończyć tego rytuału, ktoś umrze. Pewien szaleniec zabija ludzi, aby wskrzesić zmarłych, a ja muszę go powstrzymać zanim znów zabije.

Dean zmarszczył brwi. Nie takiej reakcji się spodziewał.

A potem facet się odwrócił i Dean rozpoznał duży nos, małe oczka, cienkie usta i podbródek ze zdjęcia na stronie entuzjastów Poego.

– Jesteś Arthur Gordon Pym.

Paciorkowate oczka rozszerzyły się najbardziej jak mogły.

– Obawiam się, że jest pan w lepszej sytuacji ode mnie, sir – chyba, że jest pan Mannym ze znaku przed…

– Zamknij się na sekundę, dobra, Artie? I tak, jestem w lepszej sytuacji od ciebie, bo mam broń. I wiem również, że twoje prawdziwe imię brzmi Arthur Mackey, że żyjesz w Bronxie, że jesteś właścicielem Pendulum Pit Inc., oraz, że to ty próbujesz wskrzesić Poego, więc możesz przestać wciskać kity, dobra?

Powoli wstając i – jak zauważył Dean – uważając, aby nie wykonać żadnych gwałtownych ruchów, Mackey powiedział:

– Mogę pana zapewnić, że nie mam zamiaru nikogo wskrzeszać. Edgar Allan Poe jest całkiem martwy i będę szczęśliwy jeśli takim pozostanie. Widziałem już kiedyś wskrzeszone zwłoki i – Mackey wzdrygnął się – są raczej niepokojące.

Pamiętając zombie–laskę, która złamała rękę Sama, Dean podzielał jego uczucia, ale nie miał jeszcze ochoty mu wierzyć.

– Skąd wiesz o zaklęciu wskrzeszającym?

– Znalazłem je w Walijskiej Bibliotece na pobliskim Uniwersytecie Fordham. Zastanawiam się jednak, skąd pan o nim wie – oraz kim pan jest.

– Taa, cóż, zastanawiaj się dalej, bo to nadal ja mam broń i...

„Smoke on the Water” dobiegał z kieszeni Deana. Potem dźwięki ustały. Znów się zaczęły.

Trzymając jedną ręką pistolet, sięgnął do kieszeni i otworzył telefon. Dwa nieodebrane połączenia od Sama, co oznaczało, że albo miał kiepski zasięg, albo Sam dawał mu znać, że był w tarapatach i potrzebował pomocy, ale nie mógł rozmawiać.

Po krótkim przemyśleniu, Dena machną pistoletem.

– Wstawaj, Artie. Idziesz ze mną.

– Przepraszam pana, ale muszę zlokalizować mordercę zanim...

– Jeśli te telefony znaczą to, co myślę, że znaczą, to mój brat już go znalazł.

Cienkie usta Mackey'a zacisnęły się do tego stopnia, że praktycznie zniknęły.

– Pański brat?

Translate_Team

Łapiąc klapy okropnej marynarki Mackeya, Dean wywlókł go z biura.

– Po prostu rusz dupsko, Artie.

Ciągnąc Mackeya przez garaż wrócił do drzwi.

– Proszę pana, muszę zaprotestować przed takim traktowaniem. Jeśli twój brat – kimkolwiek jest i kimkolwiek pan jest – znaleźliście mordercę będę szczęśliwy mogąc przyjść i asystować jak tylko mogę, ale...

Dean się zatrzymał, odwrócił i przycisnął lufę pistoletu do brody Mackeya.

– Czy ty się kiedykolwiek zamykasz?

Mackey przełknął ślinę, jego jabłko Adama poruszało się pod lufą pistoletu.

Prychając, Dean opuścił pistolet, zabezpieczył go i włożył za spodnie na plecach, po czym wyszedł na ulicę. To był kolejny powód żeby uniknąć uwagi któregokolwiek z członków NYPD poza McBain – prawo dotyczące broni palnej w tym stanie było jednym z najgorszych w kraju. Oczywiście z zarzutem morderstwa, była to najmniejsza z jego obaw, ale była to również jedna z tych rzeczy, które przyciągały uwagę.

Podeszli szybko do rogu ulicy, a potem do drzwi frontowych, przez które miał przejść Sam.

Wątpliwości Deana co do sposobu, w jaki miał się dostać do budynku szybko zostały rozwiane, kiedy zobaczył, że Sam stał w wejściu, przytrzymując je otwartymi nogą. Nie ruszał się, ale Dean słyszał, jak ktoś coś mówił.

Patrząc na Mackeya, przyłożył palec do ust. Mackey kiwną głową i został za Deanem, kiedy oboje przeszli kilka schodków do drzwi frontowych. Dean wyciągnął pistolet. *Pieprzyć prawa o broni palnej, jeśli ktoś zadziera z moim bratem.*

Teraz mówił Sam, unosząc ręce w uspokajającym geście. Jego Treo był w lewej ręce, co wyjaśniało jak wysłał sygnał Deanowi.

– Słuchaj, rozumiem przez co przechodzisz, al...

– I mówię ci *teraz*, że to nie jest *dobre*, co *prawica* robi w tym kraju, nie jest *dobre* i *prawica* musi wiedzieć co jest *dobre*, bo to nie jest *dobre*, czaisz? Tak? *Tak?*

– Oczywiście, że tak, a teraz proszę, niech pan odłoży broń.

Kurwa. Wyglądało na to, że jakiś krejzol z bronią zapomniał wziąć leki i wyżywał się na Samie. Nie mieli na to czasu.

Dean podszedł do Sama i stanął obok niego. Teraz widział łysego afroamerykanina w podkoszulce i bokserkach wymachującego rewolwerem na tyle szybko, że nie mógł dostrzec czy był zabezpieczony, czy nie. Nie chciał się dowiedzieć, kiedy już będzie miał gdzieś dziurę. Mężczyzna chodził tam i z powrotem wąskim korytarzem, zaraz obok otwartych, metalowych drzwi.

– Sam? – zapytał, celując pistoletem w ogoloną głowę faceta, podążając za jego ruchami.

Translate_Team

– Kto to? Jesteś jeszcze jednym? Następny urzędas? Nie będę więcej słuchał was białasów z waszymi tabletkami i waszym rządem i waszych lekarzy. Koniec! Spuściłem te tabletki w kiblu, niech aligatory je zeżrą, tak zrobiłem! Nie będą mi mówili, że potrzebuje tabletek, jak mi nic nie jest!

– Proszę pana – powiedział Sam najbardziej racjonalnym tonem. – Zapewniam pana, że nie jesteśmy z rządu. Próbujemy powstrzymać mordercę i...

– Więc jesteście glinami? Nie lubię glin, gliny zabierają mnie do szpitala i znowu mi dadzą tabletki! Nie biorę tego, czaisz?

– Nie, proszę pana. Jesteśmy prywatnymi detektywami. Policjanci nie mogli sobie z tym dać rady.

– Jasne, że nie mogli. Żaden glina nic nie wie w tym mieście.

– Ale proszę pana – powiedział Sam – nie możemy znaleźć mordercy, jeśli nie wpuści pan mnie i mojego partnera.

Dean się skrzywił. Sam jeszcze nie widział Mackeya i miał nadzieję, że facet nie straci całkowicie panowania nad sobą, kiedy się dowie, że Sam miał dwóch partnerów.

– Może jest pan w stanie nam pomóc – powiedział Sam. – Jeśli nam pan pomoże będzie pan bohaterem.

To w końcu sprawiło, że facet przestał krążyć, co jak nic innego dało Deanowi czysty strzał.

– Bohaterem? Jak Superman?

– Dokładnie proszę pana. Jak Superman. Powstrzyma pan okropnego zabójcę i będzie pan w gazetach i telewizji.

– To byłoby dobre. Lubię telewizję. Poza wiadomościami, nie lubię tego, ale Oprah jest fajna. Wie co się *dzieje*, wie co jest *dobre*, nie jak *prawica*, oni nie wiedzą co jest *dobre*.

– Proszę pana, może mi pan powiedzieć, czy którekolwiek z mieszkań w tym budynku jest puste?

Dean spojrzał na swojego brata, zastanawiając się, czy Sam naprawdę spodziewał się odpowiedzi od tego psychola.

– Mówią, że puste, ale kłamią, wiem dokładnie co się tam dzieje. W 2B, mówią, że nikogo tam nie ma, ale ja wiem, że planują, że planują i robią różne *rzeczy* tam na górze, mówię wam *teraz*, że to nie *dobre*, co *prawica* tam robi, a oni to robią tu w 2B, to jest *cholernie* pewne, mam *rację*, tu i *teraz*!

– Dobrze, dziękujemy panu. – Sam opuścił ręce. – Jeśli to w porządku to sprawdzimy mieszkanie 2B, dobrze?

– To nie *dobre*, co *prawica* robi, tuż tan na górze, *czaisz*?

– Wiem, proszę pana – powiedział Sam. – Wiem, dlatego zamierzam to powstrzymać.

– Powiesz tym ludziom, że to był Omar, co ci pomógł. Żadnego nazwiska, bo to będzie moje niewolnicze nazwisko, co mi je *prawica* dała, a oni nie mają *prawa*, robić tego moim *prawom*, czaisz?

– Oczywiście, Omar. Powiemy dziennikarzom, że pomógł nam pan schwytać mordercę, któremu nie mogli dać policjanci.

Omar pokiwał głową tak szybko, że Omar myślał, że głowa mu odpadnie.

– Jasne, kurwa, że tak. Pieprzeni gliniarze. Pieprzeni gliniarze, nie mogliby znaleźć pieprzonego nic.

– Dziękuję ci, Omar. Naprawdę to doceniamy.

– Nie ma strachu, bracie. Złap mordercę i pokaż tym z *prawicy*, że nie mają *prawa* dawać tabletek, jak ludzie ich nie potrzebują.

Sam skinął głową.

– Tak zrobimy.

– Dobrze.

Po tym Omar zniknął przez metalowe drzwi i je zamknął.

– No, *to* było zabawne.

– Musimy się spieszyć – powiedział Mackey.

Sam się odwrócił i spojrzał w dół na Macheya, który naciągał czystą parę lateksowych rękawic.

– Jesteś Arthur Gordon Pym.

– Zdaję się być dość znaną osobistością – powiedział sucho. – Tak, jestem Pymem i nie możemy przeciągać, skoro mamy mordercę do złapania.

Patrząc na Deana, Sam powiedział:

– Nie on jest zabójcą?

Dean wzruszył ramionami.

– Znalazłem go, kiedy odprawiał jakiś rytuał w biurze mechanika.

– Podsłuchiwałem, żeby znaleźć lokalizację zaklęcia.

– To nie jest zaklęcie, Artie – powiedział Dean.

Mackey odsunął się, jakby Dean go spoliczkował.

– Przepraszam?

Sam powiedział:

– Jesteśmy całkiem pewni, że zaklęcie do niczego się nie nadaje, panie Pym. Więc jeśli próbował pan zaklęcia lokalizującego, nie podziałałoby ono. Nie ma tu prawdziwej magii. Tak myślimy.

– Cóż, mimo że często jestem chętny wziąć sobie do serca słowa dwóch osiłków, których nigdy nie spotkałem, to jednak wolę wierzyć swoim własnym, sprawdzonym metodom, niż bajaniom młodzieży.

Podnosząc pistolet Dean powiedział:

– Um, Artie? Nadal mam broń.

– Wejdźmy na górę – powiedział Sam, – zanim ktoś inny zauważy, że tu jesteśmy.

Cała trójka weszła do wąskiego korytarza, która pokryta była brudem i kurzem, który wyglądał jakby pamiętał czasy sprzed narodzin Deana.

– Skąd tak w ogóle przyszedł Omar? – zapytał Dean.

Sam wzruszył ramionami.

– Po prostu wyskoczył do korytarza, machając bronią i mówiąc coś bez sensu jak idiota. Nie byłem pewien, czy uda mi się go uspokoić, więc wezwałem ciebie.

Na końcu korytarza była wąska klatka schodowa, która okręcała się o 360 stopni zanim dosięgła kolejnego piętra. Dean zastanawiał się, jak ktoś wnosił na górę meble.

Na holu unosił się również słaby zapach moczu. Kiedy tylko dotarli do szczytu schodów, Dean zaczął prowadzić, idąc do drzwi z nowym, błyszczącym, napisanym na złoto znaczkiem 2B. Założył, że skoro było puste i zapewne pokazywane, to gospodarz chciał, żeby wyglądało dobrze. To było jedyne oznaczone mieszkanie z czterech na tym piętrze, mimo że widział dziury po dwójce i towarzyszących literach.

Potem usłyszał dźwięk pękającego drewna.

Odwracając się, żeby dać sygnał Samowi Dean został zepchnięty na bok przez Mackeya, który krzyknął:

– Musimy się tam dostać, *teraz*!

Następnym razem krzycz głośniej, ktoś w New Jersey na pewno cie nie dosłyszał, pomyślał Dean gniewnie, kiedy Mackey złapał klamkę przez rękawiczkę i nacisnął, otwierając drzwi.

Teraz Dean wyraźni słyszał pękające drewno, a ponieważ mieszkanie, które Mackey otworzył nie miało w sobie nic poza drewnianą podłogą, założył, że to była ona. *Czy jedna z opowieści Poego nie była o ukrywaniu zwłok w podłodze?*

Mackey zaczął biec, potknął się i upadł na twarz.

Dean spojrzał w dół i zauważył, że ktoś rozwinął kabelek kilka kroków od wejścia.

Dean i Sam oboje wbiegli do mieszkania, przeskoczyli kabel i wbiegli do następnego pokoju, skąd dochodził dźwięk.

Albo raczej próbowali. Mackey wybrał moment, kiedy Sam nad nim przebiegał, żeby się podnieść i zaplątał się w jego długie nogi sprawiając, że oboje upadli.

Dean przeszedł nad obydwoma, podczas gdy Sam praktycznie skopał z siebie Mackeya.

– Nie ruszaj się! – krzyknął Dean, wbiegając z pistoletem w gotowości.

Translate_Team

Ale zobaczył tylko dwie nogi znikające za oknem na przejście pożarowe. Smród rozkładającego się mięsa dotarł do nosa Deana.

Dean pobiegł prosto do okna, tylko na sekundę się odwracając:

– Zostań z tym dupkiem! – powiedział do Sama, wskazując na Mackeya, który praktycznie wtoczył się do pomieszczenia, strzepując kurz z garnituru. Dean zauważył również kilka kawałków oderwanej drewnianej podłogi.

Odwrócił się i wybiegł przez okno.

Jak, do cholery, mogliśmy o tym zapomnieć? Jeśli dobrze pamiętał opowieść Poego, ofiara została zabita, pokrojona na kawałki i ukryta pod deskami w podłodze. To było „Serce Oskarżycielem", jedna z lepszych – bo była krótka. Czy ich gościu popełnił morderstwo cichaczem?

To było pytanie na później. Teraz musiał go złapać. Ciemna figura już była na chodniku przy 199th Street. Dean wcisnął się w ciasne otwarcie i na metalową drabinkę, która prowadziła na ulicę.

Jego stopy uderzyły w chodnik i Dean zgiął kolana, aby zaabsorbować uderzenie. Odwracając się zobaczył, że jego zwierzyna dobiegła do następnej ulicy – Decatur Avenue – i skręcił w lewo. Dean zaczął za nim biec, szczęśliwy, że w końcu dostało mu się trochę akcji, miał już dość siedzenia. Kiedy biegł w górę na następną ulicę, zaczął wymyślać kolejne sposoby na skopanie dupy temu gościowi, zwłaszcza, że zdążył popełnić *kolejne* morderstwo, zaraz pod ich nosami.

Jednak kiedy tylko dobiegł do rogu 199th i Decatur, światła samochodu rozbłysły wprost na jego twarz. Podnosząc jedną rękę, aby chronić oczy, drugą wycelował, ale auto jechało ku niemu w dół ulicy Decatur.

Dean nie widział nikogo za kierownicą, kiedy auto koło niego przejeżdżało, a przez jasne światła samochodu i brak księżyca nie widział nic, co pomogłoby mu rozpoznać samochód, poza faktem, że był to ciemny sedan.

– Cholera! – krzyknął, nie przejmując się kto go usłyszy.

Dean wrócił do budynku i z powrotem wspiął się wyjściem pożarowym. Wchodząc frontowymi drzwiami ryzykowałby kolejne spotkanie z Omarem, a nie był pewien czy w obecnym nastroju po prostu by go nie zastrzelił.

Oczywiście Artie Mackey to inna historia.

Wchodząc przez okno, Dean powiedział zanim Sam mógł zapytać:

– Zgubiłem go.

– Kurka! – powiedział Mackey. Sam na niego spojrzał.

– Nie wiedziałem, że ktoś tak mówił, poza postaciami z komiksów.

Machey wzruszył ramionami:

– Mam dwoje dzieci, więc staram się używać odpowiedniego języka. Szkoda, że nie udało ci się schwytać mordercy.

– Ta – powiedział Dean, nie chowając pistoletu – cóż, jakbyś nie wpadł tutaj jak jakiś *amator*, to pewnie byśmy skurwysyna już złapali.

Translate_Team

Mackie znów wyglądał, jakby Dean go spoliczkował, co było ostatnią na liście rzeczy, które Dean chciał mu zrobić.

– Przepraszam?

– Przepraszaj ile chcesz, nie zamierzam wybaczać. Złapalibyśmy skurwiela, gdybyśmy nie byli zajęci potykaniem się o ciebie – albo gdybyśmy się mogli tutaj zakraść. A teraz ktoś nie żyje. – Dean trzymał broń skierowaną na Mackeya. – Daj mi powód, dla którego nie powinienem sprawić, żebyś był tak samo martwy, Artie?

Mackey zaczął się pocić.

– Proszę, to naprawdę nie moja wina...

– Dean – powiedział Sam stanowczym tonem.

– Co?

– Nie mogliśmy nikogo uratować.

– Co to, do cholery ma...

– Szczątki... były tu od kilku dni.

Mackey spojrzał na Sama

– Co?

Dean opuścił pistolet i schował go za pasek spodni. Lufa pistoletu była zimna w zetknięciu z jego plecami.

Spojrzał przez dziurę w podłodze. Poczuł smród rozkładającego się mięsa i musiał się odwrócić, ale nie przed tym, jak zobaczył części ciała, pocięte na kawałki i rozkładające się.

– Masz rację – powiedział Mackey – ten biedak zginął kilka dni temu. – Pokręcił głową. – Ale to nie ma sensu. Piołun jest świeży, a dzisiaj jest nów.

Sam wyglądał jakby na coś wpadł.

– To ma sens.

– Jak? – zapytał Dean. – Facet w ścianie został zabity podczas pełni, a dzieciaki zostały pobite, kiedy księżyc był w ostatniej fazie, nie?

Sam pokręcił głową i wykonał rękami ruch oznaczający „nie”.

– Masz rację, ale śmierci to były krytyczne momenty tych dwóch historii, ale w „Serce Oskarżycielem”...

– Oczywiście! – zakrzyknął Mackey. – Momentem kulminacyjnym nie jest moment śmierci staruszka, a moment, kiedy morderca odrywa deski podłogowe, aby ujawnić pocięte zwłoki.

Sam kiwną głową w stronę Mackeya, a potem spojrzał na Deana.

– To to odtwarzał.

– Kimkolwiek jest. – Dean spojrzał spod byka na Mackeya. – Dzięki tobie nigdy...

Podnosząc obie dłonie, Mackey powiedział:

– W porządku, już wystarczy. Nawet nie wiem, kim wy dwaj jesteście i...

– Sam Wincheter, to jest mój brat Dean.

Translate_Team

Dean posłał bratu poirytowane spojrzenie. Nie miał ochoty dzielić się czymkolwiek z tym matołem.

Ale Makeyowi opadła szczęka.

– O, dobry Boże! Jesteście braćmi Winchester? Muszę powiedzieć, że jestem zaszczycony móc was spotkać. Tyle o was słyszałem i oczywiście spotkałem waszego ojca. Jest dziwnym mężczyzną.

Mężczyźni wymienili następne spojrzenie. Z jakiegoś powodu ostatnie ich nie zdziwiło.

– Muszę powiedzieć, że wszystko co o was słyszałem jest dobre, a dzisiejszy dzień tylko to potwierdził, zwłaszcza, że tak łatwo udało wam się mnie znaleźć. – Mackey klasną w dłonie. – Cóż, szkoda, że nie powiedzieliście wcześniej, chętnie oddałbym pałeczkę parze tak zaznajomionych z tematem łowców, jak wy. Obawiam się, że więcej czasu spędzam w bibliotece niż na prawdziwych łowach, ale kiedy zobaczyłem te morderstwa związane z Poem, musiałem działać. To przecież moja specjalność. Poza tym, policja nie chciała mi wierzyć.

Dean ignorował spojrzenie Sama, które mówiło „a nie mówiłem".

– I mówicie, że to zaklęcie jest fałszywe?

– Ta – powiedział Dean. – Samuels wszystkich oszukiwał. Tylko głupi i zaślepieni ludzie mu wierzyli – dodał.

Sam wyjął swojego Treo.

– Do kogo dzwonisz? – zapytał Dean.

– McBain. Nie ma sensu, żeby tam dłużej siedziała.

– Znacie detektyw McBain? – zapytał Mackey.

– Tak – powiedział Sam, – sprawdza na rogu Fortham i....

– Co? Na St. Nicholas of Tolentine? – Mackey się zaśmiał, co dla Deana brzmiało bardziej jak umierająca wiewiórka. – Nie bądźcie śmieszni. Pieczęć musi być ustawiona w odpowiedniej kolejności inaczej wskrzeszenie nie zadziała.

– Nie zadziała nie ważne co – powiedział Dean przez zaciśnięte zęby.

– Żaden z naszych dokumentów tego nie powiedział – powiedział Sam, a potem do telefonu – detektyw McBain? Sam Winchester. Mam dobre i złe wieści.

Podczas gdy Sam rozmawiał z McBain, Dean jeszcze raz przyjrzał się powydzieranym deskom. Potem wyciągnął z kieszeni chusteczkę i podszedł do okna.

– Pomóż mi z tym, Artie.

– Z czym potrzebujesz... ach, tak, wycierasz odciski palców. Wiesz, jak na kogoś, kto nazwał mnie amatorem, popełniasz okropnie dużo błędów. Jestem zdziwiony.

Dean skupił się na wytarciu całego okna i ignorowaniu gadaniny Mackeya. Faktem było, że nienawidził rękawiczek i naprawdę przeszkadzały mu w używaniu

broni. Wytarcie okna prawdopodobnie zmyło również odciski przestępcy, ale nie było innego wyjścia. Wycierając, zapytał:

– Więc Artie, masz dzieciaki tak?

– Tak. To jeden z powodów dla których nie robię nic niebezpiecznego. Nie mogę zostawić dzieci bez ojca, prawda?

Jakimś cudem Deanowi udało się nie zareagować. Kiedy Mackey wspomniał ojca, zrobił to w czasie teraźniejszym, więc nie wiedział o jego śmierci. Nie, żeby miał teraz ochotę płakać na ramieniu Mackeya. Po prawdzie to nadal miał ochotę go zastrzelić.

Sam schował swojego Treo.

– McBain chce, żebyśmy się spotkali w jej punkcie obserwacyjnym.

– Po co?

– Wymyślić co dalej.

Dean prychnął.

– No proszę cię Sammy, wystarczy, że mamy tutaj Pana Teatrzyka, nie musimy jeszcze zapraszać na imprezę Pani Policjantki.

Wszystko co dostał w odpowiedzi to opatentowane Rozwścieczone Spojrzenie Dezorientacji Sama i Dean machnął na niego ręką.

– Dobra, wa–kurwa–lić to.

Ale nie lubił tego, jaki się robił tłok. Za każdym razem, kiedy z kimś współpracowali coś szło nie tak: Jo w Philadelphii; Gordon Pogromca Wampirów w Montanie; nawet kiedy robili coś z ojcem, coś szło nie tak.

Ale Sammy musiał robić z siebie Pana Podzielmy Się Troskami, więc po prostu dał temu spokój.

Zeszli na dół, zostawiając Mackeyemu zadanie zamknięcia drzwi do mieszkania 2B, skoro to on miał te durne rękawiczki, a potem pojechali – Sam i Dean w Impali, a Mackey w swoim poobijanym Civicu – do Fordham Road i MLK Boulevard. Sam znalazł miejsce parkingowe na Fordham, a McBain czekała na nich przy bramie do parku, która była o tej porze zamknięta. Mimo że przy poprzednim spotkaniu miała na sobie garnitur, tym razem ubrała dobrze dopasowany niebieski podkoszulek i tego samego koloru jeansy. Na to narzuciła lekki żakiecik, żeby zakryć broń.

Forham była dużą drogą i jeździło tu dużo samochodów. Nawet tak późno w nocy. Na jednym rogu ulicy stał ogromny szary kościół z dwoma wieżyczkami, na którym wisiał transparent informujący, że w tym roku przeżywał on 100 urodziny.

Bez wstępu McBain powiedziała:

– Proszę powiedzcie mi, że wyczyściliście to miejsce.

– Nie dotykaliśmy niczego – powiedział Sam, podnosząc ręce w obronnym geście.

– Poza oknem – powiedział Dean, – ale je wyczyściłem.

Translate_Team

– Um – powiedział Mackey, – ja miałem rękawiczki.

McBain po raz pierwszy zauważyła Mackeya.

– Arthur, co ty tu do cholery robisz?

– Znasz tego gościa? – zapytał Dean.

– To on mnie powiadomił o tym nonsensie. – Spojrzała na niego wilkiem. – Powiedział również, że nie zamierzał się w to mieszać.

Mackey spojrzał w dół.

– No cóż, nie mogłem tak po prostu siedzieć i nic nie robić, prawda?

– Cóż, mogłeś.

Dean nie mógł powstrzymać uśmiechu, kiedy zobaczył jak Mackey próbował zrobić się mniejszy. Ale uśmiech szybko zszedł mu z twarzy, kiedy przypomniał sobie, że ogólnie to mieli przekichane.

– Słuchaj, nic teraz nie mamy. Mamy jeszcze osiem cholernych dni do kolejnej fazy księżyca, a my nie mamy nic.

– Cóż, skoro nie zanieczyściliście za bardzo miejsca zbrodni, mogę je zgłosić. Może laboratorium coś tam znajdzie – McBain westchnęła. – Ale nie liczyłabym na to. Laboratorium jest zawalone robotą aż do przyszłego roku. Jedynym miejscem zbrodni, które ma priorytet jest to z dzieciakami, bo naciska na nas uniwersytet, ale nie ma nic bardziej bezużytecznego niż ulica jako miejsce zbrodni, zwłaszcza w wietrzną noc. Ale Reyes i kimkolwiek jest facet, którego właśnie znaleźliście... to zajmie dwa tygodnie.

Uśmiechając się Dean powiedział:

– Czyli nie mamy nic.

– Tak, odstający końcu, nie mamy nic, zadowolony?

– Nie do końca. Jedyne co wiemy, to to, że ostatnia część będzie się działa w następny wtorek gdzieś w tej okolicy – wskazał na drogę za nim – i nie mamy pojęcia kto to. Do dzisiaj on – wskazał na Mackeya– był tym, na kogo stawiałem.

– Dziękuje bardzo – mruknął Mackey.

McBain pokręciła głową.

– Nie, powinnam wam powiedzieć, że to nie on. Znam go od lat.

– Ta, cóż, znam cię dwie i pół sekundy – powiedział Dean – i nadal nie jestem przekonany, że nie współpracował z naszym mordercą.

– Próbowałem wam pomóc! – Mackey praktycznie piszczał.

Sam w końcu przemówił:

– I głównie nam przeszkadzałeś. Przepraszam, panie Mackey, ale pasuje pan do naszego profilu. Ma pan obsesję na punkcie Poego...

– Nie mam obsesji. Tak, studiowałem Poego przez dłuższy czas, ale to wcale nie robi ze mnie mordercy. Czy może będziecie podejrzewać każdego, kto studiował Poego szczegółowo, a nie tylko zbierał informacje z internetu? – pokręcił

głową. – Jeden z nich przesyłał me maile, mówiąc mi, że to wszystko zbieg okoliczności.

To przykuło uwagę Deana.

– Kto to był?

– Ktoś z Fordham. Doktor dziewiętnastowiecznej literatury. Ironiczne, ponieważ to z jego gazet dowiedziałem się o Percivalu Samuelsie, ale to tylko oznaczało go, jako spirytualistę.

Dean spojrzał na Sama.

– Brzmi jak ktoś, z kimś powinniśmy porozmawiać.

McBain spojrzała na nich.

– Co? Po prostu zamierzacie wejść na kampus i z nim porozmawiać?

Mackey powiedział cicho:

– Um, nazywa się Dr. Ross Vincent.

– W porządku. – Dean wzruszył ramionami. – Wejdziemy i powiemy, że jesteśmy z „Dziennika Studiów Poego", albo coś.

Wywracając oczami McBain powiedziała:

– Wy naprawdę nie macie pojęcia co robicie.

– W czym widzisz problem? – zapytał Sam.

– Jest doktorem, idioto. Będzie znał wszystkich z Dziennika.

Dean wzruszył ramionami.

– To będziemy glinami.

Na to McBain wybuchnęła śmiechem.

– Wy dwoje. Jako gliny. Ta. Powiedz mi, odstający końcu – jak udało wam się nie umrzeć, co?

Jeżąc się, Dean powiedział:

– Świetnie daliśmy sobie radę, dzięki za troskę. I chciałbym...

Sam mu przerwał, co prawdopodobnie był dobrym posunięciem, ponieważ McBain również była uzbrojona, a jej pistolet był w łatwej do dosięgnięcia kaburze naramiennej, a nie przy spodniach, więc prawdopodobnie mogła wyciągnąć broń szybciej niż on.

– Zwykle nie zostajemy w mieście na tyle długo, żeby ktoś zdążył nas sprawdzić. – Sam się uśmiechnął. – Albo, kiedy już to zrobią rzeczy mają się już na tyle źle, że bardziej interesuje ich nasza pomoc niż to, kim jesteśmy.

– Ta, cóż – powiedziała McBain, kręcąc głową, – mieliście szczęście. A szczęście zawsze prędzej czy później się kończy. To pierwsze, czego się w tej robocie uczycie.

Marszcząc brwi Sam zapytał:

– Masz na myśli pracę policjanta, czy łowcy.

McBain patrzyła na Sama swoimi dużymi, brązowymi oczami.

– W obu.

Translate_Team

Wszyscy przez chwilę byli cicho zanim Mackey powiedział:

– Cóż, jest późno i żona będzie się martwić. Potrzebujecie czegoś jeszcze?

– Trzymaj się od tego z daleka, dobra Arie? – powiedział Dean.

Mackey się skrzywił.

– Tak, cóż, miałem wystarczająco wrażeń jak na jedną noc. Będę szczęśliwy mogąc wam to zostawić. W przeciwieństwie do waszego ojca, jestem pewien, że doskonale dacie sobie radę.

To przykuło uwagę Deana.

– Co to miało znaczyć?

Podchodząc do Civica Mackey powiedział:

– Mam na myśli, że jesteście w tym lepsi niż wasz ojciec. Co chyba poprawia mi nastrój. Dobrze zobaczyć, że kolejna generacja się polepsza.

Po czym wsiadł do samochodu i odjechał w dół stromej Fordham Road, jadąc w stronę drogi szybkiego ruchu Major Deegan.

Dean nie wiedział jak się przez to czuć. To nie pierwszy raz, jak się dowiedzieli, że on i Sam mieli reputację. Gordon też o tym wspomniał w Montanie i to dalej go zdumiewało. Nadal miał problemy z zaakceptowaniem faktu, że była tam cała wielka rodzina łowców o której nie miał pojęcia. On i Sam zawsze zakładali, że jedynymi ludźmi, którzy to robili poza ich tatą byli pastor Jim, Caleb i Bobby.

A teraz dowiadywali się, że ich reputacja była lepsza niż taty? To nie miało dla niego sensu. Tata, nie ważne jakie miał wady, był mistrzem.

Prawda?

Sam powiedział coś do McBain i to wyrwało go z zamyślenia. Pytał o Roxy.

Marszcząc brwi, McBain powiedziała:

– Nic mi to nie mówi, ale sprawdzę, kiedy będę w środę w biurze.

– Środę? – powiedział Dean. – Nie pracujesz przez cały tydzień?

– Tak, odstający końcu, pracuje, tylko że od środy do niedzieli. To mój tydzień. I uwierz mi są ludzie, z którymi wolę spędzać mój czas wolny bardziej niż z wami. Więc teraz wybaczcie, ale idę do domu.

Kilka minut zajęło mu odzyskanie spokojnego oddechu. Długo się zastanawiał nad tym kabelkiem w drzwiach, ale ostatnie czego potrzebował to to, żeby ktoś go nakrył. Niby nie było takiego niebezpieczeństwa w nocy, ale ta okolica nie miała najlepszej reputacji, więc nie mógł być pewien, czy puste mieszkanie nie zostanie wykorzystane jako sklep z narkotykami, albo coś.

Ale nie, miał szczęście i to się nie stało.

Zamiast tego stało się coś gorszego.

Nie rozpoznał ludzi, którzy weszli, ale było pewne, że nie byli dilerami narkotyków, albo wściekłymi sąsiadami. Po pierwsze byli zbyt biali na sąsiadów.

Oczywiście to ich automatycznie nie dyskwalifikowało, ale jeśli byliby tylko zdenerwowanymi sąsiadami to wątpił że by go gonili.

Ale z drugiej strony może byli naćpani.

To nie miało znaczenia. Nie złapali go. Zamiast tego pomogli mu, zanieczyszczając miejsce zbrodni nieważnymi rzeczami. Nie żeby zostawił coś za sobą, był bardzo ostrożny, starając się wyeliminować wszystko co mógł.

Oglądał CSI, wiedział ile mogli znaleźć, z odpowiednią technologią.

Nie mogli z nią tylko przywrócić martwych do życia.

Dla tego musiał sięgnąć do czegoś starszego. Długo mu zajęło znalezienie odpowiedniego rytuału, wiele z nich wymagało tego, żeby zwłoki były świeże.

Poe był martwy przez 157 lat. Jedyne zaklęcia, które znalazł, a które pozwalały wskrzesić kogoś tak starego wymagały środków, których nie posiadał.

Poza Percivalem Samuelsem, nie docenianym geniuszem, którego głupcy uwięzili.

Miał tylko nadzieję, że ta trójka była tylko dilerami. Widział tylko tego, który go ścigał, nie zdołał się przyglądnąć pozostałym dwóm.

Trzech załatwionych, został jeden. A potem w końcu odpowiedź będzie moja!

Translate_Team

Rozdział 15

Uniwersytet Fordham
Bronx, Nowy Jork
Środa, 22 listopad 2006

Jak tylko Sam postawił stopę na kampusie Uniwersytetu Fordham, poczuł jak jego serce tłukło się o żebra. Poczuł się tak, jakby powrócił do domu i chciał od razu uciec z krzykiem.

Szczerze mówiąc Fordham nie był podobny do Stanford. Oba kampusy zostały wybudowane w dziewiętnastym wieku, i oba posiadały budynki w najróżniejszych stylach architektonicznych, lecz Stanford charakteryzował się skomplikowaną architekturą bardziej nowoczesnych budynków. Znajdując się w Kalifornii, Stanford miał zasadzonych wiele palm, większość wzdłuż trafnie nazwanej Palmowej Drogi, na mile długiego wjazdu do kampusu, oraz wiele otwartej przestrzeni.

Fordham miał mniejsze tereny zieleni, więcej drzew (ale nie palm), i tendencję do staromodnej architektury z budynkami bardziej ze sobą skupionymi. Centralnym miejscem kampusu był Keating Hall, wybudowany w 1936 roku. Ogromny kamienny gmach, który wyrastał ponad inne budynki na kampusie był zwieńczony sporej wielkości anteną, z której nadawano kampusową stację radiową WFUD. Przed budynkiem Keatinga rozpościerało się Edward's Parade, ogromne zielone pole, okolone chodnikiem i niskim żelaznym ogrodzeniem. Gdyby kiedyś zdarzyłoby mu się zapaść w jakimkolwiek innym miejscu w śpiączkę, po czym obudziłby się na kampusie Uniwersytetu Fordham, nigdy by nie przypuszczał, że jest w Nowym Jorku. Tutaj nawet pachniało inaczej – zielona trawa, zimny kamień i poobijane drewno zwodziły nos, zaś wystarczyło przekroczyć bramę i wyjść na Fordham Road lub na Południowy Bulwar i otaczały cię spaliny samochodowe i śmieci.

W ten zimny listopadowy dzień nie było zbyt wielu studentów na placu, aczkolwiek Sam wyobrażał sobie, że w cieplejsze dni miejsce to było przepełnione skąpo odzianymi studentami opalającymi się lub rzucającymi do siebie Frisbee.

Rozglądając się za bratem postanowił nie dzielić się z Dean'em swoimi wyobrażeniami. To by go tylko rozproszyło.

Ich miejscem docelowym była druga strona placu od Keating Hall, mianowicie Dealy Hall, jeden z dwóch pozostałych kamiennych budynków, stojących przy Edward's Parade, między którymi wznosi się Keating, drugi z nich to Hughes Hall, akademik. Dealy Hall mieści Wydział Języka Angielskiego i byli

Translate_Team

tam umówieni z doktorem Rossem Vincentem podczas jego dzisiejszego dyżuru w gabinecie. Próbują już od wczoraj, ale wcześniej był już zajęty.

Dostojny wygląd zewnętrzny Dealy Hall kontrastował z bardzo tradycyjnym wnętrzem, w środku budynek wyglądał jak korytarz zwykłej szkoły: linoleum na podłodze, ściany pomalowane na jasny kolor, stare drewniane drzwi z małym kwadratowym oknem, przez które widać spore pomieszczenia wypełnione małymi stoliczkami.

- W porządku, Sam? – spytał Dean.

- Uh, taa, - odpowiedział Sam. – Czemu pytasz?

- Masz drgawki.

- Nie prawda, - odpowiedział Sam obronnie, chociaż zdawał sobie sprawę, że ma. – Ja po prostu… to jest dziwne, wiesz?

- Myślałem, że lubisz te całe akademickie coś. Bluszczem porośnięte korytarze, wyższe wykształcenie, i te całe gówno, - powiedział Dean przytakując.

- Taa, a szczególnie martwą dziewczynę, - powiedział dosadnie.

Dean otworzył usta, poczym je znów zamknął.

- Sory, Stary, - powiedział cicho.

Sam złapał się na tym, że nie był w stanie w żaden sposób na to odpowiedzieć. Dean naprawdę rzadko przepraszał za cokolwiek, więc Sam nie chciał zmniejszać wartości tego niezwykłego zdarzenia sarkastycznym komentarzem.

Przeszli na tył budynku gdzie znajdowały się windy. Dean wcisnął górny guzik.

I wtedy czekali.

Kilka epok lodowcowych później nareszcie doczekali się windy, metalowe rozsuwane drzwi otworzyły się w wolnym tempie.

Dean spojrzał na Sama.

- Powinniśmy wejść.

Winda jechała do góry na piąte piętro tak powolnie, że gdyby poruszali się jeszcze o włos wolniej jechaliby zamiast w górę to w dół.

W końcu dojechali na ostatnie piętro budynku i wyszli z windy by zobaczyć małe drewniane biurko, za którym nikt nie siedział, a za nim korytarz ze skrzynkami na listy wiszącymi na ścianie, które prowadziły do serii kabin i biur. Sam wywnioskował, że to gabinet Wydziału Języka Angielskiego, ponieważ za nimi znajdował się jeszcze jeden korytarz z większą liczbą biur.

Przyszedł niski mężczyzna z kędzierzawą rudą brodą oraz z bujną brązową czupryną, ubrany w tradycyjny profesorski strój: sztruksową marynarkę z łatami na łokciach, flanelową koszulę, krawat ciemnego koloru i dżinsy. Sam nie mógł w to uwierzyć – przez cztery lata jego pobytu na Stanfordzie nie widział, żeby ktoś kiedykolwiek ubrał się w ten sposób. Aż do teraz, gdy zobaczył tego faceta.

Translate_Team

- Yolanda? Posłuchaj, ja… - zauważył, że nie ma nikogo przy biurku, przystanął i spojrzał na Sama i Dean'a. – Żaden z was nie jest Yolandą.

- Zgadza się, proszę pana, - powiedział szybko Sam, zanim Dean zaczął komentować. – Przyszliśmy zobaczyć się z Dr Vincentem, byliśmy umówieni.

- Cóż, macie szczęście. Ja jestem Dr Vincent. A wy musicie być panami z Centrum Lincolna. – Zaczął iść w kierunku, z którego przyszedł. – Chodźcie, chodźcie. Porozmawiajmy.

Sam i Dean podążyli za nim na tyły, po czym skręcili w lewo i mijając kilka kabin z lewej strony i jeden gabinet z prawej udali się do osobnego gabinetu, przechodząc najpierw przez drzwi ozdobione różnymi fragmentami upamiętniającymi Poe'go, które w większości Sam rozpoznał z poniektórych przedmiotów z Chatki Poe'go, ale w większości były to reprodukcje okładek książek, jak również kilka pożółkłych komiksów *Far Side*[2].

Vincent zasiadł na dużym skórzanym krześle i zaczął bawić się obrączką na palcu lewej ręki. W pokoju znajdowało się jeszcze tylko jedno krzesło, na którym znajdowały się książki i papiery.

- Więc, który z was to który?

- Um, ja jestem Archie Leach, a to jest Marion Morrison.

Dean wpatrywał się w Sama przez sekundę. Sam zaś starał się utrzymać opanowany wyraz twarzy. W jakiś sposób fakt, że jego *nom de guerre*[3] przy tej rozmowie było prawdziwym nazwiskiem Johna Wayne'a nie wystarczył by zaspokoić rozdrażnienie Dean'a wywołane nadaniem mu imienia „Marion". Oczywiście Dean mógł pomyśleć, że jego wymyślone imię jest z *A Fish Called Wanda*, bo tak było, ale użyto go w tym filmie z takich samych pobudek, co i on – ponieważ to było prawdziwe imię Cary'ego Granta.

Jako odpowiedź na rozdrażnienie Dean'a z Impali, kiedy byli w drodze, na temat imion na które wpadł, Sam tylko wzruszył ramionami i odpowiedział:

- Tak właśnie to wygląda, kiedy to ja wybieram imiona, stary. Przynajmniej bije kolejną parę klasycznego roka.

Dean dąsał się przez resztę drogi do Fordham. Nie, żeby Dean się przyznał do tego, że jest nadąsany, ale Sam nie miał pojęcia jak jeszcze nazwać to coś, co robił swoimi ustami.

- I panowie wybrali zajęcia Dr Lauer, a ona poleciła wam rozmowę ze mną? – spytał profesor.

- Współpracujemy razem przy pracy nad krótkim opowiadaniem na zajęciach kreatywnego pisania u Dr Lauer, - odpowiedział Sam. Sprawdził wcześniej stronę Fordham odnotowując, że mimo iż to jest główny kampus uczelni, nie jest to jedyna lokacja szkoły. Dodatkiem do kampusu Rose Hill w Bronxie, jest

[2] *The Far Side* - http://pl.wikipedia.org/wiki/The_Far_Side
[3] *Nom de guerre (fr.)* – pseudonim, przydomek wojenny

Translate Team

jeszcze college w Centrum Lincolna, w zachodniej części Manhattanu i jeszcze jeden w Tarrytown. Wyszukał nazwisko Lauer jako jednej z nauczycielek uczących kreatywnego pisania. – Miało być o postaci historycznej i my mamy Edgara Allana Poe'a.

Vincent uśmiechnął się, wyciągnął paczkę papierosów i wyciągnął jednego.

- Spokojnie, - powiedział szybko. – Nie zapalę go. Dzięki naszemu absurdalnemu prawu nie mogę nawet zapalić w zaciszu swojego własnego gabinetu. A był to kiedyś taki cywilizowany kampus. Tak czy owak, jestem wdzięczny, że przyszliście do mnie, a nie skierowaliście się w kierunku tych głupich stron internetowych.

- Cóż, przeprowadziliśmy trochę badań w Internecie, i znaleźliśmy taką stronę…

Unosząc niezapalonego papierosa do buzi Vincent powiedział:

- Błagam, Panie Boże, powiedzcie mi, że to nie Wikipedia. Przysięgam, że ta strona powinna być zamknięta. – Pochylił się i położył rękę na czole. – Musiałem zwiększyć ilość stawiania jedynek, ponieważ bezmózgowi studenci myślą, że skopiowanie całej Wikipedii stanowi poszukiwania. Wiecie co raz zrobiłem? Wszedłem tam i edytowałem jedną z ich idiotycznych stron zapełniając ją fałszywymi informacjami. I rzeczywiście, pięciu studentów umieściło błędne informacje na swoich pracach, a moje fałszywe informacje gościły tam tylko przez jeden dzień, akurat w dzień przed oddaniem prac. Tylko się rozpłakać. – Zaczął bawić się papierosem. – Więc, co chcecie wiedzieć?

- Właściwie to strona ta należy do osoby, która nazywa siebie Arthurem Gordonem…

- Pymem? – Vincent skrzywił się i wstał z krzesła. Sam, który stał w drzwiach gabinetu zaraz obok Dean'a, przyglądał się wszystkiemu tęsknym okiem, nawet kiedy Vincent stał koło okna, przyglądał się kilku bezlistnym drzewom i budynkowi administracji, który był zbudowany z bordowej cegły i stał zaraz za Dealy Hall. – Ten pomyleniec nadał Poe'owej wiedzy złe imię. Z jednej strony, wciąż naciska na ostateczną wiedzę, ale w przypadku Poe'go coś takiego nie istnieje. Czasami Poe mawiał, że stroni od sławy i nie dba o nią, ale czasem stwierdzał, że jest zdesperowany na jej punkcie. Czasami wydawał się prototypowym głodnym artystą, innym razem wydawał się być chełpliwym psem na kasę, jak większość społeczeństwa. – Vincent odwrócił się i pokazał na Sama. – No i jego śmierć.

- Myślałem, że umarł przez alkoholizm, - Sam zmarszczył brwi.

Vincent rozłożył ręce.

- Widzisz. To jest dokładnie to, o czym mówię! Skąd pan to wie, panie Leach? Najprawdopodobniej z www.poeroolz.com, lub jakiejś innej niedorzecznej strony. Powinni zamknąć jak nic cały Internet. – Ponownie zasiadł na swoim

Translate_Team

krześle. – Fakt jest taki, że nikt tak naprawdę nie wie precyzyjnie od czego umarł Poe, wiemy tylko, że stało się to w Baltimore, i że tam go spalono.

- Profesorze, jest coś nad czym się zastanawiam, - przemówił Dean. – Czy Poe spotkał kiedykolwiek spirytualistę imieniem Percival Samuels? Proszę spojrzeć, w naszym opowiadaniu wspomnieliśmy o tym, ale nie jesteśmy pewni, czy tak było na pewno. Dr Lauer powiedziała, że pan wie.

Vincent zaczął dotykać swego czoła papierosem. Sam zaczynał chcieć żeby w końcu zapalił to cholerstwo, potępiając miejskie zakazy palenia.

- To interesujące, że pytacie. Nie posiadamy żadnych zapisów o tym, że ci dwaj się spotkali, jednak to dość prawdopodobne. To oczywiste, że Poe był zainteresowany zjawiskami nadprzyrodzonymi. Można by pomyśleć, że zdrowa psychika powinna była ostrzec go przed tą okropną wersją „Masque of the Red Death”[4] Vincenta Price'a jak nic innego. – Vincent zachichotał nad własnym dowcipem, a Sam sztucznie uśmiechnął się.

- Czy Samuels był zdrowy psychicznie? – spytał Dean. – Zawsze myślałem, że był z lekka konowałem.

Vincent uniósł brwi.

- Cóż, facet nie żyje już od jakiegoś czasu. Nie jestem w stanie sobie wyobrazić, że kiedyś będziemy wiedzieli to na pewno. Co jest żałosne, to mogę powiedzieć. Serio, doprowadza mnie do szaleństwa oglądanie moich współpracowników sprzeczających się na tematy, na które nigdy nie znajdziemy prawdziwych odpowiedzi. Byłoby miło znać co nieco prawdy na niektóre tematy.

Sam i Dean porozmawiali jeszcze przez chwilę z Vincentem, zadając więcej pytań, na które większość odpowiedzi znaleźli podczas poszukiwań Sama przez ostatnich kilka dni, obu w bibliotece i znienawidzonego przez Vincenta Internecie. Po dwudziestominutowej rozmowie Vincent nagle wstał i powiedział, że ma zajęcia i pospieszył ich w kierunku wind. Jednak bracia udali się za profesorem do klatki schodowej, co mężczyzna skwitował jako mądre posunięcie.

- Nie miałbym tego zarostu, ale musiałem czekać na pewną rzecz z rana, - zażartował. Kiedy szli przez Edward's Parade w kierunku parkingu, Sam spytał Dean,a:

- Co myślisz?

- Czy każdy uczelniany profesor jest taki? – Dean wzruszył ramionami.

- W większości tak, - chichocząc odpowiedział Sam.

- I czemu w sumie ty lubisz college?

- Wciąż nie łapię czemu ktoś mógłby chcieć wskrzesić Poe'a. – Sam potrząsł głową.

---

[4] „Masque of the Red Death” – Maska Czerwonego Moru, film z 1964 roku w reżyserii Rogera Cormana, w którym główną rolę Księcia Prospero zagrał aktor Vincent Price, (http://www.filmweb.pl/film/Maska+Czerwonego+Moru-1964-34939).

Translate - Team

- Co masz na myśli? – spytał Dean.

- Cóż, jest tak jak powiedział Dr Vincent, miał dość marne życie. Żona zmarła młodo, jego kariera nigdy tak naprawdę nie wystartowała do takiego stopnia, jakiego by chciał, kiedy jeszcze był żywy, większość jego biznesowych przedsięwzięć upadła, i prawie przez cały czas był zdesperowany. Cholera, gdyby żył teraz byłby cały czas na Prozacu, Zolofcie i Xanaxie w jednym czasie.

Dotarli do Impali. Dean usiadł na miejscu pasażera, ponieważ wciąż odmawiał kierowania po Bronxie.

- Może źle do tego podchodzimy. Może to ktoś kto nienawidził Poe'go – ktoś, kto chce by teraz cierpiał.

- Kto to mógłby być?

- Ktokolwiek, kto przeczytał jego dzieło i napisał potem pracę na jego temat, - powiedział Dean uśmiechając się głupkowato.

- To wcale nie zawęża naszej listy podejrzanych, - powiedział Sam siadając na miejscu kierującego, lewą rękę położył na kierownicy, prawą przekręcił kluczyk.

Zanim Dean zdążył coś odpowiedzieć w jego kieszeni zadzwonił „Smoke on the Water"

- Hej, Manfred, - powiedział jak tylko otworzył telefon i nacisnął przycisk.

Sam zgasił silnik jak tylko usłyszał metaliczny głosik Manfreda ustawiony na głośno mówiący.

- Hej Dean, właśnie ucinałem sobie małą pogawędkę z kumplami przy lunchu kiedy przypomniałem sobie coś na temat Roxy.

- Co takiego, Manfred?

- Cóż, słuchaj, dotyczy to tego jednego razu kiedy z nią spałem.

Translate_Team

Rozdział 16

SUPERNATURAL

Dom Afiriego
Bronx, Nowy Jork
Środa, 22 listopad 2006

- Zacznij od początku, - powiedział gniewnie Dean.

Siedzieli w salonie Manfreda. Wsadził płytę *Disraeli Gears* zespołu Cream do gramofonu i właśnie leciało „Tales of Brave Ulysses". Manfred siedział w fotelu, zaś Dean i Sam na kanapie. Dean był gotowy złoić Manfreda oraz ciągnąć go samochodem, bo gdyby wspomniał o tym wcześniej, nie byłby zmuszony słuchać Scottso drugiej, oraz trzeciej nocy z rzędu.

Manfred trzymał w łapie butelkę piwa i gapił się w dół na gwint.

- Spójrzcie, to miało miejsce jakiś czas temu, okej? Wtedy, kiedy Roxy była jeszcze na wszystko napalona, wiecie? Mary Jane, kokaina, szybkość, chlanie – jak wy to nazywacie, paliła to wszystko, wdychała, piła lub połykała. Przyszła ze znajomymi do Park in Rear – to były dopiero nasze początki, i nie mieliśmy co weekendowych występów. Jej znajomi zbytnio nas nie polubili i sobie poszli.

Boziu, ale dziwne. Jakimś cudem Dean zmusił samego siebie do nie wypowiedzenia tego na głos.

- Została na tyłach, - po wypiciu odrobiny piwa kontynuował, - i po występie nie miała co ze sobą zrobić. Więc zaproponowałem jej podwózkę do domu, czym była ta nora na Morris Park, więc powiedziałem, „ja mam dom", i przyjechaliśmy tutaj, wzięliśmy kilka krech, przesłuchaliśmy kilka płyt i poszliśmy na górę.

- I nie pamiętałeś o tym, aż do teraz? – spytał znowu gniewnie Dean.

- Zapomniałem, że to była ona! Słuchajcie, starzy, to miało miejsce tylko raz. Dobra, dwa razy, wróciła po dodatkowe występy, ale była ostro popaprana tamtymi czasy, potem poszła na odwyk. Po czasie, dokładnie rok później, znowu ją zobaczyłem i była całkowicie czysta. Kurwa, nawet jej nie poznałem w pierwszej chwili, gdy weszła do Park in Rear zaraz po odwyku – zero makijażu, krótsze włosy i miała T-shirt zamiast obcisłej bluzki. Zupełnie inna babka. No i przyszła do Alda, i to było dla mnie niezwykłe, bo miałem prawdziwe trudności z jej energicznymi zachowaniami.

Dean spojrzał na Sama kiedy to Manfred wychylił do końca swój trunek i potrząsnął głową. Sam wzruszył ramionami.

- Manfred, czy kiedykolwiek wyraziła jakiekolwiek zainteresowanie powrotem do ciebie?

- Cholera, co to, to nie. Tak jak powiedziałem, była zupełnie inną osobą. Nie zbliżała się do mnie.

Translate_Team

- Myślałem, że polubiła dom, - powiedział Dean, nagle przypominając sobie wcześniejszą rozmowę z Park in Rear.

- Oczywiście, że lubiła. Kurwa, każdy lubi ten cholerny dom. Gina połowę czasu błagała mnie, aby mogła się tu wprowadzić.

- Masz na myśli Janine? – spytał Dean.

- Tak, dokładnie, córkę mojego kuzyna. – Manfred uśmiechnął się pokazując wszystkie swoje zęby i szczeliny między nimi. – Wiesz co Dean, ona czuje lekką miętę do ciebie, - uśmiech zniknął. – Nie bierz się tylko za nią, okej? Mam wystarczająco dużo problemów z moim kuzynem. Poza tym ona i tak flirtuje ze wszystkim co się rusza.

- Bez obaw, - powiedział Dean. Nawet jeśli byłby zainteresowany, a musiał to przyznać, że Janine była całkiem niezła, nie miał zamiaru angażować się w cokolwiek z kimkolwiek z jego rodziny, póki nie rozprawi się z duchem Roxy. *I następnym razem jak Ash będzie potrzebował mojej pomocy, niech spierdala.*

- Skłonny jestem powiedzieć, - zaczął Sam, - że może właśnie dlatego Roxy cię nawiedza. Wciąż powtarza „Kochaj mnie", i może dokładnie kieruje to do ciebie.

- To nie ma żadnego sensu, - powiedział Manfred, zaprzeczając głową. – Chodzi mi o to, że kiedy wróciła z odwyku cała leciała na Alda, potem po prostu wyszła i zniknęła po tym weekendzie kiedy byłem w Pennsylvanii, a potem…

- W jaki weekend byłeś w Pennsylvanii? – drążył Dean.

- Nie wspominałem wam o tym? – Manfred zmarszczył brwi.

- O czym? – Dean siedział już na brzegu kanapy, gotowy rzucić się na Manfreda by go pobić.

- Cholera, starzy, przepraszam, ale myślałem, że mówiłem wam o tym jak Aldo opiekował się moim domem. Właściwie to był ostatni raz kiedy widziałem Roxy. No może nie dokładnie wtedy, ale kilka dni wcześniej. Miałem jakiś rodzinny zjazd w Pennsylvanii, i w tamtym czasie miałem kota. Zmarł w zeszłym roku, biedactwo, miało cukrzyce i ktoś musiał dawać mu zastrzyki. Nie chciałem zawozić go do weterynarza, bo był płochliwy, a lubił Alda, a odkąd mieszkał w tym maleńkim mieszkanku na Mamaroneck, od razu się zgodził. – Wstał. – Przypuszczam, że dokładnie to pamiętam. Potrzebuje kolejnego piwa. Chcecie?

- Taa, - powiedział zdecydowanie Dean, bo poczuł miażdżącą chęć na alkohol. Kiedy tylko Manfred udał się w kierunku kuchni, spojrzał na Sama. – Dasz temu wiarę?

- Po tym jak przemieszkałem z nim pod jednym dachem przez większą część tygodnia? Owszem, wierzę. Dean, jestem oszołomiony, że pamięta swój adres. Sam mówi, że ledwo pamięta zeszły tydzień. Jeśli to ma jakieś znaczenie, nie pamięta nawet, że już odbywaliście podobną rozmowę na temat Janine.

Dean przytaknął, przyznając rację.

Translate_Team

- Pinky, czy myślisz o tym, o czym ja myślę?

- Taa, - westchnął Sam. – Musimy zacząć kopać.

Manfred wrócił do pokoju z trzema butelkami piwa.

Po wzięciu butelki i długiego łyka przemówił.

- Manfred, posłuchaj, musimy przekopać twoje podwórko.

To spowodowało, że Manfred wypluł swoje piwo na brodę.

- Słucham? – powiedział ocierając usta rękawem.

W tym momencie zaczął dzwonić telefon Sama. Podskakując z kanapy odłożył piwo na podkładkę stojącą na stoliku. Wyjął telefon z kieszeni i udał się w kierunku korytarza.

- Słucham? Oh, witam panią detektyw.

Manfred spojrzał na Deana.

- Znamy kogoś kto pracuje dla Zaginionych. Poprosiliśmy ją, aby poszukała coś o Roxy.

- Uh, okej. Ale co to ma wspólnego z przekopywaniem mego podwórka?

Zanim Dean zdążył odpowiedzieć, usłyszeli Sama.

- Naprawdę? Z kim jeszcze rozmawiali? Dobra. Dobra. Okej, dzięki, detektywie. Porozmawiamy później. – Rozłączył się i stanął przy kanapie. –To była McBain, powiedziała że Roxanne Carmichael została odnotowana jako zaginiona na Czterdziestej Dziewiątej Dzielnicy dwudziestego trzeciego września, 2004 roku.

Manfred przytaknął.

- Tak, brzmi nieźle. Te zjazdy zawsze są jakoś po Święcie Pracy.

Sam usiadł na kanapie i wziął swoje piwo.

- To wciąż otwarta sprawa. I, według McBain, rozmawiali już z Aldem Emmanuellim, Manfredem Afirim i Tomem Daleyem.

Manfred zmarszczył brwi.

- Nie przypominam sobie.

- Dodatkowo, - mówił dalej Sam, - zidentyfikowali ciało, które było poćwiartowane i wrzucone pod deski podłogowe. Była to kobieta imieniem Sarah Lowrance. Pracowała w Blockbuster Video na Boston Road. I, według raportu z sekcji zwłok, została zabita od sześciu do dwunastu dni temu.

- Cholera, - mruknął Dean. Desperacko chciał zwalić winę na Mackey'a, ale wiedział lepiej. Ta kobieta była martwa od jakiegoś czasu, prawdopodobnie dłużej niż on i Sam byli w Nowym Jorku. Nie byli w stanie nic dla niej zrobić, oprócz powstrzymania tego gościa od zabicia jej i tego całego Reyes'a.

Manfred lekko zbladł.

- O czym do cholery jasnej wy rozmawiacie?

- Długa historia, - machnął na niego Sam.

- Niech będzie, - wzruszył ramionami Manfred. – Spójrzcie, naprawdę mi przykro, że nie powiedziałem wam o mnie i Roxy wcześniej, ale rzeczywiście

Translate_Team

zapomniałem. Teraz zostawcie te poćwiartowane ciało i wróćmy do rozmowy o przekopywaniu mojego podwórka.

- Uważamy, za bardzo prawdopodobne, - powiedział powoli Sam, - że Aldo i Roxy mieli coś w rodzaju kłótni w ten weekend, kiedy on opiekował się twoim domem. Roxy zmarła, a Aldo zakopał jej ciało na twoim podwórku i dlatego nawiedza twój dom.

- I dlatego pojawia się tylko po waszych występach, - dodał Dean.

- Jesteście pewni?

Dean i Sam wymienili ze sobą pełne winy spojrzenia.

- Cóż, nie do końca, - powiedział w końcu Dean. – To tylko przypuszczenie.

- Ale pasuje do dowodów, - dodał Sam, kiedy skończyło się „Mother's Lament". – Siedzimy już w tym od jakiegoś czasu i częściej mamy racje niż się mylimy.

Manfred uśmiechnął się kiedy wstawał by zmienić piosenkę.

- Cóż, wygląda na to że jesteście przede mną. Więc, okej, znajdujecie ciało Roxy. Co dalej?

- Solimy i palimy.

- Tak, tak, - powiedział Manfred kiedy wyjmował *Disraeli Gears* i na jej miejsce wkładał *The Low Spark of High-Heeled Boys*, Traffica, - mówiliście już o tym. Ta cała sprawa z soleniem, wiecie, trochę mnie przeraża.

A ty zapamiętałeś pieprzony cud nad cudami. I znów Dean'owi udało się powstrzymać od powiedzenia tego na głos.

- Mówiąc o tym co mnie przeraża, - mówił dalej Manfred, - nie kupuje tej całej sprawy z Aldem. Jesteśmy kumplami dłużej niż jestem w stanie to policzyć i nie jest on typem mordercy.

- To mógł być wypadek, - powiedział Sam.

Dean przewrócił oczami. Taki był już Sam, próbował zawsze znaleźć usprawiedliwienie. Przywołując w pamięci spłoszone zachowanie Aldo, kiedy pierwszy raz wspomnieli o Roxy, Dean nie miał żadnego problemu z uwierzeniem, że facet coś ukrywa. Poza tym przez cały czas myśleli, że Aldo wie co się z nią stało, tylko nie mówił.

- Oczywiście, - dodał Sam, - nawet, jeżeli to był wypadek, powinien to zgłosić.

- Ha, nie zrobiłby tego, - Manfred pochłonął swoje piwo. – Spójrzcie, nie kupię nawet na sekundę, że Aldo zrobił coś złego, i nie wyobrażam sobie, że kogokolwiek zabił, ale, cóż, gdyby to był wypadek, nie wezwał by glin, na sto procent. To nie w stylu Alda.

- Poczekaj, - powiedział Sam. – Może nie musimy przekopywać podwórka.

Dean spojrzał na brata, jakby ten zwariował.

Translate_Team

- Słuuuuucham?

- Mówię tylko, że nie musimy zgadywać. Nie wiemy na pewno, czy ciało jest tutaj, a jeśli jest, to nie wiemy gdzie dokładnie, a nawet jeśli je znajdziemy, to potem co?

- Potem posolimy i spalimy i…

- I ktokolwiek ją zabił pójdzie wolno, ponieważ my spalimy dowód.

To przystopowało Dean'a. Sam kontynuował.

- Zawsze mówimy o tym, jak to duchy przychodzą po zemstę, i taki przypadek możemy mieć tutaj, a co jeśli ona przyszła tylko po sprawiedliwość, jak ten duch z Baltimore?

- Tamto to był omen śmierci, - powiedział Dean.

Sam się nakręcił.

- Tak, ale ona była tam głównie po to, by wymierzyć sprawiedliwość. Uważam że sól i palenie nie pomoże. Owszem, pozbędziemy się ducha, ale nie rzuci to żadnego światła na jej zabójcę.

- Nie wierzę w to, - powiedział Dean kręcąc głową.

- Nie wierzysz w co? – Sam zmarszczył brwi.

- Że właśnie powiedziałeś „wymierzyć sprawiedliwość". Stary, ludzie tak nie mówią.

Manfred przytknął.

- On ma rację, Sam. To było jakieś niesamowicie walnięte wyrażenie.

- Nieważne… Ale mam rację, prawda?

Dean westchnął. Jego wewnętrzny instynkt mówił mu, że powinni znaleźć ciało, posolić je i spalić ponieważ to właśnie robisz kiedy jakiś duch nawiedza czyjś dom.

Jednak jeśli tak postąpią Aldowi ujdzie na sucho morderstwo. I to nie jest do końca właściwe.

-Okej, więc co robimy, geniuszu? Użyjemy na Aldo gumowego węża?

Sam uśmiechnął się w taki sposób, który Dean'a szczerze denerwował.

- Nie do końca.

Teraz przygotowywał się do najtrudniejszej pracy.

W celu właściwego odtwarzania pieczęci musiał popełnić te wszystkie oparte na księżycu rytuały w odpowiedniej kolejności. Na szczęście, margines błędu na wykonanie tych punktów, był na tyle szeroki, że dawał mu wiele opcji. Na przykład, potrzebował tylko jednego mieszkania w budynku przy 199 ulicy, które byłoby puste, i tylko jedno takie było. Miał nawet jeszcze więcej szczęścia przy domu przy Webb Avenue. Miał już tam nawet zamieszkać, by znaleźć odpowiednie mieszkanie, ale okazało się, że piwnica spisała się o wiele lepiej.

Translate_Team

Tak właśnie dowiedział się, ze jego sprawa była słuszna. Przeznaczenie idealnie prowadziło sprawy ku niemu, dzięki czemu dokończenie pracy było dla niego jak bułka z masłem.

Jedyne co mu zostało to ostatni krok, ciągle mając aż pięć dni by móc się przygotować. Czuł, że to będzie dla niego najłatwiejszy etap.

Stał teraz właśnie na rogu Fordham Road i University Avenue, lub, jak teraz to nazywano Bulwarze Martina Luther'a Kinga Jr., wpatrując się w dwie wierze Kościoła św. Nicholasa z Tolentine. Obie wierze miały dzwony, które dzwoniły w odpowiednim czasie w niedziele.

Ale również będą dzwoniły w następny wtorek. Jego serce biło w oczekiwaniu. Nareszcie to się stanie.

Nie wrócił do tamtego miejsca. Z tego co wiedział policja znalazła szczątki biednej Sarah'y Lowrance. Była całkowicie miłą kobietą i był pewien, że przy innych okolicznościach wiodła by jeszcze długie i szczęśliwe życie. Ale teraz jej ciało posłużyło do wyższych celów, i może po pewnym czasie, kiedy ludzie zrozumieją co dokładnie robi, jej imię będzie upamiętnione, tak jak i tego Marc'a Reyes'a, dwóch studentów, jego kolejnej wtorkowej ofiary i oczywiście jego samego, pokazując światu siłę magii.

Oczywiście, rozmyślając nad tym, wiedział dokładnie co się stanie. Po wszystkim tak, czy inaczej, świat nie doceni geniuszu Percivala Samuelsa, i będzie musiał żyć w czasach, które jeszcze bardziej będą akceptowały świat nowoczesny, i te jego wszystkie strony internetowe i faksy i komórki i iPody i e-maile i inne elektroniczne bzdury, niż okultystyczny.

Ale to nie było istotne. Ponieważ zamierzał sprowadzić Poe'a, do świata, który zaakceptuje jego geniusz, do świata, w którym będzie mógł powiedzieć *prawdę*.

To jedyne, co się liczyło. Czym były życia Marc'a Reyes'a i Sarah'y Lowrance i tych dwóch studentów w porównaniu do tego?

Technicznie nie potrzebował żadnej osoby do ostatniej części. Na czwartej stronie i ostatniej pieczęci była wieża dzwonnicza, co znaczyło że musiał odtworzyć „Dzwony".

Pytanie tylko brzmiało, jak. Rozmyślał nad słowami, z których większość to i tak powtórzenia słowa „dzwony". Poe miał talent do rymów i onomatopei, i tego właśnie zabrakło jego późniejszym amerykańskim kolegom. Czytając „Dzwony" masz wrażenie że jesteś „między gwarem i rozgwarem", jesteś w stanie poczuć dźwięk dzwonów kiedy czytasz na głos.

Zwłaszcza pomyślał tak z potrzeby rytuału. Wybrał „Beczkę Amontillado", „Zabójstwo przy Roe Morgue", oraz „Serce Oskarżycielem" po części ze względu na użycie trzech ciał, a dobrze wiedział ze swych poszukiwań, że najsilniejsze

Translate_Team

rytuały wymagają zabrania życia, a życie ludzkie było droższe, niż zwierzęce. Ale w „dzwonach” nie ma żadnej śmierci.

Wtedy wyrecytował jedną zwrotkę:

W swojem gromkiem przyzywaniu na ten krwawy blask pożaru,
I w szalonym rozhukaniu na ten głuchy szał pożaru,
Który w dymie, który w skrach,
Pośród gwaru i rozgwaru,
Jakby żądze swe ponure,
Chciał w niebiosa słać i w chmurę
I w piekielnych swoich snach,
Jakby dziś lub nigdy już
Chciał rakietą krwawych róż
Na miesięcznych zasiąść mgłach![5]

Po czym kolejną:

Ach, jak jego pierś wesoła,
Gdy peanem brzmią mu dzwony.
Jak on tańczy, jak on woła,
Jak on trzyma takt muzyczny,
Niby wielki hymn runiczny.
Gdy peanem brzmią mu dzwony,
Dzwony, dzwony, dzwony.[6]

Tak! To właśnie to. Znajdzie ofiarę i podpali ją kiedy on będzie dzwonił w dzwon. Palący się człowiek w istocie będzie tańczył i krzyczał, a jego, bądź jej, pierś będzie nabrzmiewać z próby zaczerpnięcia oddechu.

Idealnie.

---

[5] Tłumaczenie według Antoniego Lange z oryginału:
In a clamorous appealing to the mercy of the fire,
In a mad expostulation with the deaf and frantic fire,
Leaping higher, higher, higher,
With a desperate desire,
And a resolute endeavor,
Now—now to sit or never,
By the side of the pale-faced moon.

[6] Tłumaczenie według Antoniego Lange z oryginału:
And his merry bosom swells
With the paean of the bells!
And he dances, and he yells;
Keeping time, time, time,
In a sort of Runic rhyme,
To the paean of the bells
Of the bells.

Translate_Team

SUPERNATURAL

Kościół w tej chwili był zamknięty i zaryglowany, w końcu był środek nocy. Nazajutrz, jak załatwi wszystkie dzienne sprawy wróci tu, by porozmawiać z księdzem. Wytłumaczy mu, że we wtorek o północy osobiście będzie musiał uderzyć w dzwon. Oczywiście szczodrze obdaruje kościół. To była najłatwiejsza część. Zdobycie wszystkiego, co potrzebował do rytuałów, w taki sposób by nie wzbudzić podejrzeń policji było kosztownym przedsięwzięciem, ale od śmierci żony dysponował sporą gotówką. W ostatecznym rozrachunku śmierć była najlepszą rzeczą jaką dla niego uczyniła, zarówno przekazując mu pieniądze na to, na co naprawdę potrzebował jak i usuwając swoją dokuczliwą obecność, która wyłącznie go powstrzymywała.

W ten sposób tylko się upewnił, że jego plan został poprawnie przygotowany i sam w sobie był dobry, potrzebował tylko ofiary, a posiadał ponad połowę tygodnia by takową znaleźć, odwrócił więc głowę w kierunku gdzie zaparkował swój samochód – klika bloków dalej przy University Avenue.

Jednak został przytrzymany przez niskiego mężczyznę w brzydkim garniturze, z twarzą, którą wcześniej miał już okazję zobaczyć na jednej z tych męczących stron internetowych.

Mężczyzna ten nosił przydomek Arthur Gordon Pym.

- Głupotą jest, żeby kryminalista wracał na miejsce zbrodni, - powiedział w zły i raczej męczący sposób, mający na celu pokazać swoje oddanie wobec autora, - jednak uważam to za dość zabawne, że zdecydowałeś się przyjść na miejsce zbrodni, zanim ono w takowe się zamieni. – Pym potrząsnął głową. – Powinienem się domyślać, że to będziesz ty.

- Przepraszam, - odpowiedział, - ale nie mam najmniejszego pojęcia, o czym mówisz. – Zaczął mijać Pyma, ale ten mały człowieczek szybko się ruszył i wciąż stał na jego drodze. – Nie wiem kim jesteś, ale…

- Och, wiesz.

Oczywiście, że wiedział, ale nie widział żadnego powodu, aby przyznawać się przed Pymem do tego.

- Słuchaj, jestem tylko kimś, kto podziwia ten przepiękny kościół…

- W środę o jedenastej w nocy? To wydaje mi się niezwykle mało prawdopodobne, szczególnie biorąc pod uwagę fakt, że ten kościół jest prawdopodobnie miejscem rytuału, który zamierzasz odprawić w następny wtorek. Prawie cię przegapiłem w poniedziałkową noc, gdyby nie ta cholerna linka naciągowa, ale mogę cię zapewnić, dobry panie, nie pozwolę ci na kolejne morderstwo.

Teraz, nagle, zaczął się denerwować. W pierwszej chwili miał go po prostu spławić, ale jeżeli Pym widział go w mieszkaniu przy 199th , to nie było żadnej nadziei. Był na niego skazany.

Translate_Team

Po czym zrozumiał, że ma mnóstwo nadziei. Uśmiechnął się, dumny z błyskotliwości.

- Coś cię bawi?

- Owszem, ty. – I wtedy walnął Pyma w twarz.

Ból uderzył w jego kłykcie i nadgarstek i trząsł się w agonii. Ludzie robią tego typu rzeczy w telewizji przez cały czas, a ofiara zawsze pada na ziemię nieprzytomna. Pym chociaż chwycił się z boku głowy, a krew tryskała mu z ust.

- Uderzyłeś mnie! – Zapłakał Pym, wypluwając jeszcze więcej krwi.

Oczywiście, że cię uderzyłem, ciamajdo, szkoda tylko, że nie padłeś na ziemię. Nie miał przy sobie żadnej broni, jego *Magnum*[7] *44* został w domu, więc był bezbronny, pomijając możliwość przywalenia Pymowi w twarz.

Nie pozostało mu nic innego, jak tylko odwrócić się i uciec, jak zawsze to działało przy uszczypnięciu.

Jego nogi były dłuższe niż Pyma, i przez element zaskoczenia, był do przodu, więc udało mu się wytworzyć spory dystans miedzy sobą a lilipucim badaczem Poe'a. Nawet gdy wyciągał swe nogi by biec szybciej po chodniku przy University Avenue, mijając budynki mieszkalne i kamienice, przypomniało mu się, że ma w samochodzie trochę żyłki, którą trzymał by zabezpieczać swoje ofiary. W szczególności potrzebował ją do trzymania Sarah'y Lowrance, jako że była wyjątkowo prostacka zanim udało mu się użyć środku uspokajającego.

Sięgając do kieszeni płaszcza zdrową ręką, ponieważ prawa wciąż pulsowała jak szalona, wyciągnął z niej kluczyki od samochodu i nacisnął przycisk, który otwierał klapę od bagażnika.

Upewnił się, że żyłka jest dokładnie tam, gdzie pamiętał, że była. Wziął ją, wraz z piłką baseballową, która leżała tam odkąd dostał ją za darmo na jednym z meczów Jankesów, na który namówiła go żona, jak jeszcze żyła. Odwrócił się by zobaczyć Pyma biegnącego chodnikiem w jego kierunku, z przyłożonym do ucha telefonem.

Nie wiem do kogo dzwonisz, ale nic nie wycieknie, jeżeli temu zaradzę. Rzucił piłkę prosto w głowę Pyma.

Zamiast tego trafił go w brzuch, ale było to wystarczające, ponieważ przestał biec i osunął się na chodnik.

Podbiegł do Pyma, teraz sapiącego na chodniku, wyrwał mu z dłoni telefon i rzucił o ścianę najbliższego budynku. Potem szarpnął ramiona Pyma, wykręcając je za jego plecy i związał nadgarstki.

- Co ty wyprawiasz? – Spytał Pym pomiędzy ciężkimi oddechami. – Oh! – dodał, gdy żyłka wcięła się w skórę nadgarstków.

[7] http://pl.wikipedia.org/wiki/Rewolwer_S%26W_Model_29

- Wybieram ostateczną ofiarę, - to były jedyne słowa jakie wypowiedział kiedy zaciskał mocniej żyłkę. Zauważył w koło kilkoro ludzi, ale zajęci byli własnymi sprawami i nic nie widzieli. Mimo to, jedno, jak nie więcej, z nich mogło być w posiadaniu telefonu komórkowego, więc leżało w jego interesie, aby zniknąć im z oczu raczej prędzej niż później. – Nie martw się, twoje imię zapisze się w historii ludzkości jako pomoc w dokonaniu jednego z największych przedsięwzięć. – Uśmiechnął się. – Chociaż wątpię, czy jesteś w stanie to zrozumieć na chwilę obecną. Ale nie martw się, mam zamiar oddać należne tobie uznanie za twoją ofiarę. Tak czy inaczej, to powołanie się na twoje źródła jest sercem nauki.

Wstał, unosząc Pyma za nadgarstki i stawiając na nogi. Jeszcze raz przeznaczenie stanęło po jego stronie. To było jego przeznaczenie, po prostu to wiedział.

Już nie długo będę znał odpowiedź!

Translete_Team

Rozdział 17

Dom Afiriego
Bronx, Nowy Jork
Czwartek, 23 listopad 2006

Sam dobrze wiedział, że podstawowym składnikiem staroświeckiej powieści detektywistycznej było zebranie wszystkich podejrzanych w jednym pomieszczeniu. Poe nie zrobił tego w „Morderstwie na Rue Morgue", jednak następne powieści z pewnością zawierały ten element. Świat rzeczywisty rzadko działa w ten sposób, więc oczywiście mając szansę zrobienia tego, dało mu to, co Dean na pewno by nazwał maniakowatym dreszczem emocji.

Powiedział Manfred`owi by zaaranżował spotkanie we wtorkowy wieczór, w jego mieszkaniu. Zaznaczył jednak, że od lat nie miał takich „spotkań".

- Biorąc pod uwagę fakt, uważam, że nigdy nie mieliśmy spotkania, które nie byłoby próbą, - powiedział, niemniej jednak zadzwonił do wszystkich i zwołał do swego mieszkania zamiast na próbę u Toma Daley'a

Nie zaskoczyło to nikogo, że Tommy był jedynym który przyszedł jako ostatni. Sam zauważył, że on zawsze przychodził ostatni na występy, nawet jeśli jako perkusista miał najwięcej do roboty, odkąd nie chciał trzymać swojej perkusji w Park In Rear. „Za dużo zapłaciłem za ten sprzęt" powiedział, kiedy sprzeczał się o to z Samem w niedzielę wieczorem, mimo że nikt nie wiedział, dlaczego po prostu nie zabrał ze sobą tej droższej perkusji a resztę zostawił oszczędzając sobie pracy i czasu.

Kiedy Tommy w końcu się pokazał, Robbie, który grał na klawiszach i Aldo psioczyli i jęczeli na temat bardzo absorbującego dnia, jaki przezyli na kanapie. Dean i Manfred stali obok gramofonu i rozmawiali o zaletach nowej wersji nagrania Roberta Johnsona (co sprawiło, że Sam się zastanowił, czy Dean specjalnie wspomniał o tym, że on sam ostatnio spotkał demona, któremu Johnson sprzedał duszę). A Eddie – basista, stał obok okna i patrzył na ogród z tyłu domu.

- Przepraszam za spóźnienie. – Powiedział Tommy. Miał na sobie jaskrawą różową koszulę którą, jak Sam podejrzewał, wziął z kosmosu. Reszta zespołu nosiła bluzy i jeansy, z wyjątkiem Eddiego, który miał ten sam czarny strój, co nosił na scenie. – Co się dzieje?

Jeżeli chodzi o Sama, to powtórzył w myślach zaklęcie. To było proste przywołanie, które ojciec prawidłowo zapisał w notatniku (omylnie na stronie zaraz po Żniwiarzach, a przed tą o Indianach Calusa), i Sam miał już notatnik w ręce żeby je wypowiedzieć, ale było tam parę podchwytliwych słów po łacińsku i niepoprawna ich wymowa mogłaby być fatalna w skutkach. (Wciąż wspominał z

zatrważającą jasnością, kiedy miał dziesięć lat, jak rzucił swoje pierwsze śledzące zaklęcie. Przez to, że jego łacina była taka uboga, przez przypadek przywołał chochlika, który zaraz zaczął siać spustoszenie w chacie, w której przebywali. Tato zdołał go odesłać tam skąd pochodził, ale nigdy nie był pewny czy mu się to do końca udało…)

- Więc – Powiedział Manfred po przyniesieniu dla Toma piwa, które zamówił. – Prawdopodobnie się zastanawiacie, dlaczego poprosiłem was wszystkich o przyjście tutaj. To proste, ale nie wydaje mi się, że w to uwierzycie. Widzicie… od jakiegoś czasu mam problemy tutaj w domu. Ci dwaj goście, Sam i Dean, pomagają mi się z tym uporać.
W tym momencie Dean stanął obok Sama przy drzwiach do salonu.

Robbie się skrzywił. – I pomyśleć, że byli Ash`a przyjaciółmi.

- Jesteśmy – Powiedział Dean. – I właśnie w ten sposób dowiedzieliśmy się o problemie Manfreda.

- I ten problem jest związany z Roxy? – Zapytał Aldo.

Dean uśmiechnął się ironicznie. – O rany, Aldo, dlaczego tak zakładasz?

- Ponieważ o nią wypytywaliście od tygodnia. W pewnym sensie to mnie wkurwia. To mnie nie dotyczy i jestem z tego zadowolony.

- Dlaczego tak jest? – Dean zapytał zbliżając się do kanapy.

- Ta suka zniknęła. Żadnych telefonów, żadnych przeprosin, żadnego „Sorry nie wyszło między nami", żadnego „możemy pozostać przyjaciółmi", ona po prostu wstała i wyszła. Wkurwiła mnie, jasne?

Sam zauważył, że Aldo nie ma swojego radosnego wyrazu twarzy. Odkąd pierwszy raz zobaczył gitarzystę na scenie zeszłego piątku; Aldo zawsze się wydawał zadowolony ze wszystkiego. Ile z tego było jego codziennym zachowanie, a ile miało związek z jego zapisaniem się do AA. Sam nie mógł zaryzykować takigoe przypuszczenia.

Teraz, przez to, że Aldo był tak spłoszony jak kotek pod bujanym fotelem, sprowadzało go do przypuszczeń, że jego teoria jest prawdziwa.

- Problem jest w tym, że… - Powiedział Dean – ostatni raz kiedy ktokolwiek widział Roxy zanim zaginęła, było tuż przed tym jak pilnowałeś Manfredowi domu.

Wszyscy pochylili się do przodu, z wyjątkiem Eddiego, który był w swojej zwykłej wyluzowanej pozie basisty. Tommy, który siedział w głębokim fotelu w trybie półleżącym, szarpnął go z powrotem do przodu. – Zaginęła? *Ona zaginęła*?

- Właściwie została zgłoszona jako zaginiona zaraz po tym weekendzie. – Powiedział Dean.

Teraz Aldo wyglądał na zdezorientowanego. – O czym u diabła ty wygadujesz, Sam?

- Jestem Dean.

Translate_Team

- Chuj-mnie-to-obchodzi, nie pilnowałem dla nikogo domu.

Manfred oparł ręce na biodrach. – Niech mnie, że pilnowałeś Aldo. To było kiedy Lucille była u mnie i każdego ranka podawałeś jej insulinę, kiedy byłem na „zjeździe rodzinnym".

Aldo spuścił głowę na ręce. – Cholera jasna. – Popatrzył w górę. – Koleś, przepraszam, ale zrozum, przepraszam. Nie powiedziałem ci tego, ale nienawidziłem tej kocicy. Nie mogliśmy się dogadać ze sobą, więc kiedy powiedziałem, że zajmę się domem, skłamałem.

Sam się skrzywił. Nie takiej reakcji się spodziewał, mimo, że Aldo zaprzeczał że był w domu, sprawiało to wrażenie, że on jest winny.

Wstając z kanapy, podszedł do Manfreda. – Nie chciałem cię zawieść, ale nie mogłem przebywać z tym głupim dachowcem przez dłużej niż pięć minut, więc poprosiłem chłopaków żeby mnie zastąpili przy podawaniu insuliny.

- Czekaj, - Powiedział Robbie, - Powiedziałeś, że to było kiedy miałeś ten zjazd? To były te cztery, tak?

Przytakując, Manfred odparł. – Taa. I powierzyłem ci że….

Aldo uniósł obronnie ręce. – Wiem, wiem, ale… - Odwrócił się. – Powiedzcie mu chłopaki.

Obydwoje Robbie i Tommy przytaknęli. – Taa, zajęliśmy się tym.

Sam popatrzył na Eddiego, który też przytaknął.

Teraz Manfred potrząsał głową w niedowierzaniu.

- Nigdy wam chłopaki nie pokazywałem, jak robić zastrzyk… pokazałem tylko Aldo.

Tommy się zaśmiał. – Koleś, wiemy jak przemieszczać się pod skórą. Naprawdę.

Sam popatrzył się na Deana. Dean wzruszył rękami i powiedział.

– Cóż, popatrz, to nie zmienia faktu, że Roxy nie żyje.

Wszyscy się odwrócili i popatrzyli na Sama i Deana zdziwieni tym że ta dwójka nadal była w pokoju. – *Co powiedziałeś*? – Powiedział Aldo.

- Ona nie żyje. – Powiedział Manfred. – I powód dla którego wiem, że jest martwa to jej duch, który mnie nawiedza od paru tygodni, za każdym razem jak wracam z występu w Park In Rear.

Panowała cisza przez parę sekund po tej wypowiedzi.

Wtedy Aldo, Robbie i Tommy wybuchli śmiechem. Eddie się nie śmiał, ale Sam założył, że jego twarz mogłaby popękać, gdyby tyko się uśmiechnął.

Pomiędzy wybuchami śmiechu, Robbie powiedział. – Mogę przysiądz, że Prima Aprilis już był, wiesz, w *kwiecietniu*.

- Mówimy na poważnie. – Powiedział Dean.

Aldo potrząsnął głową wciąż się śmiejąc. – Zawsze myślałem, że Ash nie był zbyt na czasie i to temu dowodzi, kiedy nabijasz się z jego przyjaciół.

Translate_Team

Dean odwrócił się do swojego brata. – Sam?

Showtime Pomyślał Sam i podniósł dziennik ojca, otwierając go na stronie którą zaznaczył spinaczem do papieru.

- *Phasmates mortua hic ligata admovete audieminique!*

Robbie sie skrzywił. – Co to, niemiecki?

Tommy popatrzył na niego. – Niee, to łacina.

Pod podejrzanym spojrzeniem Robbie powiedział. – Co? Miałem zajęcia z łaciny w liceum.

Sam powtórzył - *Phasmates mortua hic ligata admovete audieminique!*

- To są chyba jakieś jaja. – Powiedział Aldo. – Nie ma czegoś takiego jak…

Po raz trzeci i ostatni Sam powiedział. - *Phasmates mortua hic ligata admovete audieminique!*

Okna zaczęły łomotać z hukiem a płyty zaczęły wibrować na swoich stojakach, uderzające o siebie pudełka na płyty robiły okropny harmider.

Przeskakując z nogi na nogę, Tommy zapytał. – Co u diabła?

Reszta rozglądała się po sobie nawzajem i na Sama. Rozpoznał wyraz ich twarzy ponieważ widział go więcej razy niż mógłby zliczyć: *To nie może dziać się na prawdę. To musi być jakieś oszustwo. To zmienia moje podejście do świata. Niech ktoś to zatrzyma!*

Wtedy chichotanie się zaczęło.

Aldo pobladł. Bardzo cieniutkim głosem zapytał. – Roxy?

Chichotanie trwało dalej, jednak głos Roxy płakał. – Kochaj mnie! Kochaj mnie! Kochaj mnie!

I wtedy się pojawiła.

Blond włosy były bardziej potargane niż ostatnim razem i ciężko było dostrzec jej oczy, ale koszulka Queensryche była wciąż widoczna, a jej usta były szeroko otwarte krzycząc słowa – Kochaj mnie!

Tym razem ruszyła prosto w stronę okna gdzie stał Eddie.

Jego twarz zmieniła się po raz pierwszy w ciągu krótkiej znajomości Sama z nim. Jego oczy otworzyły się szeroko, jego usta wykrzywiły się w krzyku, wymachiwał rękoma do tyłu i w przód przed twarzą i wrzeszczał.

- Odejdź ode mnie ździro! Jesteś martwa! Dawno zapomniana!

Manfred patrzył na basistę. – Eddie co *u diabła*?

- Kochaj mnie! Kochaj mnie! – duch Roxy Carmichael wciąż krzyczał.

- Powiedziałem tobie nie, ty głupia laluniu! – Eddie wrzeszczał. – Odejdź ode mnie, jesteś martwa!

- Kochaj mnie!

Tommy i Robbie pobiegli do drzwi, gdzie Sam i Dean stali z Manfredem i Aldo.

- Spraw żeby to odeszło. – Powiedział Robbie.

Translate_Team

- Dlaczego? – Zapytał Sam.

- Co to, kurwa, za pytanie? – Zapytał Tommy. – Pozbądź się tej rzeczy, bo przysięgam inaczej pogadamy, mówię ci to.

- Kochaj mnie! Kochaj mnie!

Parę płyt CD spadło na podłogę z twardego drewna. Okna łomotały mocniej.

- Odejdź! – Eddie krzyczał. – Już cię zabiłem, odejdź!

Dean poszedł na przedpokój, gdzie schował strzelbę. Odbezpieczając ją, wszedł do salonu i uniósł ją, celując w ducha.

Przewidująco, jeden z członków zespołu się oponował. Robbie zrobił krok na przód, ale Sam złapał go za ramię. – Zaufaj nam.

- Kurwa chciałbyś. Przyniosłeś tą rzecz tutaj.

- To było zanim ci goście tutaj przyszli. – Powiedział Manfred.

Jak Sam zauważył, Aldo nie powiedział ani słowa, ale wyglądał na wkurwionego.

- Kochaj mnie!

- Zasłońcie sobie uszy. – Powiedział Sam, zamieniając słowa w czyny.

Z ogłuszającym hukiem, Dean strzelił pociskiem solnym w ducha Roxy i zniknęła.

- Ała! Eddie złapał się za prawą rękę. Dostał rykoszetem jednym z pocisków. Sam nie mógł się zmusić do poczucia winy.

Tak szybko, jak Roxy zniknęła, dwie rzeczy miały miejsce: dom przestał się trząść i Aldo pobiegł przez pokój walnął Eddiego w szczękę.

Nawet kiedy Eddie upadł na podłogę, Aldo go kopał i pochylił się żeby go jeszcze raz uderzyć, krzycząc. – Ty sukinsynie, zabiłeś ją!

Dean złapał Aldo za nadgarstek. – Stop. Jestem po twojej stronie, koleś, ale przestań.

Aldo zaczął się wykręcać. – Puść mnie Sam.

- Jestem Dean i nie zamierzam cię puścić. Dajmy mu szansę na wytłumaczenie się. – Dean popatrzył na dół na Eddiego, który skulił się w pozycji embrionalnej z łzami spływającymi po policzkach. – Jeśli nie spodoba ci się to, co on powie, wtedy sam pomogę ci go stłuc na kwaśne jabłko. Ale przede wszystkim musimy wiedzieć, co jej zrobił i gdzie zostawił ciało.

Aldo patrzył na Deana przez parę sekund, wtedy przytaknął opuszczając rękę i dając znak, że Dean może już go puścić.

- To był wypadek. – Eddie wymamrotał.

Łapiąc basistę za klapy od marynarki, Dean pociągnął go na nogi.

- Wstawaj. A teraz gadaj, albo pozwolę mu pójść z tobą na całość. Co się stało?

- To było… - Eddie pociągnął nosem i wytarł oczy z łez. –To było kiedy Manfred był na tym zjeździe. Aldo nie chciał być w pobliżu Lucille, więc Robbie,

Translate_Team

Tommy i ja się zmienialiśmy w obowiązkach. Przypadał mi sobotni wieczór i niedziela rano. W takim razie mogłem zostać w sobotę na noc. Zaprosiłem Roxy.

- Co? – Aldo krzyknął.

- Pieprzyłem ją, dobra? – Eddie powiedział obronnie. – To nic wielkiego. Powiedziała mi, że nie mogłeś już jej zaspokoić w łóżku. Zrozumiałem u diabła, że chciałem ją przelecieć odkąd wcześniej przyszła do domu Manfreda. To nie było nic poza seksem.

Aldo zrobił krok do przodu zaciskając pięść. – Tylko seks?

- Spokojnie. – Powiedział Dean, łapiąc Aldo za ramię.

- Więc po tym jak się pieprzyliśmy, założyła koszulkę Queensryche i zaczęła gadać o tym jak powinniśmy zacząć chodzić ze sobą. Nie chciałem tego.

- Co, nie była wystarczająco dobra dla ciebie? – Zapytał Aldo. Sam mógł usłyszeć furię w jego głosie i nie był do końca pewien, czy Dean mógł być w stanie go dłużej utrzymać.

- Dla rżnięcia, tak, ale nie chciałem głupiej zdziry jako dziewczyny. Mogło by to namieszać w zespole, z jednego powodu, ponieważ zerwała z tobą i poleciała do mnie. To mogło wszystko spieprzyć, a ja nawet nie lubiłem dziwki. Tylko jej ciało, to wszystko.

- Więc ją zabiłeś? – Zapytał Manfred.

Odwracając się do Manfreda, Eddie powiedział. – Nie! Boże, my tylko… to był wypadek. Potknęła się i spadła z tych pieprzonych schodów, zaraz po tym jak się pokłóciliśmy. Powiedziałem jej, że nie chcę związku, powiedziała że w porządku, nieważne, poszła po coś do picia z kuchni, potknęła się i spadła.

- Oczekujesz, że w to uwierzę? – Zapytał Aldo. – Roxy nigdy w życiu się nie potknęła.

- Może była pijana. – Powiedział żałośnie Eddie.

Kręcąc głową, Manfred powiedział. – Była trzeźwa, koleś i ty o tym wiedziałeś. No dalej, nie jesteśmy głupi. Poza tym przed chwilą powiedziałeś, że ją zabiłeś i to było, jak ty to powiedziałeś… pod wpływem chwili.

Odezwał się Sam. – Chcę żeby wszyscy zaświadczyli, że przyznałeś się do zabicia jej. – Miał nadzieję, że nie będzie sprawy sądowej, szczerze powiedziawszy, jako członków Scottso nie robiło by to najlepszych świadków. Dodatkowo okoliczności pod którymi Eddie przyznał się do winy nie za bardzo nadawały się do powtórzenia w sądzie. Zamiast nagabywać, Sam zapytał. – Co zrobiłeś z ciałem?

- Zakopałem ją w ogrodzie za domem. – Eddie potrząsną głową. – Co zajęło mi całą noc.

Sam poczuł wibracje w kieszeni. Wyciszył swoje Treo, ale wibracja wciąż działała. Wyciągając telefon, na wyświetlaczu pojawił się numer detektyw McBain. Wychodząc na przedpokój, odebrał. – Detektywie, to był zbieg okoliczności.

Translate_Team

- Dlaczego?

- Właśnie zamierzaliśmy do pani zadzwonić. Część Riverdale, uh… piętnastka, tak?

McBain prychnęła. – Oh, teraz używasz żargonu? Naprawdę urocze. Taa, piętnastka, przykrywka Riverdale, dlaczego pytasz?

- Prawdopodobnie będziesz chciała wezwać tam swoich przyjaciół, ponieważ sądzimy, że znajduje się tam zaginiona osoba. Roxy Carmichael jest zakopana w ogrodzie za domem, w który się teraz znajdujemy.

Nastąpiła pauza. – Poważnie?

- Uh, taa. Ale to z tego powodu zadzwoniłaś do mnie. Co się stało?

- Wezwę piętnastkę, kiedy skończę z tobą, ale wasza dwójka musi zabierać swoje białe tyłki stamtąd.

Sam przytaknął. – Tak, oczywiście. – Wciąż byli uciekinierami, a policja mogła się tam zjawić w każdej chwili, żeby wykopać ciało Roxy i zebrać zeznania od wszystkich członów Scottso.

- Na szczęcie, mam coś, co zajmie cię przez chwilę. To dlatego dzwoniłem. Nasz kumpel Arthur Gordon Pym zaginął.

Translete_Team

Rozdział 18

Kościół Św. Nicholasa z Tolentine

Bronx, Nowy Jork

Czwartek, 23 listopada 2006

Dean musiał przyznać, że nie miał pojęcia jak Samowi udało się znaleźć wyjazd z Riverdale. A ciężko było się przyznać, bo zawsze chlubił się świetnym zmysłem orientacji.

Jak tylko zjechali z ogromnego wzgórza Riverdalle Avenue na jedną z głównych sąsiednich ulic, Dean nie miał problemu za podążeniem w ich kierunku. Od ulicy West 230 był wjazd na autostradę Major Deegan, a u dołu wzgórza znajdował się róg 231, więc Dean wiedział, że jest około sześciu możliwości dostania się stąd na autostradę. I wracali na róg Fordham i MLK, gdzie w piątkową noc rozdzielili się z McBain, co miało miejsce dokładnie na wylocie autostrady Fordham Road. Stąd mógłby już bez problemu jechać.

Ale nie ufał swojej umiejętności jazdy wokół Riverdalle. I to naprawdę go wkurzało.

Wciąż jednak trzeba było to zrobić. Szczerze mówiąc, to że Mackey zaginął tylko potwierdzało jego przypuszczenie, że siedział w tym razem z tym chorym bydlakiem, który usiłował wskrzesić Poe. Ale Sam powiedział, że McBain uważa, że jest w tym coś więcej. Chociaż inaczej musieliby wyjść z domu Manfreda przed przyjazdem policji. Eddie będzie musiał znowu przyznać się do zabicia Roxy i zakopania jej w podwórku, a Manfred i Aldo stwierdzili jasno, że nie dadzą Eddiemu możliwości wycofania się z tego. Ponadto wszyscy przysięgli trzymać ducha Roxy z dala od tego – co nie było trudną obietnicą. Dokładne słowa Tommy'ego brzmiały: "Mówię wam, nie ma opcji, żebym powiedział miejskiemu gliniarzowi o duchu."

Przy odrobinie szczęścia duch Roxy zazna wreszcie spokoju.

Sam wjechał Impalą na wyjazd z Fordham Road, skręcił w lewo do Fordham, potem w górę po wzgórzu do MLK, przez całą drogę marnując za dużo czasu na światłach. Sam skręcił w prawo, zobaczył Saturna McBain przez hydrantem i zaparkował przed nim Impalę.

- Dzięki, że przyjechaliście, chłopaki – powiedziała McBain. Miała na sobie bluzę i dżinsy, choć tym razem dżinsy były czarne, a na bluzie miała kilka postaci Warner Bros., co zwiększyło o jeden stopień szacunek Deana.

- Co się stało? - zapytał Sam.

- Zeszłej nocy pracowałam nad sprawą. Miałam wyłączoną komórkę, nagłe dzwonienie mogłoby przekreślić pracę policji. Niestety mój operator nawalił, więc pocztę głosową odsłuchałam dopiero dzisiaj po południu. Jak zwykle były cztery połączenia od ciotki Vernethy, które otrzymuję, kiedy nie dzwonię do niej co godzinę i wiadomość od Arthura.

Sam skrzywił się.

- Co powiedział?

-Niewiele. - Sięgnęła do kieszeni kurtki i wyciągnęła telefon, otworzyła klapkę, wybrała jakiś numer i włączyła głośnomówiący.

Odezwała się automatyczna sekretarka.

- Masz jedną zapisaną wiadomość.

Po chwili znajome jęczenie. Mackey brzmiał na zadyszanego.

- Pani komisarz, tu Arthur Gordon Pym. Dokonałem zaskakującego odkrycia i powinna pani-achh!

Dean usłyszał jakieś głuche dźwięki, potem jakieś brzęknięcia, a na końcu:

- Środa, 23:39.

McBain zamknęła klapkę telefonu.

- To nie jest ta zabawna część. Próbowałam się do niego dodzwonić jakieś dwanaście razy i nic, nie włącza się nawet poczta, więc wyśledziłam transponder jego telefonu. - Wskazała na chodnik, gdzie stykał się z piwnicą budynku. - Leżał tutaj. - Po czym sięgnęła do kieszeni i wyjęła dwie połamane połówki komórki. - I tak właśnie wyglądał.

- Nie za dobrze – powiedział Sam.

- Słuchaj, przykro mi z jego powodu – skłamał Dean – ale co mamy robić?

McBain spojrzała na niego.

- Znaleźć go, odstający końcu. Powiedział, że dokonał "zaskakującego odkrycia", a to może oznaczać tylko jedno.

Dean uśmiechnął się półgębkiem.

- Nie posłuchał cię, kiedy powiedziałaś mu, żeby dał sobie z tym spokój?

Ku zaskoczeniu Deana, McBain odwzajemniła uśmiech.

- Dobra, dwie rzeczy. Odnalazł naszego faceta, a nasz facet porwał go, a jego telefon uszkodził.

Sam potarł swój mały, spiczasty podbródek.

- Myślisz, że ten nasz go porwał i planuje uczynić z niego ofiarę numer pięć?

Odezwał się Dean.

- Tak, ale wielki dzień jest we wtorek, więc– przerwał. - Chociaż pozostałe planował do przodu. Musiał porwać małpkę i zawczasu przygotować wszystko w pustym domu i mieszkaniu.

- Zabił tę Lowrance przed rytuałem – dodał Sam.

Translate_Team

- Odezwał się znawca – powiedziała oschle McBain. -Sprawdziłam już, w okolicy nie ma żadnych pustych miejsc. Park również jest na widoku.

- Tak jak tych dwóch dzieciaków – stwierdził Dean.

- Tak – powiedziała McBain – ale ma też odurzonego środkami uspokajającymi orangutana. Teraz ma niezbyt chętnego zakładnika i jednego, którego w ogóle nie planował. Gdziekolwiek to robi, miejsce jest z dala od widoku.

Sam szedł już w stronę Fordham Road ze zmarszczonym czołem. Dean odezwał się, znając to spojrzenie.

- O czym myślisz, Sammy?

- Ten kościół na rogu.

- Świętego Nicholasa z Tolentine – powiedziała McBain. - Co z nim?

- Ma dzwonnicę?

McBain przytaknęła.

- Tak, dzwonią każdej sobotniej nocy i w niedziele, kiedy jest msza.

- Jeden z najsłynniejszych wierszy Poe to "Dzwony'. Został zainspirowany właśnie kościelnymi dzwonami.

Dean zmarszczył brwi.

-Ktoś tu kiedyś umarł?

Sam pokręcił głową.

- Ale to może nie powstrzymać naszego faceta.

- Szczególnie jeśli odkrył niskiego, wkurzającego faceta w poliestrowym garniturze, który miesza mu się do interesów – wymamrotał Dean. - To może również namieszać mu w planach.

- Niezwykle ściśle trzyma się rytuału – powiedział Sam. -A kwestie dotyczące księżyca są decydującą częścią. Jednakże jeśli odtwarza "Dzwony", to...

Kiedy pogrążył się w myślach, Dean zapytał. - Sam?

Odwróciwszy się, by spojrzeć bratu w oczy, Sam powiedział. - Przypomniałem sobie właśnie kilka wersów: "*W swoim – coś tam, coś tam – ten krwawy blask pożaru, / I w szalonym – coś tam, coś tam – na ten głuchy szał pożaru, / Płynie w górę, w górę, w górę.*"[8]

Deanowi mimo woli przypomniały się obrazy z jego koszmaru. Demon, który zabił mamę i dziewczynę Sama, Jessicę, zrobił to przybijając je do sufitu i pochłaniając ogniem. W swoim koszmarze Dean widział jak dzieje się to kobietom ważnym w życiu jego i Sama. Nigdy nie uważałby Mackeya, za kogoś dla siebie ważnego, ale nie życzyłby złożenia w ofierze nikomu, nie odczuwał też pragnienia, by zobaczyć to ponownie.

McBain zaczęła iść w stronę rogu.

- Chodźmy.

[8] Tłum. Antoni Lange

- Super – burknął do siebie Dean. To oni powiedzieli co robić, a teraz to ona miała rządzić?

Przypomniał sobie, że nie byłoby ich tu w ogóle, gdyby nie McBain, a musieli coś robić, kiedy gliny weszły im w paradę.

Ostatecznie doszło do tego, że nie lubił glin. Nigdy tak nie było, głównie dlatego, że uważał ich za ignorantów. Oczywiście uważała tak też większość świata, ale nieświadomość prawa szczególnie źle wpływała na pracę jego i Sama. Dawno nie było takiej sytuacji, by policja zrobiła coś, oprócz wchodzenia im w drogę – od Baltimore chyba nawet wcale. Jasne, zdarzały się wyjątki – Ballard i ta zastępczyni w Hibbing. Oczywiście Hibbing nie było typową sprawą, jako że w rodzinie nie było nic demonicznego, więc ta zastępczyni, Kathleen i tak była ignorantką.

McBain jednak wydawała się jedną z tych porządnych. I, nieważne czy był skłonny to przyznać, czy nie, naprawdę pomagała.

Ale i tak jej nie lubił. Dalej utrzymywał, że jemu i Samowi najlepiej pracuje się w samotności.

W czasie drogi McBain odezwała się.

- Ej, przypomnijcie mi kiedy to się skończy – mam coś, co może was zainteresować.

Dean skrzywił się.

- Okej.

W tym temacie powiedziała chyba wszystko co chciała. Kiedy dotarli na róg, McBain podeszła do drzwi wejściowych – cóż, jednych z nich.

Kościół posiadał trzy pary drzwi wejściowych i liczne boczne. Rozsądnie wybrała te po środku od frontu, które były na ukos do rogu Fordham i MLK, przodem do skrzyżowania.

Komisarz zapukała do zdobionych, drewnianych drzwi, mających koło trzech metrów wysokości.

- No to co– powiedział Dean – z drugiej strony?

- Nie będę się zakradać do kościoła, odstający końcu. Nagrzeszyłam wystarczająco jak na jeden żywot. A teraz obaj mordy na kłódkę, ja się tym zajmę.

Dean spojrzał na Sama. Sam wzruszył jedynie ramionami z tym swoim spojrzeniem "czego ty ode mnie chcesz?". Przecież i tak wcześniej zakradali się do kościołów...

Po kilku długich sekundach, które dla Deana wydawały się kilkoma dniami, drzwi otworzyły się z lekkim skrzypnięciem. Po drugiej ich stronie stał mężczyzna z zapuchniętymi oczami.

- Tak?

McBain uniosła odznakę.

-Departament Policji Nowego Jorku, Ojcze.

Translate_Team

- Właściwie jestem diakonem – wymamrotał. - Księża są przez tydzień na rekolekcjach.

Szczęściarz, pomyślał Dean. Ma całe miejsce dla siebie. Zaczął się zastanawiać w jakie tarapaty mógłby się wpakować diakon gdy nie było księży. Zapewne niewielkie, pomyślał rozczarowany.

- Przykro mi, ale mamy podstawy, by wierzyć, że wasza dzwonnica jest zagrożona. Możemy wejść?

- Zagrożona?

- Tak, proszę pana. Musimy to sprawdzić.

Diakon wydawał się bardzo wolno przetwarzać naszą rozmowę.

- Nie rozumiem.

Dean miał dość.

- Słuchaj Diakonie, sądzimy, że ktoś tam jest. Musimy to sprawdzić. Wpuścisz nas?

- No cóż...- pokręcił głową. - Chyba tak. To znaczy o ile jesteście z policji. - Uśmiechnął się krzywo. - Poza tym każdy jest mile widziany w domu Pana.

Dean uśmiechnął się.

- Amen.

Kiedy weszli, McBain do niego szepnęła.

- Co mówiłam o tym, żeby oddać to mnie, odstający końcu?

- Przecież weszliśmy, nie?

McBain łypnęła na niego i weszli do kościoła.

Wskazując na kręcone schody po lewej, diakon powiedział:

- Dzwonnica jest tam.

Skinąwszy głową, McBain powiedziała:

- Proszę tu zostać, a my się tym zajmiemy.

- Ech, no dobrze. - Diakon nie brzmiał na szczęśliwego, ale też i się nie spierał, za co Dean był wielce wdzięczny.

Dean rozejrzał się dookoła i był zaskoczony, że widzi niewiele. Rozpoznawał jedynie zamazane kontury. Nigdy nie myślał o kościołach jak o miejscu zamkniętym, ale późno w nocy, z wyłączonymi światłami i zgaszonymi świecami nie było nic widać.

Sam i McBain zaczęli już wchodzić na schody i Dean szybko ich dogonił.

Szli krętymi schodami, McBain na przodzie, Sam i Dean blisko z tyłu. Deanowi nie było z tym za dobrze, ale przynajmniej uspokoiło to diakona, bo jedynie ona pokazała odznakę.

Po wspięciu się po wąskich, krętych schodach przez, wydawałoby się, dziesięć lat, wreszcie dotarli do głównej części wysokiego sufitu kościoła. Dean nie cierpiał jakoś szczególnie na agorafobię, ale bycie na tak otwartej przestrzeni z jedynie metalową poręczą między nim, a spadnięciem na ziemię nie napawało go

Translate_Team

szczególnym entuzjazmem. Był wdzięczny, kiedy schody wreszcie się skończyły. U ich szczytu znajdował się korytarz, który prowadził przez całą długość kościoła i kolejne schody na górę.

Wskazując na schody głową, McBain zaczęła wchodzić. Dean sięgnął za plecy i wyjął pistolet, a McBain i Sammy zrobili prawie jednocześnie to samo. Wcześniej nie chcieli alarmować diakona, ale teraz był poza zasięgiem wzroku.

Schody były kręcone, ale zabudowane kamieniem, otoczone ścianami bez pionowych ścianek.

Niestety, choć w kościele panowała ciemność, to było trochę światła, a korytarz u szczytu schodów miał elektryczność. Te drugie schody nie były niczym oświetlone.

- Odstający końcu – wyszeptała McBain.

Naprawdę chciałbym, żeby przestała mnie tak nazywać.

- Tak? - odszepnął Dean.

- Ty idziesz pierwszy.

Nie żeby się sprzeciwiał, ale musiał zapytać.

- Dlaczego?

- Bo chujowo widzę w ciemnościach.

Mamrocząc "Teraz nam to mówi?", Dean stanął przed Samem i McBain, Sam osłaniał tyły.

Dean poruszał się wolno, pozwalając oczom przyzwyczaić się do zwiększającej się ciemności i trzymając broń w pogotowiu.

Kiedy weszli na samą górę, zauważył rozciągnięty nisko nad ziemią drut. Może i nie widział go w przydymionym świetle, ale ten nieudacznik już raz go użył, więc Dean domyślił się, że znowu z tego skorzysta.

- Drut – wyszeptał, wskazując na niego lewą dłonią, broń miał wciąż uniesioną w prawej.

Sam i komisarz kiwnęli głowami. Dean przeszedł nad drutem i wszedł do małej alkowy. Bo obu jej stronach były jeszcze dwie pary schodów, obie prowadziły do swoich dzwonów, a między nimi było małe przejście. Dean podejrzewał, że to stamtąd dzwoniły dzwony. Wszystko było z ciemnego kamienia, nadając miejscu średniowiecznego wrażenia – poza błyszczącą czerwoną gaśnicą, która mieściła się na małej półce obok przejścia.

Nie myśląc o tym co robią, Sam i Dean stanęli bo obu stronach drzwi. McBain przez chwilę się na nich gapiła, po czym pokręciła głową i ruszyła prosto do drzwi, otwierając je z trzaskiem i wpadając do środka w pozycji klęczącej. W tym samym czasie Dean i Sam zajrzeli do środka. Wszyscy mieli wycelowane bronie.

Pomieszczenie było puste.

Dean pokręcił głową.

Translate – Team

- Ten szalony sukinsyn może być przy samych dzwonach.

- Albo może go tu w ogóle nie być – powiedział Sam. - To było tylko przypuszczenie.

Nagle Dean skrzywił się od odbijającego się echem dźwięku wystrzału z pistoletu i brzęczącego uderzenia kuli o kamień.

Sam również się skrzywił.

- Albo i nie.

McBain podbiegła do schodków, ale została z boku, poza linią ognia – nie żeby na kręconych schodach była linia ognia.

- Departament Policji Nowego Jorku – wyjdź z uniesionymi rękami.

Dean spojrzał na Sama i Sam nagle podbiegł do drugich schodków.

- Obawiam się, że to nie wypali. Musisz chyba tam iść.

- Nie myśl, że tego nie zrobię – powiedziała McBain.

Znam ten głos, pomyślał Dean. Gdzie ja go słyszałem? Nie należał do Mackeya, ale z pewnością niedawno go słyszał. Na pewno nikt ze Scottso – nie dotarliby tu tak szybko, poza tym ten ton głosu do nich nie pasował.

No pewnie. Wreszcie załapał. Powinienem był wiedzieć do cholery.

- Koniec żartów, Vincent! - powiedział na głos.

McBain odwróciła się i spojrzała na niego wymawiając bezgłośnie słowa, Że co?

Po chwili odezwał się głos doktora Rossa Vincenta.

- Kto tu jest?

- Nieważne profesorze, to już koniec. Wiem, że starał się pan przekonać wszystkich, że nie ma więzi między tymi morderstwami. Co ma sens, jeśli to pan starał się trzymać ludzi z dala od swojego fałszywego rytuału.

- Nie jest "fałszywy"! - krzyknął Vincent jego głos nadchodził z coraz bliżej. - Percival Samuels był geniuszem, a jego metody w końcu dostarczą odpowiedzi!

- Na co? - zapytał Dean.

Pojawiły się dwie postaci. Jedną był Vincent – w swoim biurze w kampusie Fordham wyglądał na lekkiego szaleńca, ale tutaj był już kompletnie obłąkany. Dean nie widział w słabym świetle jego oczu, ale język jego ciała mówił wszystko.

Drugą postacią był Mackey, w którego głowę Vincent celował z pistoletu kaliber44.

Jak ja kocham meksykański standoff[9], pomyślał Dean.

- Na prawdę! Nie widzicie? Nikt nie wie jak umarł Poe! Teraz możemy dowiedzieć się tego i wielu innych rzeczy! Ogromna część jego życia była zagadką, a my badacze marnujemy tyle ograniczonego czasu i bezowocnych wysiłków, by

[9] Są dwie postaci – każda mierzy do tej drugiej i nie ma zwycięzcy

Translate_Team

się tego dowiedzieć, ale nie możemy – nie bez oryginału! Więc wykorzystuję geniusz Samuelsa do–

- To fałsz, ty kretynie! - powiedział Dean. - Rytuał to bubel. Samuel wykorzystywał go by wydoić ludzi z kasy.

- Kłamiesz!

- Nigdy się nie dowiesz. Rzuć broń – powiedziała McBain.

- Nie. Nie możecie! Jestem tak blisko! We wtorek wszystko nabierze sensu, zobaczycie! Poe wróci i wszyscy poznają prawdę!

Vincent odwrócił się i powiedział,

- Nie ruszaj się! - Dopiero wtedy Dean zauważył podchodzącego z drugiej strony Sama.

- Nie martwcie się o mnie – powiedział napiętym głosem Mackey – tylko zastrzelcie tego imbecyla!

- Dla mnie może być – wymamrotał Dean.

- Nawet o tym nie myśl, odstający końcu – powiedziała McBain.

- Powiedziałem, nie ruszaj się, do cholery! - krzyknął Vincent, choć Sam się nie poruszył i strzelił w ziemię.

Dean słyszał jak kula odbija się od kamienia i uderza w coś metalowego. Pewnie któryś z dzwonów, pomyślał.

- To był ostrzegawczy strzał. Nie chcę skrzywdzić nikogo poza rytuałem, ale prędzej was zastrzelę, niż pozwolę mnie zatrzymać.

- Nie masz gdzie pójść, profesorze – powiedziała McBain. - Możemy tu stać całą noc, ale wcześniej czy później–

- Stawką jest stypendium, madame – powiedział Vincent, jego .44 znowu wycelowany był w Mackeya. - Zapewniam panią, mogę stać tak z bronią przy gardle pana Pyma aż do wtorku, jeśli to konieczne. Doszedłem tak daleko i się nie zatrzymam!

Dean usłyszał kapanie. Co do cholery? McBain i Sam mieli Vincenta na muszce, więc mógł oderwać wzrok od tego drania na tyle, by móc spojrzeć na schody. Coś strumieniem lało się ze schodów, wszystko wywołane trzema parami stóp.

Chwilę później wyczuł gaz.

Sukinsyn. To nie w dzwon uderzył pocisk, a w puszkę z gazem. Vincent zapewne zamierzał jej użyć do ognia, o którym mówił Sammy.

Dean uniósł swoją broń.

- Odkładam pistolet do kabury, profesorze.

- Odstający końcu, co ty do cholery wyprawiasz? - powiedziała ze złością McBain.

Translate_Team

-Zaufaj mi – powiedział Dean i wsunął pistolet za pasek spodni. Spojrzał na Vincenta. - Niech pan mnie posłucha, profesorze, chciałbym ci coś pokazać, dobrze?

- Nie próbuj niczego, Morrison.

McBain posłała Deanowi zdezorientowane spojrzenie, ale po chwili skupiła się na Vincencie.

Dean sięgnął wolno do kieszeni, nie odrywając wzroku od Vincenta, szukając przedmiotu, którego potrzebował. Położył kciuk na odpowiedniej pozycji z nadzieją, że to się uda.

- Profesorze, uwaga! - krzyknął nagle Sam.

Dzięki, Sammy! Vincent odwrócił głowę, dając Deanowi cenną sekundę, której potrzebował do wyciągnięcia zapalniczki, zapalenia jej i rzucenia w cieknący gaz.

W ciągu sekundy całe schody zajęły się ogniem. Dean czuł go na swoich plecach, kiedy biegł po gaśnicę. Odwróciwszy się, zobaczył jak Sam chwyta Mackeya, a Vincent stoi w ogniu i krzyczy.

Dean natychmiast zaczął go ugaszać. Biała piana łagodziła płomienie. Odkręcił wąż na schodach i w ciągu kilku sekund wszystko było w porządku.

McBain gapiła się na Deana z niedowierzaniem.

- Co to do cholery było, odstający końcu?

- Powstrzymywanie złego gościa – powiedział Dean.

- Roznieceniem ognia?

Dean wzruszył ramionami.

- To on uderzył w puszkę z gazem. I tak by się zajęło, gdyby ktoś strzelił. A tak mieliśmy przynajmniej nad tym trochę kontroli.

Komisarz chyba chciała się spierać, ale zamiast tego jedynie pokręciła głową, schowała broń i wyciągnęła kajdanki.

- Jak ten dupek się nazywa? - zapytała Deana.

- Ross Vincent. Jest ekspertem od Poe, którego wysłał nam Mackey.

McBain założyła mężczyźnie kajdanki.

- Rossie Vincent, zostajesz aresztowany pod zarzutem morderstwa Marca Reyesa, Sarah Lowrance, Johna Soedera i Kevina Bayera, porwania Arthura Mackeya i wszystkiemu co może być z tym związane. Masz prawo zachować milczenie...

- Dziękuję, panowie – powiedział Mackey, kiedy Sam sprowadził go ze schodów. - To było niezbyt miłe.

- Cóż, we wtorek byłoby gorzej – powiedział Sam.

- Dokładnie. "*I w szalonym rozhukaniu na ten głuchy szał pożaru*". Bałem się, że więcej nie zobaczę żony i dzieci. - Świdrujące oczy Mackeya rozszerzyły się ponownie. - Muszę do nich zadzwonić. Macie może telefon?

Translate_Team

Sam podał mu swojego Treo, co kolejny raz udowadniało, że jest bardziej uprzejmy, niż Dean, jako że Dean nie chciał by ten facet dotykał jego rzeczy. Okej, więc Mackey nie był tym złym, choć nie był tego stuprocentowo pewny, dopóki nie zobaczył jak Vincent trzyma .44 przy jego głowie, no ale...

McBain skończyła odczytywać Vincentowi jego prawa.

- W porządku, Arthur?

- Sekundkę, kochanie – powiedział do Treo Sama. - Na razie tak sobie, ale przeżyję – zapewne. - Wrócił do telefonu – Muszę iść, kochanie, ale obiecuję, że wrócę do domu najszybciej jak będę mógł. Będę pewnie musiał złożyć zeznania na policji. Tak, dobrze. Ucałuj ode mnie dzieci. Kocham was. Dobranoc. - Oddał Samowi telefon i podziękował.

- Nie ma problemu – powiedział z przyjacielskim uśmiechem Sam.

W międzyczasie McBain rozmawiała przez swój telefon, wzywając wsparcie i karetkę dla Vincenta.

Dean wrócił myślami do tego, co Vincent powiedział w swoim biurze o marnowaniu czasu na spieranie się o rzeczy, których nie mogą wiedzieć i znaczeniu prawdy i kopnął się mentalnie za to, że wcześniej się nie domyślił. Zapewne za bardzo skupiłem się na Mackeyu.

- Nie mogę uwierzyć, że zrobił to wszystko tylko po to, by dowiedzieć się jak umarł Poe – powiedział głośno.

Mackey roześmiał się,

- Naprawdę? Najwyraźniej nie poznałeś za wielu uczonych. Znam kilku takich, co by nie zawahali się popełnić czterech morderstw, jeśli oznaczałoby to dostanie stypendium.

- A ty chciałeś iść na dalsze studia – powiedział Dean wpatrując się w Sama.

- Cóż – powiedział Sam – na prawnicze studia.

- O tak – powiedziała McBain kończąc swoją rozmowę – bo naprawdę potrzeba nam więcej prawników. Cholera, ten facet ma zapewne odłożoną kasę, można by go było wyciągnąć za niepoczytalność. - Spojrzała intensywnie na Deana. - Może pójdziecie poczekać na wsparcie?

- Dobry pomysł – powiedział stanowczo Dean, rozumiejąc, że powinni wynieść się, zanim przyjedzie wsparcie.

- Zdecydowanie – powiedział z kiwnięciem głową Sam.

Dean miał tylko nadzieję, że gliny skończyły u Manfreda.

- Uh, halo? - z krętych schodów doszedł ich głos. Chyba diakona.

Wzdychając, McBain zwróciła się do Deana i Sama.

- Wyślijcie tu jego świątobliwość jak będziecie wychodzić. Ja mu wszystko powiem. A i nie zapomnijcie, że mamy jutro rano o szóstej spotkanie na parkingu przy wyjeździe 97 na West Side Highway.

- Mamy? - zapytał zdezorientowany Dean.

Translate_Team

- Tak, odstający końcu, mamy.

Dean westchnął. Podejrzewał, że to ta druga sprawa, którą chce się z nimi podzielić.

- Dobra. Idziemy, Sammy.

- Prowadź, odstający końcu – powiedział Sam uśmiechając się szeroko.

Tylko to, że byli w kościele powstrzymało Deana przed skopaniem swojego brata.

Translete_Team

Epilog

97 Ulica, west Side Highway
Nowy Jork, Nowy Jork
Czwartek, 24 listopada 2006

McBain czekała już na nich, kiedy Impala zjechała z West Side Highway. Lewe rozwidlenie ciągnęło się pod trasą do dziewięćdziesiątej siódmej; prawe, którym pojechali bracia, prowadziło na mały parking z widokiem na rzekę Hudson.

Sam przez chwilę podziwiał widok. Ranek był wietrzny, a Hudson pełna była małych fal. W ich stronę płynęła mała łódź, która wkrótce okazała się Circle Lane, łodzią, która okrążała wyspę Manhattan. Było na niej tylko kilkoro ludzi – na

wodzie musiało wydawać się, że jest z dziesięć stopni mniej, pomyślał Sam, mocniej opatulając się kurtką – ale wydawało się, że podróż im się podoba.

Po drugiej stronie rzeki znajdowało się New Jersey, włącznie z długim pasem rozdzielczym, który zgodnie z tym co czytał w sieci, został zbudowany w ciągu jakichś ostatnich dziesięciu lat.

McBain opierała się o swojego Saturna i trzymała teczkę, którą podała Deanowi.

- Co to jest? - zapytał, biorąc ją w dłoń.

- Nie jestem pierwszą policjantką z Nowego Jorku, która walczy z duchami. Facet przede mną był zrzędliwym starym draniem o nazwisku Landesberg. W latach siedemdziesiątych miał oko na wszystkie szaleństwa. Zostawił mi pudło pełne teczek, a ja co jakiś czas je przeglądam. Znalazłam to i pomyślałam, że może wy będziecie w stanie coś z tym zrobić.

Dean przejrzał zawartość teczki, po czym zamknął ją i podał Samowi.

Sam zobaczył kilka pożółkłych wycinków z gazet z Cedar Wells w Arizonie, gazety z 1966 z notatkami ciężkimi do odczytania.

- To gdzieś blisko Wielkiego Kanionu – powiedziała McBain. - W grudniu 1926 nastąpiła seria niewyjaśnionych morderstw, a później to samo w 1966.

- Co czterdzieści lat – powiedział Sam, patrząc na kartki, które okazały się fotokopiami wycinków z 1926.

-Tak i zbliżamy się do rocznicy – wskazała dłonią Impalę. -Ten czołg powinien was chyba tam dowieść na czas.

- Zdecydowanie – powiedział z dumą Dean. Sam starał się nie wywrócić oczami.

- To z pewnością warte sprawdzenia – powiedział Sam. - Możemy to zatrzymać.

McBain prychnęła.

- To nie jest pod moją jurysdykcją, więc nie ma sprawy. Tylko postarajcie się nikogo nie zabić, dobrze?

- Zawsze tak robimy – powiedział Dean. - A jeśli to nam się nie udaje, to staramy się, by to się więcej nie przydarzyło.

- Tak, zauważyłam – McBain uśmiechnęła się. Sam zauważył, że to cieplejszy uśmiech, niż ten, którym zawsze ich raczyła. - Odwalacie kawał dobrej roboty. Zamknęliście kilka spraw, powstrzymaliście kolejne morderstwo i pozwoliliście duchowi spocząć.

- Tego ostatniego nie jesteśmy pewni w stu procentach – powiedział niechętnie Sam. - Kiedy wróciliśmy do Manfreda, powiedział, że Scottso może być złamane. Ale i tak podejrzewam, że skoro Eddie siedzi w areszcie, to Roxy osiągnęła spokój.

- Mam nadzieję – powiedziała McBain. -Więc wyjeżdżacie z miasta?

Translate_Team

- Najwyraźniej mamy robotę – powiedział Sam, zamykając teczkę.

- Poza tym Manfredowi przyda się trochę spokoju – powiedział z uśmieszkiem Dean.

- Cóż, powodzenia – powiedziała McBain. - Miło było was wreszcie poznać. A następnym razem jak będziecie w mieście–

- Zadzwonimy – powiedział szybko Sam.

- Może – dopowiedział Dean.

- Bardzo zabawne, odstający końcu – powiedziała McBain. - Na razie.

Wsiadła do swojego Saturna i odjechała.

- Nie jest taka zła – powiedział Sam, kierując się w stronę Impali.

Dean tylko na niego spojrzał.

- Nazywa mnie "odstającym końcem".

- Powtórzę, nie jest taka zła.

- Zabawne – Dean ruszył w stronę siedzenia kierowcy.

Sam zamrugał oczami.

- Ty prowadzisz?

- Wyjeżdżamy z tego szalonego miasta, więc tak, teraz ja prowadzę.

- Dobra, jak chcesz – powiedział Sam, unosząc ręce.

Wsiedli do Impali, Sam trzymał teczkę na kolanach, by móc do niej zaglądać. Najszybszą drogą było pojechanie I-80 do Salt Lake City, potem I-15 do Las Vegas, a stamtąd lokalnymi drogami do Cedar Wells. To zajmie jednak kilka dni, nawet z szaleńczą jazdą Deana, więc Sam skupił się na teczce i czekał na nieuniknione pytanie, które zadał, kiedy znaleźli się pod West Side Highway i na rogu Riverside Drive z 97 nie mając pojęcia jak się tam dostał.

- Stary, jak się stąd wydostać?

Sam wyszczerzył się.

***

Kiedy już miała kończyć papierkową robotę, która zamknęłaby sprawę Roxy Carmichael – to, co zaczęło się od zaginięcia, zakończyło się morderstwem – z wejścia do jej małego boksu odezwał się głos.

- Komisarz Marina McBain?

Translate Team

Odwróciwszy się, McBain odkryła, że robi to samo co Sierżant O'Shaughnessy tydzień temu. Na początku zauważyła czarnego mężczyznę z krótko ostrzyżonymi włosami i kozią bródką. Potem zobaczyła nienagannie skrojony garnitur, co oznaczało, że jest albo federalnym, albo prawnikiem.

- Tak, ja jestem McBain.

- Agent Specjalny Victor Hendrickson. Muszę porozmawiać z panią o Samie i Deanie Winchester.

Świetnie, federalni ścigają Deana.

- Te nazwiska nic mi nie mówią, a o co chodzi?

- Naprawdę? - Hendrickson skrzyżował ręce. - Dlaczego pani nie wierzę?

- Nie mam pojęcia, Agencie Hendrickson i naprawdę mnie to nie obchodzi. Mam mnóstwo roboty. Zobaczę czy mam w bazie danych tych Winchester, ale–

- Nie są zaginionymi, są uciekinierami i wydaje mi się, że widziała się pani z nimi.

McBain wywróciła oczami.

- Miło, że pan tak myśli, ale nigdy o nich nie słyszałam.

- Tak? Co robiła pani zeszłej nocy?

- Ratowałam jednego ze swoich informatorów – powiedziała, ciesząc się, że uczyniła Arthura jednym ze swoich pewnych informatorów, więc jego poszukiwania zeszłej nocy były uzasadnione. - Zniknął w połowie rozmowy telefonicznej, a jago odnalazłam. Jakiś świr przywiązał go do dzwonu. Okazał się seryjnym mordercą. - Uśmiechnęła się szeroko. - Jestem zaskoczona, że wy tego nie przejęliście, zazwyczaj robicie tak z seryjniakami.

- Jakby pani nie zauważyła, to wcale się nie śmieję.

Uśmiech McBain powiększył się.

- Jakby pan nie zauważył, to nic mnie to nie obchodzi.

- Mogę zrobić z pani życia piekło, pani komisarz. Gdzie pani była zeszłej soboty? - zapytał Hendrickson, prostując ręce.

- W domu, oglądałam telewizję. Właścicielka to potwierdzi. - McBain wynajmowała górę dwurodzinnego domu w Queens. Pomogła pozbyć się z domu poltergeista i odtąd właścicielka była jej najlepszym przyjacielem. Kłamanie federalnym o tym czy była w domu było jedną z przysług, na jakie mogła liczyć. A O'Shaughnessy też nie wyda jej federalnych, a on jako jedyny wiedział co robiła w sobotę w nocy. - A jeśli chce pan zrobić mi z życia piekło, Agencie Hendrickson, to proszę ustawić się w kolejce za moim sierżantem, kapitanem, inspektorem, Komendantem Kelly i Burmistrzem Bloomberg, dobrze?

Hendrickson oparł się o ściankę jej boksu i ponownie skrzyżował ręce. Jego mina nie zmieniła się od chwili jego przybycia. Lekko wkurzone spojrzenie musiało być jego zwyczajnym.

Translate_Team

- Jeśli myśli pani, że nie przeskoczę wszystkich tych ludzi i nie dostanę czego chcę, pani komisarz, to jest w pani w ogromnym błędzie.

- Nie wiem czego pan chce, Hendrickson! Przychodzi pan tu, grozi mi, mówi jakieś nonsensy o ludziach, o których nigdy nie słyszałam–

- Oczekuje pani, że w to uwierzę, pani komisarz?

- Agencie Hendrickson, na liście tego co mnie obchodzi, to w co pan wierzy, jest na samym końcu, rozumiesz? A teraz jeśli nie ma pan jakichś policyjnych spraw do przedyskutowania ze mną–

- Hej!

McBain odwróciła się i zobaczyła Sierżant Glover, jej obecną szefową, wchodzącą do bosku.

- Kim pani do cholery jest? - zapytał Hendrickson.

- Sierżant Glover, dowodzę tą zmianą. A kim pan jest?

Hendrickson przedstawił się, nawet pokazał dowód tożsamości, czego nie zrobił przy McBain.

- To miło. Proszę opuścić budynek.

Teraz mina Hendricksona się zmieniła – z lekko wkurzonej do kompletnie wkurzonej.

- Słucham?

- Słyszał mnie pan. Nie będzie zakłócał pan pracy moich ludzi.

- Mam parę pytań do komisarz McBain.

- Nie – powiedziała Glover – nie ma pan, bo jeśli tak, to zrobiłby pan to jak trzeba, a nie wpadał tu i przerażał innych. Teraz proszę wyjść po dobroci, inaczej zadzwonię po kolegów i wyleczą stąd pański tyłek.

Hendrickson spojrzał na Glover, a potem na McBain. Wycelował w nią palcem.

- Wrócę, pani komisarz.

- Moje drzwi są zawsze otwarte, Agencie Hendrickson – powiedziała ze słodkim uśmiechem McBain.

Rzucając kolejne wściekłe spojrzenie na Glover, Hendrickson odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Glover spojrzała na McBain.

- Co to do cholery było?

- Pani Sierżant, rozmawiałam z nim i sama nie wiem.

- Przeklęci federalni – powiedziała Glover kręcąc głową.

Kiedy szefowa jej zmiany wyszła, McBain odwróciła się i wypuściła oddech. Nigdy nie była bardziej wdzięczna za rywalizację między federalnymi, a miejscowymi wydziałami prawa.

Uważajcie na swoje tyłki, chłopaki, pomyślała w kierunku Sama i Deana Winchester, którzy byli w drodze do Arizony.

Translate_Team

***

Roxy była zadowolona.

Patrzenie jak gliny przychodzą i zabierają tego drania Eddiego było cudowne. Żałowała, że sobie tego nie nagrała.

Koniec. Nie kochał jej, ale przynajmniej płacił teraz za to, że jej nie kochał.

Nienawidziła go. Wszystkiego w nim nienawidziła. Uwielbiała patrzeć jak cierpi, jak załamuje się i przyznaje to przed całą grupą.

To było świetne.

Ale teraz nie wiedziała co ma robić.

Wuj Cal nie wrócił, więc nie wiedziała co będzie dalej. Czy zostanie tutaj? Zniknie? Pójdzie w zaświaty?

Może mogłaby tu zostać. Manfred zapewne nie będzie miał nic przeciwko. Zawsze lubiła Manfreda. Może mogłaby z nim być. Nie był taki zły. Pomyślała, że ktoś taki jak Aldo byłby lepszy, ale i tak zawsze naprawdę lubiła ten dom.

Pomyślała, że jeśli będzie chciała tu zostać, to nie może wydawać za wiele dźwięków. Manfred mógłby zadzwonić z powrotem po tych dwóch świrów, a tego nie chciała. Wciąż nie podobały jej się te dwa strzały i nie chciała tego powtórzyć.

Więc była cicho. Będzie sobie tu żyła w spokoju. Albo umierała w spokoju.

Albo coś.

Translate_Team

SUPERNATURAL

Dziękujemy za wybranie naszego tłumaczenia. Jeżeli ci się spodobało zapraszamy na chomika naszej grupy: www.chomikuj.pl/Translate_Team

Tam dostępne są wszystkie nasze tłumaczenia, a dzięki temu wiemy ilu mamy czytelników.

Z pozdrowieniami zespół Translate_Team.

Translate_Team

Translate_Team